



QUINN WILDER

Niezwykłe lato



ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Już jest. Ten tajemniczy gość.

- Ooo... - sucho zareagowała Charity Marlowe, która z mocno zaciśniętymi powiekami i w turbanie z ręcznika szczelnie zakrywającym włosy siedziała na podniszczonym wyściełanym krześle, z głową odrzuconą do tyłu. - Zjawił się trochę za wcześniej, jeszcze nie jestem gotowa do ukazania się w moim nowym wcieleniu. Czy nie mogłabyś go poprosić, żeby przyszedł nieco później?

Jej kpiny pozostały bez odpowiedzi. Mimo że gryząca para unosząca się w pokoju groziła ślepotą, Charity otworzyła jedno oko. Szybkim spojrzeniem obrzuciła cały pokój; jej kuzynka znikła.

- Mandy! - zawołała. - Wracaj. Wiesz przecież, że według instrukcji nie można trzymać tego szamponu za długo...

- Tak, tak. Wiem. Zaraz przyjdę, Char - dobiegł głos Mandy zza otwartych drzwi.

Czas włókł się nieznośnie. Charity zauważyła, jak gorąco zrobiło się w ich bungalowie. Jeśli się tak nagrzewa w końcu maja, to w lipcu i sierpniu będzie nie do zniesienia.

- Zupełnie zwariowałam - mruknęła pod nosem i uśmiechnęła się. Dobrze było choć raz w życiu zdobyć się na odrobinę szaleństwa. - Mandy! - zawołała jeszcze raz.

Tym razem nie było odpowiedzi, więc tylko westchnęła, poprawiła turban na głowie, podniosła się z krzesła i skierowała ku drzwiom. Widok, jaki ujrzała, oczarował ją tak, że poczuła dławienie w gardle. Domki kempingowe, ustawione wysoko na zboczu stromego wzgórza, wyglądały naprawdę malowniczo.

- Tylko personelowi można kazać piąć się pod górę po takich schodach - sapała Mandy z trudem chwytając powietrze, kiedy wczoraj taszczyły pod górę walizy Charity.

Ale dzięki tej wysokości mogły spoglądać w dół ponad dachem głównego budynku hotelu Anpetuwi. Z miejsca, w

którym stała, Charity widziała szmaragdową zieleń wody spokojnej zatoczki i dalej za nią ciemniejsze, połyskujące szafirem lustro jeziora Okana-gan. Czystość powietrza niemal zapierała jej dech. Z nagrzanymi promieniami słońca lasów niosła się upajająca woń cedrów i sosen.

Skrzyżowała przed sobą ramiona i z ulgą głęboko westchnęła. Ostatecznie nie całkiem zwariowała.

- Mandy!

- Och, setki razy farbowałam włosy - mruknęła Mandy, nie odrywając lornetki sprzed oczu. - Przestań, nic się nie martw.

- Nie chodzi mi o moje włosy. - Była to tylko częściowa prawda. - Nie sądzę, żeby szpiegowanie hotelowych gości miało coś wspólnego z etyką.

-Pani doktor! Daj mi spokój. - Mandy marszcząc piegowaty nosek zdołała oderwać się od lornetki na odległość, która pozwoliła jej utkwic w kuzynce zielone wyraziste oczy. - Czy może być coś nieetycznego w podziwianiu przystojnego mężczyzny?

- Przez lornetkę - przypomniała jej Charity już uśmiechnięta, bo jakże się nie uśmiechać, mając przed sobą kogoś tak postrzelonego jak jej kuzynka o wspaniałej płomiennorudej czuprynie?

- To należy do moich obowiązków - nonszalancko zbyła tę uwagę Mandy.

- Mandy, może byłoby lepiej, gdybyś nie mówiła do mnie „pani doktor”, nawet w formie żartobliwej. Mogłoby to...

- Racja! Chowasz tytuł do kieszeni.

- Posłuchaj, przecież to ty mówiłaś...

- Cholerna racja! Nikomu nie uśmiecha się zamawianie piwa u pani doktor. Przyznaję się do potknięcia, już się to nie powtórzy. Co więcej - jeszcze raz oderwała oczy od lornetki, żeby spojrzeć na kuzynkę - za chwilę przemienisz się w femme fatale. Nikt się nawet nie domyśli, że ta rozmiłowana w nauce szara myszka...

- Przyszło mi na myśl - przerwała jej Charity z kwaśną miną - w związku z tym, co mówisz, że może dobrze by było, gdybyśmy zdjęły już ten kołpak z mojej głowy, zanim włosy zrobią się zielone?

- Mówiłam ci, że już nieraz używałam tej farby. Możesz ją trzymać na głowie, ile tylko zechcesz, bez obawy, że coś się stanie. - Mandy mówiła to takim tonem, jak gdyby zielony lepszy był od naturalnego koloru włosów Charity, które, co tu ukrywać, miały odcień brązowo-mysi.

Zapał, z jakim Mandy patrzyła przez lornetkę, przypominał zwiadowcę, który właśnie dostrzegł nieprzyjaciela, więc Charity z westchnieniem rezygnacji podażyła wzrokiem w tym samym kierunku.

Nie podejrzewający niczego obiekt zainteresowania Mandy wyszedł ze swojego pokoju w hotelu na balkon, przekonany niewątpliwie, że może się na nim czuć całkowicie swobodnie, odizolowany od reszty świata. Czytał gazetę. Nie był to widok zbyt interesujący, a jednak Charity mimo krytycznego nastawienia mogła zrozumieć, dlaczego ten mężczyzna wzbudził taką ciekawość Mandy. Ona także z trudem próbowała oderwać oczy od jego postaci. Było w nim coś szczególnego, co przykuwało uwagę, jakaś niezwykła męska siła, którą natychmiast obie wyczuły.

Tak, siła. Rzuciła się w oczy nawet z tej odległości. Pod dobrze skrojoną białą sportową koszulą Charity bez trudu dostrzegła barczyste ramiona. Długie muskularne nogi korzystnie wyglądały w stylowych szortach koloru khaki. Był opalony, ciemne falujące włosy połyskiwały w promieniach zachodzącego słońca. Mimo że odległość nie pozwalała widzieć dokładnie rysów jego twarzy, Charity odniosła wrażenie, że i z niej biła ta sama siła.

Poruszył się na krześle miękkim ruchem, przy którym wzdłuż mięśni przebiegła nerwowa zmarszczka. Było w nim

napięcie dzikiego zwierzęcia, jakaś wyczuwalna czujność, a przecież usiadł na balkonie dla wypoczynku.

Charity była coraz bardziej zakłopotana, widząc jak Mandy, zupełnie nie zbita z tropu, z zapalonym lornetką nieznamym. Jednak, chociaż daleka od przyzwolenia czy zgody na to, co robi kuzynka, nieoczekiwanie dla samej siebie, starając się nadać głosowi jak najnaturalniejsze brzmienie, zapytała:

- Właściwie o co chodzi, co w nim widzisz tajemniczego?

- No, tajemnicza jest sama jego obecność tutaj.

- Cóż w tym jest tajemniczego?

- To, że przyjechał na cały sezon. I to przed oficjalnym uruchomieniem hotelu, który otwieramy jutro.

- Skąd wiesz, że zostaje tu na cały sezon?

- Zebranie wszystkich informacji dotyczących naszych gości uważam za swój obowiązek - odpowiedziała Mandy z roztargnieniem.

- Sprawdzam rezerwacje pokoi, żeby się zorientować, jak odpowiednio zaplanować zajęcia i rozrywki, i rozłożyć je w ciągu tygodnia. Czy mamy osoby starsze, czy rodziny? Kiedy przyjeżdżają stali goście i co ich bawiło w ubiegłym roku? A ten gość pojawia się, zamówiwszy uprzednio pokój na szereg tygodni. Bardzo dziwne.

- Nie widzę w tym nic dziwnego - oznajmiła Charity.

Mandy skwitowała to westchnieniem i podała jej połowę lornetki.

- Masz, spójrz na niego przez to.

- Za nic! - zachnęła się Charity.

- Cóż, rób jak uważasz, ale wystarczyłoby ci jedno spojrzenie na tego człowieka, żeby zrozumieć, że nie należy on do mężczyzn, którzy spędzają letnie urlopy w takich miejscach jak nasze.

- Co ty mówisz? Przecież jest to miejsce, do którego ściągają na wypoczynek ludzie z całego świata! - zaoponowała Charity. Dziwnym sposobem lornetka, którą tak potępiała, znalazła się

przy jej oczach. Zaczęła manipulować nią, nastawiając ostrość widzenia.- Rzeczywiście, Anpetuwi ma światową renomę. Szczególnie lubią tu przyjeżdżać ludzie starsi, rodziny z dziećmi i świeżo upieczeni małżonkowie na miodowy miesiąc. Osoby samotne raczej się nie pojawiają. Nawet członkowie Klubu Medycznego, których wciąż stać na naszą stawkę dzienną. Poza tym, cóż... dwa tygodnie uroków wiejskich to mniej więcej tyle, ile większość osób może wytrzymać. Więc co tutaj robi taki gość jak ten? I to przez cały sezon?

Zanim Charity odpowiedziała na pytania Mandy, z pomocą przysłała jej lornetka, która nagle dała się ustawić na odpowiednią ostrość.

Nieznajomy był mężczyzną zdecydowanie przystojnym, o rysach twarzy ostrych, niemal aroganckich. Charity wodziła lornetką od wysoko zaznaczających się kości policzkowych, przez prosty jak strzała nos, mocno zarysowaną dolną szczękę do szerokich ust, które wyglądały na zmysłowe mimo - a może właśnie z powodu - surowo opuszczonych kącików. Ściągnięte przy czytaniu bujne brwi potęgowały ogólne wrażenie męskiej siły. Była to jednak siła raczej odpychająca, oschła. Trudno było odgadnąć jego wiek, ale tylko lata mogły odcisnąć na twarzy nieznajomego swe piętno, nadając jej wygląd niezachwianej pewności siebie. Mógł mieć najwyżej czterdzieści lat.

Zażenowana tym co robi, Charity właśnie miała opuścić lornetkę, kiedy mężczyzna podniósł wzrok znad gazety. Miał oczy intensywnie niebieskie, jak kwiaty lnu albo jak szlachetne kamienie, szafiry. Ich twardy wyraz podkreślał dostrzegalną w spojrzeniu chłodną kpinę, dając ogólne wrażenie czającego się niebezpieczeństwa. Mandy miała rację. Nie był to wygląd mężczyzny, który przyjeżdża wypoczywać przez trzy i pół miesiąca do miejscowości, gdzie na pierwszym miejscu listy rozrywek znajduje się obserwowanie ptaków.

- No i co myślisz? - nalegała Mandy.

- Najemnik z wyznaczoną ceną na swoją głowę - zaryzykowała, i nie był to czysty żart.

- Świetna myśl - z aprobatą orzekła Mandy. - Podejrzewałam nawet, że może to jakiś ważny mafioso, który wydał władzom swoją rodzinę.

- Bardzo możliwe, ma przy tym najwspanialsze niebieskie oczy, jakie mi się zdarzyło w życiu widzieć.

- Naprawdę? Zawsze myślałam, że to ty masz wyłączność na najwspanialsze niebieskie oczy - powiedziała Mandy.

- Moje tak podobne są do jego, jak dzień do nocy. Moje mają barwę niektórych kwiatów, a jego oczy są ciemne jak... woda w miejscu, gdzie zatoczka łączy się z jeziorem.

Mandy rzuciła Charity spojrzenie pełne podziwu dla jej zmysłu obserwacyjnego.

- Nie sądzisz, że także Włosi mogą mieć niebieskie oczy? - zagadnęła prowokacyjnie.

- Jako wyjątkowy przywilej mafii dla ojców chrzestnych - dodała dowcipnie Charity. Uświadomiła sobie, jak dobrze czuje się z Mandy, która zawsze w zabawny sposób potrafiła wydobyć z niej pogodniejsze cechy jej natury. Co prawda pamiętała też, że Mandy od dzieciennych lat miała talent do wplątywania jej w przeróżne kłopoty, przy czym robiła to z najniewinniejszą miną.

Powinna była o tym pamiętać w chwili, kiedy Mandy wcisnęła jej do ręki lornetkę i oddać ją natychmiast. Powinna była powiedzieć, że ciekawa jest, skąd ją ma i poprosić, żeby ją odłożyła gdzieś na bok, zanim ktoś dostrzeże odblask słońca na lunetach i pomyśli, że to ona, Charity, szpieguje gości.

Cóż, nie zrobiła tego. A przecież przez całe życie przestrzegała swoich nie wypowiedzianych głośno „powinności”. Należała do osób, które szanują normy postępowania, była ostrożna i nigdy nie pozwalała sobie na lekkomyślność. Były to cechy bardzo istotne przy wykonywaniu zawodu lekarza, ale już nie tak ważne w czasie beztróskich wakacji.

Jeszcze raz nieśmiało spojrzała przez lornetkę, ale tym razem skierowała ją lekko w lewo. No tak, to jego noga. Bez pośpiechu przesuwiała lunety ku górze, uważnie z podziwem przyglądając się harmonijnym kształtom tego niezwykle męskiego ciała.

Nagle z piskiem przerażonego wróbla wypuściła lornetkę z rąk. Obróciła się i jak strzała popędziła do pokoju. Mało brakowało, a zatrzasknęłyby drzwi tuż przed nosem biegnącej za nią Mandy.

- Co się stało?

- Obejrzał się za siebie.

- Głupia, nie mógł cię przecież widzieć.

- Ale też miał lornetkę!

- Niemożliwe!

- Niestety. - Charity była przygnębiona.

- Czy wyglądało na to, że się tobą zainteresował? - zapytała Mandy, starając się dodać Charity otuchy.

- Zainteresował? Mandy, mam przecież ręcznik na głowie. Prawdę mówiąc, wydawał się wściekły.

- Prawdopodobnie bez ręcznika w ogóle cię nie rozpozna.

- Prawdopodobnie złoży na mnie doniesienie i to będzie koniec moich zabiegów, żeby świetnie spędzić lato.

- Bez przesady. Mężczyźni i kobiety zawsze się sobie przyglądają.

- Przez lornetki?

- Bierzesz wszystko zbyt poważnie, Char. Dlaczego każde wydarzenie widzisz zaraz w czarnych kolorach? Pomyśl tylko, pewnego dnia będziesz mogła powiedzieć swoim wnukom: „To było tak: po raz pierwszy zobaczyłam waszego dziadka przez lornetkę. Siedział na balkonie w hotelu Anpetuwi i buchał kłębami dymu”.

- Mandy, jesteś beznadziejna. - Ale talent aktorski Mandy i zabawnie zmieniony drżący głos staruszki rozśmieszyły Charity. Uśmiechała się z przymusem.

- Co ja mam zrobić, kiedy się z nim spotkam twarzą w twarz?
Czy mam go przeprosić?

- Ależ skąd! Mam upoważnienie na posługiwanie się lornetką
- zaoponowała zwięcącym tonem Mandy.

- Za cztery dni prowadzę pierwszą grupę na podglądanie
ptaków. Na balustradzie jego balkonu siedziała sójka, Whiskey
Jack, rozumiesz? Jeśli wykazałby brak taktu i wrócił do tego
tematu, możesz mu powiedzieć, że pokazywałam ci Whiskey
Jacka.

- Whiskey jaką? - dopytywała się Charity, która nie zawsze
nadażała za karkołomnym przeskakiwaniem Mandy z tematu na
temat.

- To gatunek ptaka, nie alkoholu - chichocząc tłumaczyła jej
Mandy. - Bardzo podobne jest brzmienie nazwy tego ptaka do
whisky. Są to małe rozbójniki, pospolite w tej okolicy. Ani
trochę nie boją się ludzi.

- Innymi słowy, pierwszorzędny pretekst do gapienia się na
cudze balkony. Wstyd mi za siebie, Mandy, i mam nadzieję, że i
ty czujesz się głupio.

- Ani trochę - odparła kuzynka.

- Mandy, kocham cię szczerze. Jesteś dla mnie najbliższą
osobą na całym świecie. Znalazłaś mi pracę na lato w
prawdziwym rajku wtedy, gdy życie zaczynało wydawać mi się
piekłem. Namówiłaś mnie na noszenie szkieł kontaktowych,
kupienie sześciu letnich fatalasek i bikini. Zmieniłaś cały mój
styl, nawet kolor włosów. Może to małoduszność, ale mam
niejakie wątpliwości, czy po spędzeniu tego lata z tobą w
jednym pokoju uda mi się wyjść z tego cało i nie zwariować.

- Cóż, prawdopodobnie nauczysz się śmiać. Czy to nie
okropne? No i jeszcze, czym byłoby to twoje olśniewające lato
bez kilku interesujących przedstawicieli płci męskiej?

Charity odzyskała zdolność jasnego patrzenia na sprawy.
Choć jedno olśniewające lato.

Dwa tygodnie temu skończyła specjalizację na oddziale internistycznym w szpitalu Świętego Pawła w Vancouver. Ostatnim miejscem stażu specjalizacyjnego był oddział intensywnej opieki medycznej. Widziała więc wszystko: rany postrzałowe, ofiary wypadków, pobite prostytutki, narkomanów. Zdarzało jej się pracować przez dwadzieścia cztery godziny, bez chwili snu.

Miała dwadzieścia sześć lat. Wyglądała na dwa razy tyle, kiedy ledwie wlokąc nogami zjawiała się u Mandy, w jej mieszkaniu przy ulicy Okanagan Valley. Była wycieńczona, wypalona wewnątrz, rozczarowana i wyczerpana emocjonalnie. Miała zamiar zostać u Mandy przez weekend.

Serdeczna troska, jaką otoczyła ją kuzynka, wzruszyła ją do łez. Razem z łzami przyszło uświadomienie małego, skromnego pragnienia, które w niej drzemało uspione, a z którego nawet nie zdawała sobie dotąd sprawy.

Zawsze była zdolna. Uczona, chluba rodziny, pracowita. Świadoma własnej wartości i możliwości umysłowych. Miała dość rozsądku i ambicji, aby naprawdę coś w życiu osiągnąć.

W wieku siedemnastu lat rozpoczynała studia. W ciągu trzech lat uzyskała stopień magisterski i stypendium częściowo pokrywające koszt nauki w Wyższej Szkole Medycznej. Podejmowała się różnych dodatkowych zajęć, harowała przez całe cztery lata studiów i dwa lata specjalizacji internistycznej bez słowa skargi, w nieustającej chęci, aby być jak najsprawniejszą asystentką swego profesora.

A jednak, kiedy siedziała na nieznośnie pstrokatą kanapie Mandy, w dniu kiedy się u niej zjawiała, zdała sobie sprawę, że na dnie serca drzemie w niej marzenie, którego nigdy nie dopuszczała do głosu.

Chciała, chociaż raz w życiu, poczuć się młoda, beztrudnie się śmiać. Czuć się wolna i niczym się nie przejmować. Odbić sobie różne przygody młodości, których była pozbawiona przez długie

lata stresów, studiów i pracy. Praca i nauka pochłaniały ją do tego stopnia, że nie miała nawet swojego chłopaka!

Z rozmarzeniem w oczach wyznała Mandy, że chciałaby mieć choćby jedno prawdziwe lato. Siedzieć na plaży i smażyć się na słońcu. Pływać kajakiem, żaglówką, spacerować. Słuchać śpiewu ptaków i nauczyć się rozpoznawać drzewa po liściach. Spędzać noce na tańcach. Przechadzać się pod niebem usianym gwiazdami. Siedzieć przy ognisku i obserwować wschód księżyca. Zjadać hot-dogi i biegać po piasku. Słuchać muzyki i czytać dla samej przyjemności czytania.

Mówiła o tych swoich marzeniach z pewną melancholią i nie miała zamiaru do nich wracać. Mandy przeciwnie, dobrze je zapamiętała.

Mandy, która pracowała w ciągu roku szkolnego jako przedszkolanka, znalazła sobie na letnie miesiące inne zajęcie i od kilku sezonów zatrudniona była w znanym ośrodku wypoczynkowym „Anpetuwi Lodge” w charakterze organizatorki rozrywek dla gości. Układała program różnych zabaw i gier ruchowych utrzymując, że oba jej zajęcia są niemal identyczne, z tym że przedszkolaki górują nad hotelowymi gośćmi dojrzałością. Wbrew skłonnościom Mandy do mówienia o Anpetuwi jak o starzejącej się ciotce, dokuczliwej, nieznośnej, wiecznie mającej jakieś pretensje, niedołęznej i beznadziejnie staromodnej, Charity wiedziała, że jest oddana temu miejscu całą duszą. Zastanawiała się nawet, czy to nie Mandy swoimi pełnymi humoru opowieściami o hotelu spowodowała, że doszedł do głosu jej głęboki, długo nie uświadamiany żal za utraconą młodością.

Zanim Charity zdała sobie dobrze sprawę z tego, co się jej przytrafiło, Mandy oświadczyła, że załatwiła jej pracę kelnerki w koktajlbarze „Susweca Lounge”, urządzonym w hotelowym patio.

- Jak mogę mieć pracę, kiedy nawet nie złożyłam podania? - zapytała Charity.

- Och, tam nie ma takich ceregieli - uspokoiła ją Mandy. - Pani Foster naprawdę mnie lubi. Już wiele osób zatrudniła na moją prośbę.

Precyzyjny sposób myślenia Charity, kierujący od lat każdym jej krokiem, przywołał na pamięć dług, jaki miała do spłacenia w studenckiej kasie pożyczkowej. Ale jej serce, jej biedne od tak dawna pomijane serce, odpowiedziało „tak”, zanim rozum zaczął wyliczać wszystkie powody, dla których absolutnie nie powinna wdać się w takie szaleństwo.

Więc będzie miała to swoje lato. Jesienią wróci do Vancouver i zacznie brać zastępstwa, pracując zamiast lekarzy wyjeżdżających na urlop, wycieczkę czy na jakieś kursy, i tak będzie aż do dnia, kiedy spłaci swój dług i będzie się mogła rozejrzeć za możliwością otwarcia własnej praktyki lekarskiej.

Od momentu, kiedy przyjechały do ośrodka, wiedziała dokładnie, że jej serce powzięło słuszną decyzję, mimo poczucia, że to, co robi, jest lekkomyślne i w najwyższym stopniu dziecinne. Jak może spędzać lato w podobny sposób osoba w jej wieku, po całym wysiłku, na jaki musiała się zdobyć, aby móc dopisywać po swoim nazwisku te dwie literki M.D., czyli lekarz medycyny.

Wjazd pojazdów mechanicznych na teren hotelowy był zabroniony. Urządzono dla nich parking na szczycie zbocza należącego do posiadłości. Prowadziła stamtąd w dół do hotelu brukowana aleja wijąca się wśród utrzymanego w stanie naturalnym lasu, w którym rosły cedry, sosny, brzozy, dzikie wiśnie, krzewy oregano i krzewinki jagód.

Mandy powiedziała Charity, że codziennie o ustalonych godzinach wjeżdża pod górę wózek golfowy, żeby zabrać do hotelu skrzynię z bagażami gości. Przy okazji podwozi mniej sprawne osoby z hotelu.

Zejsście aleją było piętnastominutową uroczą przechadzką w cienistym lesie. Wśród bujnej zieleni uwijały się z donośnym

śpiewem ptaki, drogę przebiegały oburzone wtargnięciem ludzi wiewiórki.

Aleja, wylaniając się z lasu, kończyła się ostatnim ostrym zakrętem i wychodząc na płaski teren prowadziła wzdłuż krętej krawędzi dużego, pięknego trawnika. Kończyła się przy wygodnych, szerokich kamiennych stopniach, prowadzących do głównego wejścia do hotelu.

Jak na sławę, którą cieszyło się Anpetuwi, hotel był zaskakująco skromny. Zaprojektowany w kształcie sześciokąta, zbudowany był zociemniałych z upływem lat drewnianych bali. Nie był ani zbyt obszerny, ani okazały, miał jednak szczególną przytulność, urok i szlachetność, które od pierwszej chwili zrobiły wrażenie na Charity. Kiedyś, przed laty, ktoś włożył całe serce w budowę tego domu i tę pieczołowitość wyczuwało się doskonale we wszystkich szczegółach: w zbrązowiałych, ociosanych przez cieśli balach, witrażowych na wzór francuski szybach w oknach, pomalowanych na biało złączach belek, a nawet w już kwitnących w skrzynkach jaskrawoczerwonych pelargonjach.

Na prawo od hotelu kilkanaście kamiennych stopni prowadziło do plaży w kształcie półksiężyca. Na niej rozciągnięta była siatka do gry w siatkówkę, brzegiem dochodziło się do zatoczki. W miejscu przy skałach, gdzie kończyła się plaża, leżały odwrócone dnem do góry kajaki: czerwone, niebieskie, żółte, zielone. Starannie ułożony szereg kończył się u wąskiego wylotu zatoczki do jeziora Okanagan.

Zbudowane również z bali domki dla personelu ulokowano wysoko na zboczu, za hotelem. Wchodziło się do nich po rozchwianych drewnianych schodach. Domki były niewielkie i dość oryginalne, ciągnęły się wzdłuż chodnika ułożonego z desek. Każdy miał balkonik i małą dwuosobową sypialnię połączoną z miejscem na posiłki. Prócz tego wszystkie wyposażone były w kuchnię, w której paliło się drewnem i łazienkę, tak małą, że ktoś o wymiarach Arnolda Schwar-

zenegera bałby się tam wejść z obawy, że nie wydobędzie się z powrotem. Wiszące w oknach firaneczki w czerwoną kratkę nadawały wewnątrz wesoły wygląd.

Kiedy Charity ujrzała zatoczkę po raz pierwszy, doznała niemal skurczu serca. Całą duszą była przekonana o słuszności swojej decyzji.

Niestety, nie miała pojęcia o obsłudze stolików w kawiarni. Mandy zapewniała ją, że jest to bardzo łatwe, ale nie te perswazje, tylko godziny pracy zachęciły Charity do desperackiego nurka w świat tak całkowicie różny od jej dotychczasowych doświadczeń.

Koktajlbar „Susweca Lounge” otwarty był od ósmej wieczorem do pierwszej w nocy. Nie mogło być nic lepszego dla kogoś, kto musiał pracować, a jednocześnie rozpaczliwie chciał się nacieszyć słońcem i rozkoszami lata. Kilka godzin nocnej pracy było niewielką ceną za korzystanie z uroków jednego z najpiękniejszych i wyjątkowo zacisznych miejsc wypoczynkowych na świecie.

Anpetuwi od kilku pokoleń należało do rodziny Fosterów i Mandy zapewniła ją, że są zupełnie pozbawieni snobizmu także w stosunku do personelu. Nie tylko nie mieli za złe zbliżania się do gości, ale pani Foster nawet zachęcała pracowników do korzystania z przyjemności dostępnych w jej ośrodku.

Uważała, że jeśli pracujące u niej osoby czują się szczęśliwe, to goście także są zadowoleni. Jednak, jak to najczęściej bywa, ta wspaniałomyślność w sferze życia towarzyskiego łączyła się ze skąpstwem; wypłacała pracownikom naprawdę psie pieniądze. Mała pensja Charity w szpitalu na internie wydawała się wprost królewska w porównaniu z zarobkami w hotelu.

- Zależy mi tylko na udanym lecie - zapewniała. - Mężczyźni mnie nie obchodzą.

- Ach tak? Więc pracuję nad twoim nowym wyglądem po to, żebyś przeżyła to lato w cnocie?

Charity wzruszyła ramionami. Nie było sensu próbować jeszcze raz tłumaczyć Mandy, że nie należała do kobiet, za którymi mężczyźni szaleją. Od kiedy pamięta, zazdrościła Mandy jej świetnego wyglądu i ponętej zgrabnej figury, ale już dawno pogodziła się z faktem, że bardzo się od siebie różnią.

- Wiesz, Mandy, przerwa w wykonywaniu mego zawodu byłaby wyzwaniem, które kosztowałoby mnie następnych kilka lat wyteżonej benedyktyńskiej pracy. To, co tutaj robię, jest tylko małym epizodem, tak mało znaczącym, jak tylko potrafię o to zadbać.

- Nie bądź śmieszna. Nikt cię nie namawia od razu do małżeństwa i czternaściorga dzieci. Ale trochę flirtu, mały romans od czasu do czasu, dodają życiu pikanterii.

- No, chyba nie takiemu stylowi życia - twardo zareagowała Charity. Co prawda niewiele wiedziała na temat romansów, jednak wystarczająco dużo, żeby uważać, iż jest to siła, która nie lubi ograniczeń i jakiegokolwiek banalnego zaszufładowania. Romans według niej był zaprzeczeniem spokoju i wypoczynku, po które tu przyjechała.

Ze smutkiem pomyślała, że nie będzie się musiała o to martwić. Zdawała sobie sprawę, że jej postać nie kojarzy się z typem romantycznym. Była wysoka i bardzo szczupła po ostatnim etapie specjalizacji, kiedy musiała pracować w najdziwniejszych porach i podlegać bezustannym stresom. Włosy krótko obcięte, nie wymagające przy pielęgnacji dużo czasu. Nie miała ani pieniędzy na strojenie się, ani czasu czy ochoty na dobieranie makijażu, czy zastanawianie się nad modą.

Krótko mówiąc, Charity zawsze wyglądała na taką, jaką była w istocie - niezwykle poważną, inteligentną i rozmiłowaną w nauce młodą kobietą. Rodzina zawsze zaliczała ją do „jajogłowych”.

Mandy, wciąż zajęta włosami Charity, zaczęła pogwizdywać.

- Mogę spojrzeć w lustro? - zapytała Charity.

- Nie!

- Dlaczego nie?

- Jeszcze nie skończyłam.

Mandy wyjęła pudło z kosmetykami i, mimo protestów kręcącej się na krześle Charity, pędzelkiem rozprowadziła cienie na jej powiekach, pociągnęła tuszem rzęsy, nałożyła róż na policzki i na koniec pomalowała jej usta szminką.

- Już mogę spojrzeć?

- Jeszcze nie teraz.

Zupełnie nie licząc się z kuzynką, Mandy podbiegła do szafy i zaczęła szperać w jej garderobie.

- To będzie dobre - zdecydowała wreszcie. Charity spojrzała na spódnicę i bluzkę, które Mandy

trzymała w rękach. Była to bladoniebieska wąska spódniczka i piękna biała jedwabna bluzka. Niby nic nadzwyczajnego, a jednak było w tym zestawieniu coś wyjątkowo eleganckiego. I bez wątpienia bardzo odpowiedni strój na pierwsze spotkanie z pracodawcą, panią Foster, wyznaczone na późne popołudnie.

- Nie mogę tego kupić. - Zaledwie dwa dni wcześniej Charity sprzeciwiła się naleganiom Mandy.

- Musisz - beztróska odpowiedziała Mandy. - Kelnerki w koktajlbarze muszą wyglądać olśniewająco. Pomyśl o tym zakupie jako o inwestycji, która ci się opłaci; zwrócą ci ją napiwki.

Charity wiedziała, że cokolwiek by robiła, nigdy nie będzie wyglądać olśniewająco, jednak uznała, że wszelkimi sposobami musi sobie pomóc, żeby skłonić klientów do napiwków. Przez trzy miesiące może zbiera kwotę potrzebną do spłaty długu. Kupiła więc nie tylko tę spódnicę i bluzkę, ale jeszcze sześć innych letnich strojów, których prawdopodobnie nie włoży na siebie potem do końca życia.

- Czy teraz mogę się już obejrzeć w lustrze? - zapytała po włożeniu spódniczki i bluzki.

Mandy uśmiechnęła się triumfalnie.

- Możesz - zgodziła się.

Charity obróciła się i spojrzała w zmeźniałe lustro wiszące na drzwiach ich sypialni. Zaniemówiła.

Z lustra patrzyła na nią wysoka młoda kobieta o lśniących zdrowych blond włosach, których jasne pasemka sugerowały, że ich właścicielka spędza na słońcu całe dni.

- Mandy, wydaje mi się, że z tymi pasemkami trochę przesadziłyśmy - odezwała się niepewnym głosem.

- Nonsens. Mężczyźni szaleją za blondynkami. Zdumiona lustrowała swoją postać. Jej oczy, już nie schowane za okularami, zrobiły się nagle duże i niebieskie jak niebo. Sposób, w jaki Mandy zaczesła do tyłu niesformnie wijące się włosy i jej fachowy makijaż, podkreślały owal twarzy, delikatny zarys nosa i miękką linię pełnych warg. Ciekawe, jak ten wydawałoby się skromny komplet uwydatnił jej drugie nogi i sprawił, iż robiła wrażenie wiotkiej jak trzcina. Nikt nie pomyślałby o niej, że jest płaska jak deska.

Z takim wyglądem śmiało mogłaby się znaleźć jako modelka na okładce jakiegoś magazynu dla kobiet.

Poczuła piekące łzy pod powiekami.

- Coś ty ze mną zrobiła?

- Spełniłam twoje życzenie. Żegnaj, Charity Marlowe M.D., witaj, Char, wielbicielko słońca, syreno. - W jej głosie nie było śladu aroganckiej pewności siebie, stał się dziwnie łagodny. - Zawsze uważałam, że jesteś bardzo ładna. Żalowałam ogromnie i uważałam wręcz za hańbę, żeby taką urodę chować za grubymi szklami okularów i przez bezustanną naukę doprowadzać cerę do takiego anemicznego wyglądu. Jesteś piękna, Char. Grzechem jest ukrywać taką urodę. Nawet lekarzom wolno być piękną, przynasz chyba.

- Lekarze nie mają czasu myśleć o urodzie - ze smutkiem odparła Charity. - Poza tym, to się jednak wydaje w jakiś sposób... płytkie.

- No tak. Ale tego lata będziesz miała dla siebie tyle czasu, ile zechcesz. Po to jest właśnie lato, żeby się wyszumieć. Żeby

zerwać z powagą i traktować wszystko lekko. Będę miała mnóstwo pracy z nauczeniem cię radości życia, Char!

- Biedactwo. Rzeczywiście masz ciężkie zadanie. Ale i ja mam swoje, które mnie w tej chwili najbardziej interesuje: jak nauczyć się kelnerowania. Chyba w planach na popołudnie przeznaczyłaś trochę czasu na ten drobny szczegół?

- Całą godzinę - zapewniła ją Mandy. Z szafki kuchennej wyjęła wszystkie szklanki, napełniła je wodą i ustawiła na tacy.

- Gotowe.

- Jak to, gotowe? '

- Oczywiście. Po prostu spaceruj po pokoju z tą tacą przez godzinę. Kiedy już uda ci się nie rozlewać wody, jesteś kelnerką. Chyba przyznasz, że to łatwiejsze od studiów lekarskich. - Spojrzała na zegarek. - Wracam za godzinę, żeby ci pokazać hotel. Przedstawię cię pani Foster. Jest naprawdę słodka.

- Każdy, kto zatrudnia niedoświadczoną kelnerkę, musi być chyba świętym - przyznała Charity.

- Tak, to prawda. Ale nie przesadzaj z jakimiś podziękowaniami. Na twoim miejscu nic nie mówiłabym na ten temat - radziła Mandy pewnym siebie tonem. - Biedna starowina, lubi sobie popijać. Zawsze jest trochę wstawiona.

- Ale mówiłaś jej chyba, Mandy, że to moja pierwsza praca kelnerki i że nie mam żadnego doświadczenia? - zaniepokoiła się Charity.

- Powiedziałam wszystko, co powinna wiedzieć - odpowiedziała Mandy wymijająco. - Trzymaj się, wychodzę zobaczyć, czy mi się uda dowiedzieć czegoś o Tajemniczym Gościu. Wracam za godzinę.

Charity wolałaby nie rozmawiać więcej na temat tajemniczego gościa. Czowała lekki skurcz serca na myśl, że może się kiedyś na niego natknąć, co było zresztą nie do uniknięcia. Byłoby to dla niej bardzo kłopotliwe i żenujące. Nie miała niestety zuchwałego, pełnego wdzięku sposobu bycia Mandy. A

teraz to wpatrywanie się w zastawioną tacę. Charity miała obezwładniające wrażenie, że obsługa gości było jednak nieco trudniejsze, niż to sobie wyobrażała Mandy. Zrezygnowana ułożyła tacę na przedramieniu. Była ciężka, cięższa aniżeli przypuszczała. Chodziła ostrożnie po pokoju hipnotyzując, niestety bezskutecznie, wylewającą się ze szklanek wodę.

- Pan zamawiał, zdaje się, whisky z wodą? - pytała uprzejmie puste krzesło stojące w rogu pokoju. Zdjąwszy jedną szklankę, nie mogła zapanować nad tacą, która się zachwiała i teraz Charity zmartwiona patrzyła na spryskaną wodą spódnicę. - Przynajmniej bluzka jest sucha - mruknęła pod nosem. Popatrzyła na rozrzucone po podłodze szklanki. Na szczęście były to tanie szklanki z grubego szkła, które nie tłukły się łatwo. Jednak musiała wytrzeć wszystkie plamy z wody ze starego linoleum pokrywającego podłogę. Była to już druga łyżka dziegciu w beczce miodu jej rajskiego wymarzonego lata.

Nigdy nie przyszło jej na myśl, że może być złą kelnerką. Dotąd była dobra we wszystkim, cokolwiek robiła. Co prawda, wszystkie jej dotychczasowe zajęcia, nawet dorywcze, miały charakter akademicki. Pracowała w bibliotece, zbierała materiały komuś piszącemu pracę doktorską, pracowała w laboratorium.

Nigdy nie myślała, że praca kelnerki może być trudna.

Nie tak trudna jednak, jak pierwsze spotkanie z Tajemniczym Gościem, które ją czekało. Co ją opętało, że mu się przyglądała przez lornetkę?

ROZDZIAŁ DRUGI

- Nazywa się Matthew Blake - oznajmiła Mandy schodząc razem z Charity po schodkach ich bungalowu. - Przyjechał z Londynu. Jak myślisz, z Londynu w stanie Ontario czy z Anglii? Założę się, że jeździ tym mercedesem zaparkowanym u nas. Mercedes! Myślę, że będziesz jedyną z rodziny Marlo we, która dojdzie do pozycji...

Charity już otwierała usta, żeby powiedzieć, że mercedes naprawdę nie znajdował się na liście jej aspiracji, kiedy usłyszały ostry zgrzyt opon i o włos uniknęły potrącenia przez elektryczny wózek golfowy, który się niebezpiecznie przechylił i zatrzymał.

- Uważaj, jak jeździsz, Nelson! - opryskliwie, ale wesoło, krzyknęła Mandy.

Nelson, najwyraźniej nie przejęty tym incydentem i wyraźnie niezbyt skłonny do usłuchania rady Mandy, pomknął dalej z głową odwróconą do tyłu, zamiast patrzeć przed siebie na drogę. Patrzył na dziewczęta! Dosłownie na sekundę przed wylądowaniem na drzewie zahamował, wysiadł z wózka i spokojnym krokiem ruszył w ich kierunku z szerokim, wystudiowanym uśmiechem, pełnym chłopięcego wdzięku.

Charity zdążyła się już przyzwyczaić do piorunującego wrażenia, jakie Mandy wywierała na mężczyznach, była więc nieco zbita z tropu, kiedy Nelson, wysoki długonogi chłopak o płowych włosach i miłym wyglądzie, nie spuszczał wzroku właśnie z niej.

- Cześć, Mandy - zagadnął, nie patrząc na nią. - Kim jest twoja przyjaciółka?

- To moja kuzynka, Char.

- Cześć, Char - powiedział, tak zabawnie siląc się na zblazowany światowy ton, że Charity przygryzła wargi, żeby nie wybuchnąć śmiechem. - Nie zjadłabyś ze mną kolacji dziś wieczorem?

- Nie, dziękuję - odparła Charity, tak uprzejmie jak tylko potrafiła.

Dla niej było całkiem jasne, że Nelson był od niej o kilka lat młodszy, ale, zapewne dzięki jej nowemu wyglądowi, nie było to jasne dla niego.

- Więc może innym razem - dodał z młodzieńczą godnością, obrócił się na pięcie i pogalopował do swojego wózka. Za chwilę już mknął pod górę z ogromną prędkością.

- Dlaczego się nie zgodziłaś? - zapytała Mandy.

- Co? Na miłość boską, Mandy. On... - zamilkła. Na poboczu stała drewniana ławka dziwna w kształcie. Nie było jednak nic zadziwiającego w męskiej postaci, która stanowiła jej ozdobę. Zmieszana Charity czuła, jak się czerwieni aż po szyję, kiedy próbowała ocenić w myślach odległość, na jaką mógł się nieść głos, jej i Mandy, w czasie rozmowy.

Boże, daj, żeby nie słyszał, o czym mówiłyśmy, prosiła w duchu. Podejrzewała jednak, że szczęście jej nie dopisało. W nieszczęściu, w której stał hotel, głos rozchodził się wprost nieprawdopodobnie. Z łatwością słyszała każde słowo rozmów prowadzonych gdzieś za nimi, z tyłu.

Straszne! Tego już było nazbyt wiele. Najpierw przyłapał ją na szpiegowaniu, a teraz na mówieniu o nim.

Matthew Blake siedział zjedną ręką niedbale wyciągniętą na oparciu ławki, w drugiej zaś trzymał grube, najwidoczniej bardzo mocne, cygaro. O ile z dużej odległości wyglądał na dobrze zbudowanego i silnego, to z bliska wrażenie to jeszcze się potęgowało. Miał co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu.

Charity, nieśmiało kierując wzrok na tajemniczego nieznanego, zauważyła jego płaski brzuch bez śladu tkanki tłuszczowej, szeroką klatkę piersiową, barczyste ramiona i muskularne długie ręce. Wreszcie odważyła się spojrzeć na jego twarz. Była to twarz wyrazista o nieregularnych rysach, która wydawałaby się nieprzenikniona, gdyby nie niebieskie oczy wpatrzone w nią badawczo, z lekką domieszką kpiny. Nie miała

cienia wątpliwości, że słyszał niemal każde słowo wypowiedane przez Mandy na jego temat. Pozostawało tylko przekonać się, czy ją rozpoznał.

- Dzień dobry - odezwała się słabym głosem. Mandy na moment jakby zamurowało, ale zaraz

zwróciła się do niego siadając na ławce:

- Pan Blake! Jak miło pana spotkać - wyciągnęła ku niemu rękę.

W jego oczach pojawił się błysk zdziwienia. - Nazywam się Mandy Marlowe, zajmuję się organizowaniem rozrywek dla gości tego ośrodka.

Z pewnym ociąganiem Charity podeszła do nich, ale nie usiadła na ławce. Po raz drugi tego dnia zdarzyło się, że, mimo obecności Mandy, uwaga mężczyzny skierowana była na nią. Czuła się nieswojo, tym bardziej że w spojrzeniu ciemnoniebieskich oczu dostrzegała jak gdyby pewną niechęć.

- A pani - zwrócił się do niej tonem wyraźnie sarkastycznym - zapewne nazywa się Pam.

- To jest moja kuzynka. Nie nazywa się Pam, tylko Char. Właśnie przed chwilą mówiliśmy o panu - pogodnie przyznała się Mandy.

Jej szczerłość zdumiała Blake'a. Najwidoczniej nie był przyzwyczajony do tego typu niespodzianek. Zanim zapanował nad rozbawieniem, kąciaki jego ust lekko drgnęły, a z oczu można było wyczytać, że jakaś myśl nie daje mu spokoju. Przez krótką chwilę Charity odczuła jego męskość w sposób tak zniewalający, że niemal zagłuszyła alarmowe dzwoneczki w jej głowie. Ale to był tylko moment.

Nagle dotarł do niej jego głos. Zimny, z lekka zabarwiony przyganą.

- Tak, słyszałem. Zdaje się, że pani kuzynka uznała, iż jestem bardzo interesujący.

Charity nie wiedziała, co z sobą zrobić. Najwyraźniej wziął ją za jakąś goniącą za mężczyznami piranię i, prawdę mówiąc, nie

można było mieć o to do niego pretensji. Najpierw przyłapał ją na podglądaniu przez lornetkę, a potem usłyszał, jak rozmawiają o nim z bezwstydną ciekawością!

- Panie Blake, chcę pana przeprosić za...

- ...swoją ciekawość - dowcipnie przerwała jej Mandy. - Jesteśmy obie nieuleczalnie ciekawe. To cecha rodzinna.

Mandy albo nie zauważyła solidnego muru jego powściągliwości, albo postanowiła go zburzyć przy pomocy swego magicznego wdzięku.

- Więc, moje panie, możecie dzisiaj spać spokojnie - oznajmił z właściwym sobie cynicznym wdziękiem.

- Jest to ten Londyn w Anglii.

- Naprawdę? - zainteresowała się Mandy. Charity zastanawiała się, czy Mandy stać było na zażenowanie.

- Ale pan chyba nie jest Anglikiem? Nie dosłuchuję się angielskiego akcentu.

- Istotnie, nie jestem. Jestem Kanadyjczykiem. Nie dodał nic więcej, mimo że Mandy miała szeroko otwarte oczy, dla zaznaczenia, jak ją to interesuje. Ale on przeniósł wzrok na Charity.

- Pani coś mówiła, panno Marlowe?

- Mówiłam, że musiał pan uznać skierowaną na pana balkon lornetkę jako potworne naruszenie intymności.

- Tak jest. Było to potworne naruszenie - zgodził się uprzejmie.

- Chciałam powiedzieć, że...

- Pokazywałam Char ptaka - przerwała jej Mandy, obracając się do Charity z ostrzegawczym zmarszczeniem nosa. Przybrała poważną minę. - Jestem tu dla organizowania rozrywek - powtórzyła, nie wyczuwając gęstniejącej wokół niej atmosfery, odkąd ciemnoniebieskie oczy napotkały jasnoniebieskie i wtopiły się w nie w długim spojrzeniu. - Mam nadzieję, że weźmie pan udział w jakiejś mojej imprezie.

- Może w podpatrywaniu ptaków na początek?

- Powinien pan wiedzieć - odezwała się Charity, którą zaczynała ponosić irytacja - że nie tylko ja używałam lornetki! A pan, co pan robił lornetując domki personelu?

Nie mogła uwierzyć, że zdobyła się na powiedzenie czegoś podobnego! Zaczęła rozmowę z chęci przeproszenia go, ale było w tym człowieku coś tak piekielnie denerwującego, że przeprosiny przemieniły się w oskarżenie.

- Może ja też lubię podglądać ptaki? - uśmiechnął się zjadliwie.

- Czyżby?!

- I nawet zobaczyłem ciekawy okaz. Myśliwego polującego na mężczyzn. Miał głowę owiniętą ręcznikiem.

Więc dowiedziała się, co o niej myślał. Przyrównał ją do zwariowanej poszukiwaczki męża, oczywiście z dobrymi widokami na przyszłość. Było to tak do niej niepodobne, że wybuchnęłyby śmiechem, gdyby się nie czuła tak bardzo upokorzona.

Ale Mandy się śmiała.

- Mój Boże! Potrafiłby pan wspaniale uatrakcyjnić moje wyprawy na obserwowanie ptaków. Mam nadzieję, że pan naprawdę będzie uczestniczył w naszych imprezach.

- Może pani na mnie liczyć - powiedział z wyszukaną uprzejmością, zwracając się do Mandy. Zaraz jednak na powrót utkwiał wzrok w twarzy Charity. - Czy pani także bierze udział w organizowaniu rozrywek dla gości?

- Nie, nie mam z tym nic wspólnego - odpowiedziała głosem oschłym, tak samo zimnym jak jego. - Mandy, naprawdę powinniśmy już iść - poważnym tonem upomniała kuzynkę.

Mandy odpowiedziała jej zdumionym spojrzeniem. Nareszcie dopadła swoją ofiarę, a Charity chce, żeby odeszły?

Ale Matthew Blake nie miał zamiaru tak szybko uwolnić ją z potrzasku.

- Cóż to za praca tutaj sprawia, że może pani być pierwszą osobą w rodzinie Marlowe, która będzie mogła sobie pozwolić na posiadanie mercedesa?

Mówił tonem naturalnym i obojętnym, może nawet lekko żartobliwym, ale wyraz oczu miał ciągle chłodny, nieco złośliwy i taksujący, jak gdyby ją oceniał i ważył coś w myślach.

- Mandy wtedy przekomarzała się ze mną - powiedziała Charity z zażenowaniem. - Jestem kelnerką w koktajlbarze... tylko przez to lato.

- Ten mercedes to moje auto. - Tym razem jego głos zabrzmiał niezwykle miękko. Nadal patrzył jej prosto w oczy. Wyczuwała w jego spojrzeniu jakby elektryczne napięcie, wyzwanie, którym czuła się zagrożona.

- Doprawdy nie interesują mnie samochody - powiedziała stanowczym tonem. Nie czekając na Mandy obróciła się z zamiarem odejścia.

- Wydaje mi się - usłyszała jego łagodny głos - że mercedes jest bardziej w pani stylu, aniżeli wózek golfowy.

Poczuła, że sztywnieje. Wszystko jakby się sprzysięgło przeciwko niej! Nawet propozycja Nelsona została fałszywie zinterpretowana i stanowiła jeden więcej dowód na to, że jest wyrafinowaną kokietką, która lubi wabić mężczyzn swoimi czarami. Co za ponury żart! Nie było sensu niczego wyjaśniać, każde słowo tylko pogorszyłoby sytuację. Była pewna, że po kilku dniach udowodni wszystkim w ośrodku, jaka jest naprawdę. Może jednak przekona Mandy, że powinna coś zmienić w swojej garderobie. Obróciwszy się spojrzała na Blake'a. I tym razem dostrzegła w jego mrocznych oczach niemal bezwzględne wyzwanie.

- Nie wiem - powiedziała chłodno, chociaż serce waliło jej w piersi jak szalone. - Nigdy nie jechałam żadnym z tych pojazdów. Mandy, nie chciałabym się spóźnić na spotkanie z panią Foster.

Obróciwszy się, zaczęła schodzić aleją, do głębi wzburzona spotkaniem z tym beczelnym i aroganckim mężczyzną. Po chwili dogoniła ją Mandy.

- Na Boga, Char. Po co ten pośpiech?

- On czuje do mnie niechęć - powiedziała spokojnie Charity, a w duchu dodała: tak jak ja do niego.

- Bzdura. Patrząc trzeźwo, zaprosił cię na przejażdżkę swoim samochodem. Myślę, że go intrygujesz! Czy to nie podniecające?

- Nie!

- Uważam, że był fantastyczny.

- Owszem, jest przystojny - przyznała Charity.

- Inteligentny, przystojny, światowiec - wyliczała rozmarzona Mandy. - I tajemniczy.

Powiedział co prawda, że ma mercedesa, ale ściśle mówiąc było to przyznanie się do tego, a nie informacja. Najwidoczniej z góry sobie zaplanował, żeby mówić jak najmniej o sobie, natomiast wyciągnąć jak najwięcej wiadomości o nich obu. Jak kot, który pokazuje myszy kawałek sera i obserwuje, jaka będzie jej reakcja. Popęłnił jednak błąd, polegający na tym, że jednocześnie pokazał swoje pazury.

Charity stanowczo postanowiła przestać o nim myśleć. Za dużo wagi przywiązywała do tego spotkania. Miała nadzieję, że w czasie zapoznawania się z obiektami ośrodka zdoła zapomnieć o kpiącym spojrzeniu Matthew Blake'a.

Hotel był cudownym starym budynkiem. Główne wejście prowadziło do niewielkiego holu, w którym mieściła się recepcja. Po prawej stronie znajdowały się schody prowadzące do szesnastu pokoi dla gości. Na wprost, przez oszklone dwuskrzydłowe francuskie drzwi, wchodziło się do obszernego pokoju, który dawniej służył gościom do celów rekreacyjnych. Był to jakby salon, obecnie zaś został zamieniony na jadalnię. Wzdłuż całej jednej ściany stały półki z książkami.

Na pozostałych ścianach, z bali, zawieszono stare strzelby, narty i raki. Uroczym kontrastem do tego wystroju wnętrza były stoliki przykryte nieskazitelnie białymi obrusami w bardzo dobrym gatunku, na których rozstawiono naczynia od porcelanowego serwisu i rozłożono rodowe srebra.

Po obu stronach dużego kamiennego kominka również znajdowały się francuskie drzwi, nad którymi zawieszono niewielkie drewniane tabliczki z wypalonym godłem „Susweca Lounge”.

Wszedłszy przez nie do swojego nowego miejsca pracy, Charity uśmiechnęła się uradowana. „Susweca Lounge” była olbrzymią krytą werandą, zbudowaną na palach wbitych w dno zatoczki. Stało tam trzydzieści, a może więcej, małych okrągłych stolików. Zarówno widok z werandy, jak i orzeźwiający powiew z jeziora, stwarzały cudowną atmosferę.

- Wygląda to wspaniale - orzekła Charity, gratulując sobie samej.

- Wieczorem jest tu jeszcze ładniej - zapewniała ją Mandy. - Kiedy palą się gazowe latarnie, a na wodzie widać refleksy odbijających się gwiazd.

Jeszcze raz przeszły przez jadalnię i hol do małego gabinetu, gdzie powitała je pani Foster, o wiele starsza, aniżeli sobie Charity wyobrażała.

- Gdzieś posiałam okulary - powiedziała pani Foster na wstępie. - Mandy, moja droga, nie widzisz ich tu gdzie?

- Wiszą na łańcuszku na pani szyi - szepnęła Mandy. - Pani Foster, to jest moja kuzynka, Char. Pamięta pani? Ta, o której pani mówiłam.

- Naprawdę? Mówiłaś? - zapytała pani Foster.

- Ależ tak. Ma być kelnerką w Susweca do końca lata.

-Aa... Susweca. Wiecie, że w języku Siuksów susweca znaczy „ważka”? Czy mówiłam ci już o tym, Mandy, że jest to miejsce, gdzie spotkaliśmy się z Paulem? Była wtedy uroczna noc.

Miałam szesnaście lat i włożyłam swoją najpiękniejszą sukienkę. Całe niebo usiane było gwiazdami. Cudownie. Naprawdę było cudownie. Kochanie, nie widzisz gdzieś moich okularów?

Mandy ująwszy delikatnie okulary umieściła je na nosie swojej szefowej.

- Czy może mi pani coś powiedzieć o Matthew Blake'u? - zapytała.

- Matthew... - zastanowiła się pani Foster. - Matthew - rozpromieniła się nagle. - Tak, Matthew ma takie gwałtowne usposobienie. O, jest tu, wszędzie. - Wskazała ręką na gzyms kominka, na którym stały rozmaite fotografie, niektóre zrobione bardzo dawno.

Jeszcze chwilę Mandy i Charity słuchały paplaniny bez ładu i składu i pożegnały panią Foster.

- Od jak dawna ona jest w takim stanie? - zainteresowała się Charity.

- Zdaje się, że z każdym rokiem jest coraz gorzej. Nie uwierzyłybyś, jaka to była mądra i pogodna kobieta, kiedy przyjechałam tu po raz pierwszy.

- Jak to jest, że daje sobie radę z prowadzeniem tego ośrodka?

- No, my wszyscy mamy w tym swój udział. Niektóre osoby z personelu pracują tu od dwudziestu lat. Wiemy, co każdy z nas ma robić i staramy się, żeby było jak najlepiej. Czy wiesz, że przez cały czas, odkąd tu pracuję, nie zdarzyło się, żeby coś zginęło? Normalnie jest to plaga pensjonatów i restauracji. Pracujący w nich ludzie wynoszą wszystko, od bielizny pościelowej do popielniczek. Ale to miejsce jest zupełnie inne. Czujemy się tu jak w rodzinie i przypuszczam, że każdy zachowuje się wobec niej lojalnie.

- Powinna jednak zasięgnąć porady u jakiegoś lekarza - ostrożnie powiedziała Charity.

- Jesteśmy, to znaczy personel, tego samego zdania, ale boimy się nalegać. Nikt z nas nic nie wie o jej rodzinie. Zupełnie się

tym miejscem nie interesują. Można sobie wyobrazić, że i ona ich nie obchodzi. Zajmujemy się nią jak możemy. Byłoby straszne, gdyby rodzina zabrała ją stąd i umieściła w jakimś obcym jej miejscu. Ona się tu czuje szczęśliwa i jeśli nawet nie może już dużo pomóc, to przynajmniej nie robi głupstw. Wszyscy ją kochają. W końcu nie wiem, co myśleć. Czy zna tego Matthew Blake'a, czy nie? Jak sądzisz?

- Sądzę, że ten Blake bez przerwy chodzi ci po głowie

- odparła Charity swoim rzeczowym tonem lekarza.

- Zerwij z tą obsesją i odezwij się do mnie na jego temat za dwa tygodnie.

- Wydaje mi się, że on rzeczywiście może być gwałtowny - powiedziała z wahaniem Mandy. Po chwili dodała: - Jednak, nie. Prawdopodobnie na tych zdjęciach, o których wspominała, był ktoś zupełnie inny. Ona ma chyba trzydzieścioro wnuków. Możliwe, że jednym z nich jest Matthew. Pomyśleć, że kiedy go już poznałam, niewiele więcej wiem i o nim, i o jego pobycie tutaj.

- Może jest przedsiębiorcą budowlanym, który planuje budowę szeregu bloków mieszkalnych w tym miejscu, gdzie rozciągnięta jest siatka do siatkówki - bezlitośnie drwiła Charity.

- Masz chyba sople lodu zamiast serca

- Oczywiście - odburknęła dziewczyna.

- Charity, cały kłopot z tobą polega na tym, że jesteś przyzwyczajona do tego, by ludzie kłaniali ci się w pas, bo jesteś pani doktor, więc naturalnie musisz być ważną osobą. Nie zauważyłam, żeby się w stosunku do ciebie zachował bez szacunku. Po prostu uznał, że jesteś zwykłą śmiertelniczką, jak my wszyscy. A że masz seksapil, więc potraktował cię jak każdą pociągającą dziewczynę. Musisz się do tego przyzwyczaić tego lata.

Charity musiała przyznać, że jest jakieś ziarno prawdy w tym, co mówi Mandy, ale nie była to dla niej wielka pociecha.

- Wiesz, Mandy, może jednak nieco stonujemy ten mój seksowny obraz. To takie ode mnie dalekie.

- Przestań - zgasiła ją kuzynka. - Wiesz, co myślę? On pewnie jest pisarzem. Czy to nie wspaniałe miejsce dla kogoś, kto pisze książki?

- Hmm - mruknęła Charity niezbyt przekonana. - Z pewnością nie pisze romansów.

- Przygodowe - zdecydowała Mandy.

- Horror - poprawiła ją Charity.

Jeśli to nie była najgorsza noc w życiu Charity, to niewiele jej do tego brakowało. Było to otwarcie sezonu w Anpetuwi i bar pękał w szwach. Mimo że koktajlbar znajdował się na otwartym powietrzu, dach zatrzymywał jednak sporo dymu z papierosów. W pewnym momencie Charity poczuła, że jego stężenie stało się wręcz zabójcze.

Już w pierwszej godzinie pracy jej lekka sukienka na ramiączkach, koloru płomienia, wyglądała żałośnie. Goście wzywali ją ze wszystkich stron. Nie mogła zapamiętać nazw napojów, jakie zamawiali, a podliczanie rachunków w pamięci graniczyło z cudem.

Na domiar złego stopy piekły ją bardzo w nowych pantoflach, co więcej - w pewnym momencie pojawił się ON. Na szczęście nie było wolnego stolika, ale od czegoż zła passa? Dokładnie w chwili, kiedy wydawało się, że będzie się musiał wycofać do jadalni, od jednego ze stolików podniosła się młoda para i zwolniło się miejsce dla Matthew Blake'a.

Zanim do niego podeszła, wydawał się już zniecierpliwiony, jak ktoś aż nazbyt przyzwyczajony do tego, że cały świat rzuca wszystko, żeby być na jego usługi.

- Co mam panu przynieść, panie Blake?

Obrzucił ją taksującym spojrzeniem, długo nie odrywając oczu od jej twarzy. Jak śmiał traktować ją w ten sposób, jak gdyby miał prawo do krytycznego lustrowania jej z tą swoją wyniosłą manierą?

- Kanadyjska whisky z wodą. - Odchyliwszy się do tyłu zapalał cygaro, krótkie, grube i cuchnące.

Stała nie spuszczać z niego wzroku. Mogła zatrudnić się na lato jako kelnerka, ale nie pozwoli, żeby traktowano ją jak bezmyślnego robota.

- Proszę - dokończyła jego zamówienie.

Miała tę przyjemność, że zobaczyła, jak ze zdumienia otworzył usta. Zamknął je natychmiast i ze zwięzonymi oczyma skłonił lekko głowę.

- Przepraszam panią, panno Marlowe. Proszę.

- Dziękuję - powiedziała cierpko. Wiedziała, że powinna na tym poprzestać, ale jakieś licho ją podkusiło, by udzielić mu jeszcze jednej lekcji. - Czy mogę zadać panu jedno pytanie?

Poruszył lekko ramionami, ale nie uszło jej uwagi, jak czujne stało się jego spojrzenie. Zaciągnął się cygarem i cienką smużką wypuścił dym z tych swoich stanowczych, zmysłowych warg.

- Czy pan wie, jak wyglądają płuca człowieka? Wszystkiego się spodziewał, tylko nie tego. Miała małą satysfakcję, że nie dogodziła jego próżności pytając o to, co robi w Londynie, czy zadając mu tuzin innych pytań, na które, jak się zdawało, mógł być łasy. Podniósł brwi, co miało wyrażać zdziwienie zaprawione kpina.

- Nie. A pani wie?

- Owszem, wiem. Jest to niewiarygodnie piękny i delikatny narząd w pana ciele. Zdrowe płuco jest różowe i wygląda jak plaster miodu, tyle że ma komórki wypełnione powietrzem. Płuco chore jest czarne i lepkie. Dobrze, że nie musi pan nosić swoich płuc na zewnątrz klatki piersiowej, zepsułyby pana wizerunek sportowca, na którym panu tak bardzo zależy.

Zaskoczyła go, wiedziała o tym. Była zbyt zmęczona, żeby ją to obchodziło. Jeśli ją zwolnią z pracy, no to będzie zwolniona. Było to warte, choćby dla ujrzenia wyrazu jego twarzy.

Ale i on ją zaskoczył. Uśmiechnął się! Co prawda był to blady uśmiech, ale był. Zgniół cygaro w popielniczce i skierował na

nią swoje uważne spojrzenie. Zaintrygowało go jej zachowanie. Wiedziała, że lepiej będzie, jeśli się powstrzyma od udzielania gościom wskazówek na temat zdrowia. Przyjechali tu odpocząć i rozerwać się. Koktajlbar nie był gabinetem lekarskim, w którym się udziela porad medycznych.

- Czy po przyniesieniu mi drinka także wygłosi mi pani wykład, panno Marlowe? - zapytał oschle.

- Tylko w tym przypadku, jeśli ich pan będzie zamawiał za dużo.

Kiedy niosła mu zamówioną whisky, była już sobą, odzyskała równowagę ducha.

- Nie powinnam była pana pouczać - powiedziała stawiając przed nim szklanke. - To oczywiste, że ma pan prawo niszczyć swoje zdrowie, jeśli tak się panu podoba.

- Dziwnym sposobem pani przeprosiny brzmią jak kolejny wykład. Może to taka pani metoda. Dziś po południu zaczęła pani od przeprosin za podglądanie mnie, a skończyła pani na zarzuceniu mi, że to ja panią podglądałem.

Co mogła mu na to odpowiedzieć? Przecież to była prawda.

- Wydaje mi się, że moja osoba niezwykle panią interesuje.

Dostrzegła figlarny błysk w jego oczach. Wiedziała, że ją prowokuje, a jednak nie umiała się powstrzymać od gwałtownego zaprzeczenia.

- Nic podobnego!

Uśmiechnął się szeroko. Uśmiech ten miał tyle młodzieńczego wdzięku, że zupełnie zmienił jego twarz. Znikła gdzieś ostrość rysów i Charity wpatrywała się w niego, jak gdyby ujrzała go po raz pierwszy. Wydawał się ogromnie sympatyczny, a nawet pociągający. Zainkasowała pieniądze za przyniesiony drink i oddaliła się najszybciej jak mogła.

Oddaliła się, ale nie uwolniła od niego. Czuła na sobie ścigający ją wzrok szafirowych oczu, które czasem wodziły za nią po sali, czasem zaś wpatrywały się w nią intensywnie, jak gdyby ją oceniając. Świadomość tego, w połączeniu z

wyzwaniem, jakim była dla niej zupełnie obca jej praca, sprawiały, że uznała ten wieczór za najcięższy z dotąd przeżytych.

Jak tylko mogła, unikała zbliżania się do stolika Matthew Blake'a, starając się jednocześnie, żeby mu nie dać możliwości zorientowania się w jej strategii.

- Proszę tylko o wodę z lodem - zamówił, kiedy się zebrała na odwagę i podeszła do jego stolika. Co takiego było w tym człowieku, że każdy nerw drżał w niej od szalonego napięcia, a ciarki przechodziły jej po skórze na samą myśl o nim?

Przyniosła mu zamówioną wodę, z ulgą obserwując jak pustoszeje sala. Do zakończenia pracy pozostała tylko godzina.

- Co właściwie znaczy Anpetuwi? - zapytał lekkim tonem, jakby zauważył, że jej praca wymaga już mniej pośpiechu albo może spostrzegł w niej pewne odprężenie.

Spojrzała na niego zaskoczona. Przy zmęczeniu i zamęcie w głowie takie pytanie wydało się jej okropnie głupie. Kogo mogło obchodzić, co znaczy Anpetuwi, kiedy miała sprzątać trzy stoliki, cztery osoby przywoływały ją skinieniem rąk, a lista drinków, które miała zamówić w barze, rosła złowrogo.

- Wie pan, nie mam pojęcia - powiedziała przez zaciśnięte zęby. - Czy chciałby pan, żebym się dowiedziała?

- A mogłaby się pani dowiedzieć? Niech cię diabli wezmą, pomyślała.

- Jeśli panu na tym zależy.

Mandy siedziała przy stoliku razem z innymi pracownikami ośrodka. Śmiech i głośna rozmowa świadczyły o tym, że bawili się świetnie. Nelson, który zdaje się pił za dużo, patrzył na Charity coraz bardziej rozmiłowanym wzrokiem.

- Co znaczy Anpetuwi? - Charity zapytała szeptem kuzynkę.

- Kobieta leżąca na skale nago - bez chwili namysłu odpowiedziała Mandy.

Charity spojrzała na nią podejrzliwie.

- Zmyślasz!

Mandy wzruszyła ramionami. - Popatrz na tamtą skałę na lewo od ujścia zatoki do jeziora.

Charity spojrzała na czarne lustro wody w kierunku skał. Światło księżyca było na tyle jasne, że wyraźnie dostrzegła skałę istotnie przypominającą nagą postać kobiecą, która leżała na plecach z krągłymi piersiami sterczącymi do gwiazd.

- Boże mój - szepnęła. Nasunęło jej się straszne podejrzenie, że on doskonale wiedział, co znaczy Anpetuwi i zapytał po to tylko, żeby ją wprawić w zakłopotanie. Cóż, trzeba by czegoś znacznie mocniejszego, żeby wprawić w zakłopotanie kogoś tak obeznanego z anatomią człowieka jak Charity.

- A co znaczy Susweca? - zapytała na wszelki wypadek. Pani Foster powiedziała im przecież wczoraj, co to znaczy, ale Mandy, którą zawodziła pamięć do takich szczegółów, prawdopodobnie tego nie pamięta. Jeśli skłamała w sprawie Anpetuwi, potknie się i da się złapać teraz.

- Ważka - odparła Mandy.

- Wspaniale.

Charity nie podeszła do jego stolika natychmiast, dopiero za chwilę zatrzymała się, przechodząc blisko.

- Hotel nazwano tak prawdopodobnie z powodu skały, którą widać na lewo od ujścia zatoki - poinformowała go obojętnym tonem. - Anpetuwi znaczy: kobieta, która leży naga na skale.

- Naprawdę? - zapytał uniósłszy brwi, ale pociemniałe oczy pytały ją o coś zupełnie innego.

Przełknęła ślinę.

- Tak. A Susweca oznacza ważkę. Słysząc ostatni dzwonek, bar się zamyka. Czy pan sobie jeszcze czegoś życzy?

- To zależy, co pani proponuje - odparł stłumionym kusocielskim głosem. Widząc jej zakłopotanie, spojrzął w kierunku stolika Mandy. Było jasne, że obserwowali całą scenę i teraz pokładali się ze śmiechu.

Z kolei przeniósł wzrok na nią, przyjrzał się jej krótko z zaciekawieniem. Skinął głową na pożegnanie, podniósł się od stolika i wyszedł.

Patrzyła za nim wstrzymując oddech. Widać było wyraźnie, że coś go nagle poruszyło. Postanowiła przestać o nim myśleć. Jedną z jej dobrych cech była umiejętność narzucania sobie dyscypliny wewnętrznej. Zbyt znużona, żeby ją to obchodziło, zdała sobie sprawę, że wystawiła się na pośmiewisko.

On zorientował się pierwszy. Pomyślała, że ciepły wyraz jego oczu, który wzięła za objaw sympatii do siebie, wstrząsnął nią znacznie bardziej, aniżeli jego twarde, zimne spojrzenie. Gorąco zapragnęła, żeby nie przychodził na drinka codziennie.

Później przetarła na mokro stoliki i włożyła do automatycznej zmywarki ostatnie szklanki.

Barman spojrział na nią przyjaźnie.

- Jak tam, dobrze się czujesz?

Prawdę mówiąc była bliska płaczu. Zamiast zgarnąć z napiwków sporą sumkę, brakowało jej dziesięciu dolarów. Musiała się pomylić i wydać komuś za dużo reszty, czuła się przegrana.

- W porządku - wymamrotała.

- Zobaczysz, Char. Za dwa tygodnie wszystko będzie dla ciebie bardzo łatwe.

Nie, nie będzie, chciało jej się płakać. Zdobyła się jednak na uśmiech; przecież był taki miły. Razem z nią przez cały wieczór przeżywał napięcie, w jakim pracowała, żeby sprostać nowym dla niej obowiązkom.

- Wspaniale mi pomagałeś. Dziękuję ci bardzo.

- Po to tu jesteśmy, kochanie, żeby sobie nawzajem pomagać.

Poruszyła ją ta głęboko ludzka deklaracja, która wyszła z tak skromnego źródła, i to w zupełnie nowym otoczeniu. Okazało się, że szlachetnych ludzi można spotkać wszędzie. Wzbudziło to w Charity cień nadziei co do jej przyszłości jako kelnerki.

Wyszła z hotelu. Wokół panowały ciemności, było pusto. Wszyscy goście już dawno poszli do siebie. Czuła się wyczerpana, ale jednocześnie ożywiona, zupełnie trzeźwa. Nie chciało jej się spać. Dobrze знаła ten stan z dyżurów na oddziale intensywnej terapii.

Miała ubranie, a nawet skórę, przesiąkniętą dymem z papierosów. Zdawało jej się, że czuje ciężki, stary i tłusty dym na swoich włosach.

Nie zastanawiając się nawet nad tym, gdzie idzie, doszła do jeziora. Noc była piękna i spokojna, niebo usiane gwiazdami. Wspięła się na leżące nad brzegiem jeziora otoczaki, usiadła i zanurzyła w wodzie obolałe, pokryte pęcherzami stopy.

Po chwili rozejrzała się dokoła. Noc była ciemna i cicha. Czuła się tak, jak gdyby była jedyną nie śpiącą osobą na świecie. Skały, za którymi usiadła, osłaniały ją jak parawan od hotelu i domków personelu.

Nagle zapragnęła poczuć się czysta. Zanurzyć się w zimnej orzeźwiającej wodzie, ochłodzić nią rozgrzaną, nasiąkniętą dymem skórę, dokładnie splukać go z włosów. Kiedy zrzuciła wierzchnie ubranie, zawahała się przez chwilę. Zdecydowanym ruchem zdjęła także bieliznę. Stała, nie mogąc nacieszyć się kojącym działaniem chłodnego powietrza nocy na jej delikatną jak jedwab skórę.

Z radosnym westchnieniem skoczyła do wody. Poczowała się odprężona, ogarnął ją rozkoszny wprost spokój.

Nieoczekiwanie usłyszała kpiący męski głos, który w jednej chwili zburzył jej błogi spokój.

- Więc to pani jest tą kobietą, która leży naga na skale?

ROZDZIAŁ TRZECI

Woda, która jeszcze kilka minut temu wydawała się tak orzeźwiająca, stała się teraz lodowatym kompresem, paraliżującym ruchy jej gwałtownie drętwiejących rąk i nóg. Zaczęła szcząkać zębami. Wreszcie, pokonując szok i zimno, zdołała wydobyć z siebie głos i przemówić drżącymi wargami.

- Panie Blake...

- Zważywszy na okoliczności, czy nie uważa pani, że jest pani śmiesznie oficjalna? - Jego głos był kojący jak przed chwilą woda. Miał w sobie ciepło i łagodność aksamitu.

- Panie Blake... - powtórzyła z rozpaczą drżącym głosem.

- Matthew - nalegał delikatnie.

- Matthew - poddała się ze złością w głosie. Wiedziała to samo co, niestety, on, że miał nad nią całkowitą przewagę. Z pewnością nie był to czas na dyskusje.

- Myślę, że będzie lepiej, jeśli wyjdiesz z wody. Wydajesz się zziębnięta.

- Zziębnięta? Ja zamrzam, ale nie mogę wyjść z wody, dopóki pan tam stoi.

- Dlaczego nie? - zapytał tak niewinnym tonem, że chciała krzyknąć.

- Nie mam na sobie kostiumu kąpielowego - warknęła.

- Nie masz? To znaczy, że kapiesz się nago?

- Do licha, dobrze pan wie, że tak.

- Jest to jedna z drobnych życiowych przyjemności - stwierdził filozoficznie. - Dlatego ja także tutaj przyszedłem.

- Matthew!

- Zamykam oczy - oznajmił.

Spojrzała na niego podejrzliwie. Osądziła, że to było wszystko, co gotów był dla niej zrobić.

- Co więcej, pożyczę ci ręcznik.

- Bardzo szlachetnie z twojej strony - odburknęła.

Odwrócił się od niej. Prawdziwy dżentelmen. W ułamku sekundy wyskoczyła z wody. Sięgnęła po ręcznik i owinęła się nim błyskawicznie. Był wielki i puszysty. Zdziwiło ją, że Matthew nadal stoi odwrócony.

- Już w porządku - odezwała się.

Obrócił się twarzą do jeziora i w ogóle na nią nie spojrzął. Bezradna patrzyła, jak, guzik po guziku, rozpina koszulę. Księżyc srebrzystym światłem oblewał wyłaniające się ciało i kiedy już koszula znalazła się na ziemi, wstrząsnął nią dreszcz. Tym razem nie miał on nic wspólnego z zimnem. Charity ujrzała w całej okazałości nagą, potężną klatkę piersiową. Krótkie kręjące się włosy pokrywały ją w kształcie litery T, od szerokiej piersi schodząc w dół do płaskiego brzucha. Stał nieruchomo jak posąg. Zdaje się, że dobrze zdawał sobie sprawę, iż była całkowicie pod wrażeniem jego męskiej urody.

W pewnej chwili jego dłonie znalazły się przy klamercie od spodni. Odpiąwszy ją z dręczącą powolnością, zrobiły to samo z zatrzaskiem i wreszcie zamkiem błyskawicznym. Zgrzyt przesuwanego w dół zamka w całkowitej ciszy nocy zabrzmiał niezwykle ostro.

Powolnym ruchem Matthew zaczął ściągać spodnie, najpierw z jednej mocnej i muskularnej nogi, następnie z drugiej.

Przez moment Char poczuła serce w gardle, ale wtedy dostrzegła, że mężczyzna ma na sobie krótkie ciemne kąpielówki. Ruszył przed siebie kocim krokiem. Zatrzymał się dopiero na skraju skały. Zamarł tam przez chwilę, przypominając posąg z brązu, następnie wznosił ręce do góry, napiąwszy wszystkie mięśnie wyciągnął się i dał nurka do wody. Tylko jedna lśniąca okrągła zmarszczka na powierzchni wskazywała miejsce, w którym jego ciało, jak gibka strzała, przebiło lustro wody.

Charity znalazła swoje ubranie i przykucnęła za jednym z ogromnych otoczków. Patrząc ponad krawędzią kamienia, mogła się ubierać i jednocześnie obserwować Matthew.

Wynurzył się daleko na zatoce. Włosy gładko przylgnęły mu do czaszki, a krople wody powoli, jak krople rtęci, spływały po grzbiecie nosa i po policzkach. Korzystając z podwójnej osłony, jaką dawała jej skała i ciemności nocy, Charity widziała, jak Matthew, silnymi ruchami zagarniając wodę, płynie do skał i z powrotem na środek zatoki.

Miała nadzieję, że zdąży odejść z tego miejsca, zanim on skończy pływać, ale nie udało się. Już był blisko brzegu, a tymczasem jej sukienka z cienkiego materiału jak na złość przylepiła się do jej ciągle mokrej skóry. Wiedziała, że jeśli pociągnie mocniej, tkanina się rozedrze. Tymczasem Mathew już się wynurzył i potrząsał głową, strzepując wodę z włosów, która spływała srebrnymi od światła księżyca kropelkami.

Jednym mocniejszym szarpnięciem Charity obciągnęła sukienkę. Wyszła zza skały już ubrana, ale nieprzyjemnie oblepiająca ją sukienka nie tylko nie ogrzewała jej zziębniętego ciała, ale na dodatek ciągle cuchnęła dymem z papierosów. Pierwszą jej myślą było uciekać jak najprędzej, ale straciłaby szacunek dla samej siebie, gdyby zachowała się jak tchórz.

Podeszła do Matthew i rzuciła mu ręcznik.

- Dziękuję. - Jej głos zabrzmiał dziwnie piskliwie. Nie wiedziała, dlaczego. Męskie ciało nie było przecież dla niej żadną tajemnicą. Ale takie ciało, niemal nagie, stwardniałe od zimna i oblane księżycową poświatą, stanowiło dla niej nowe doznanie.

Nawet w półtonach czerni nocy Charity widziała, jak zwężają się niebezpiecznie szafirowe oczy Matthew.

Zauważyła iskierki pożądania pogłębiające jeszcze ich szafir.

- Proszę bardzo - powiedziały jego usta, ale oczy mówiły całkiem co innego.

Ratuj się, nakazywał jej głos wewnętrzny.

- Dobranoc - powiedziała zdecydowanym tonem. Dumnie podniosła głowę, jak gdyby była królową, a nie zwykłą kobietą

z mokrymi włosami, i do tego w wilgotnej przezroczystej sukience.

- Nie odchodź - poprosił gardłowym głosem. Stała nieporuszona w świetle księżyca, jak posąg, podczas gdy on wycierał się ręcznikiem. Skóra na muskularnym ciele to napinała się, to marszczyła, niemal hipnotyzując wpatrzoną w niego Charity.

Nie odzywał się na razie. Sięgnął do sterty rzuconej niedbale garderoby i wyciągnął z niej koszulę. Obrócił się twarzą do Charity i ciągle bez słowa spoglądał na nią spod zmrużonych powiek.

Włożył koszulę, ale nie zadał sobie trudu, żeby ją zapiąć. Pod wpływem chłodu i zmęczenia jego szeroka pierś podnosiła się i opadała przyśpieszonym rytmem. Na owłosieniu okalającym sutki maleńkie kropelki wody błyszczały jak diamenty.

- Powinam się już położyć - powiedziała nieśmiało.

- Sama? - zapytał cichym głosem.

- Panie Blake, nie wiem, jak to się dzieje, ale ma pan o mnie z gruntu fałszywe wyobrażenie.

- Sam nie wiem, jak to się dzieje - ciągnął tym samym miękkim głosem, do którego wkradł się jednak ton sarkastyczny.

- Obserwowałeś mnie przez lornetkę. Rozmawiałeś o mnie z przyjaciółką. Przyszedłeś tu popływać bez najmniejszej choćby szmatki na sobie. Co mam o tym myśleć?

- Ty zuchwały, arogancki, zepsuty podglądacz!

- W porządku. Jeżeli jestem podglądaczem, to znaczy, że jesteśmy sobie równi, nie sądzisz?

- Panie Blake, jak mam pana przekonać, że nie jestem typem kobiety, o który mnie pan posądza?

Zmysłowe usta Matthew wygięły się w uśmiechu. Był to najniebezpieczniejszy uśmiech, jaki zdarzyło się jej kiedykolwiek widzieć.

- Udowodnij mi - wyszeptał. Nastąpiła w nim gwałtowna zmiana. Dotychczas małomówny i spokojny, ruszył w jej kierunku krokiem jakby niepewnym, a mimo to niosącym w sobie jakąś groźbę.

Nagle jego roziskrzone szafiry znalazły się zaledwie o kilka centymetrów od jej oczu. Patrzyły na nią z wysokości, która zmuszała do uniesienia brody. Charity nie chciała odwracać wzroku, mimo przejmującej i niepokojącej świadomości, że jego odkryta, szeroka pierś znajduje się o kilka niebezpiecznych centymetrów od jej własnej. Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że jej sutki ściągnęły się i stwardniały. Czuła opierającą się o nie delikatną tkaninę sukienki.

Prawdopodobnie był to przypadkowy fizjologiczny objaw, który ten arogancki rozpustnik gotów uznać za zaproszenie! Skrzyżowała ręce na piersiach.

- Kiedy postanowiłam popływać, nie przypuszczałam, że ktoś może jeszcze nie spać - oświadczyła królewskim tonem.

- To tak samo jak ja - mruknął.

- Gdyby pan był dżentelmenem, zawróciłby pan widząc, że to miejsce jest zajęte!

- Nie jestem dżentelmenem - prychnął.

- Ooo, widać to doskonale! - Płochliwie przemknęła wzrokiem po jego piersi. Tak, nie jest dżentelmenem. Takie klatki piersiowe należały do innej epoki, niebezpiecznej epoki awanturników i poszukiwaczy przygód, którzy chlubili się swoją brutalnością, obłupywali się doszczętnie ze skóry i z odkrytymi piersiami śmiali się w nos morskim wichrom.

- Taki sam ze mnie, dżentelmen, jak z ciebie dama - odwzajemnił się jej pięknym za nadobne szorstkim, uszczypliwym tonem.

- Otóż jestem damą! - wykrzyknęła. - Dokładnie to próbowałam panu powiedzieć.

- Co innego mówisz, a co innego robisz. - Jego błyszczące oczy przybrały wyraz niezgłębiony, a przytłumiony głos drżał

złowieszczo, przywodząc na myśl szelest węża wijącego się wśród wysuszonej trawy.

- Ja... ja nie wiem, o czym pan mówi - wyjąkała.

- Twoje oczy wyraźnie mnie zachęcają.

- To nieprawda! - zaprzeczyła, mocniej zaciskając skrzyżowane na piersiach pięści, które już wyrwały się, żeby zakryć oczy przed jego badawczym wzrokiem.

- Przecież widzę. Ośmielają mnie coraz bardziej. Są roziskrzzone i zmysłowe, jak błękit nieba w środku lata. Jak gorący i parny sierpniowy dzień. Tak pociągające jak staw wśród gór, wiernie odbijający przesłanie nieba.

- Pana zuchwałość jest po prostu niewiarygodna - prychnęła gniewnie.

- Moja zuchwałość jest niewiarygodna - powtórzył łagodnie. - Czy możesz zrozumieć, co mam na myśli mówiąc, że w twoim zachowaniu wyczuwam fałszywe tony? Chodzi mi o twój język, sposób posługiwania się nim. Obca mu jest popolitość języka kelnerek.

- Co za śmiesznie protekcyjne stwierdzenie - powiedziała niepewnie. - Nie zrobił pan na mnie wrażenia mężczyzny szczególnie interesującego się stereotypami.

- Więc jednak zastanawiałaś się, do jakiej kategorii mężczyzn mnie zaliczyć? - zapytał z nutą satysfakcji w głosie.

- Nic podobnego! - zaprzeczyła, nie tak jednak przekonującym tonem, jak pragnęła. Nie mogła oderwać wzroku od wyrazistej linii jego ust. Szedł od nich sygnał, który ją palił żywym płomieniem.

- Przestańmy dyskutować i po prostu sprawdźmy czy jesteś damą, czy nie? - zaproponował przytłumionym głosem.

Widziała, jak pochyla się nad nią na niebezpieczną odległość. Widziała, jak jego omdlałe powieki opadają ciężko na oczy, w których płonęły płomienie zmysłowości. Widziała wszystko i miała dość czasu, żeby uciec, żeby się od niego odsunąć, żeby zasłonić usta, odwrócić głowę. Być damą.

- Jeśli mnie pan pocałuje - powiedziała cicho - będę krzyżeć.

- Nie, nie będziesz. - Uśmiechnął się.

Jeszcze był czas, żeby się obrócić i uciec, dowieść mu w ten sposób, że miał o niej całkowicie błędne wyobrażenie.

Jednak stała. Stała, jak wrosnięta w ziemię, jak królik schwyty w smugę jaskrawego światła, jak ćma, którą przeznaczenie rzuca w płomień.

Kiedy poczuła jego wargi na swoich, straciła oddech. Spodziewała się, że będą zimne i twarde, że sprawią jej ból, że będzie chciał ją ukarać ich bezwzględnością. Ale kiedy jej dotknęły, okazało się, że oczekiwania te były jak najdalsze od rzeczywistości.

Dotyk jego warg był jak muśnięcie skrzydeł motyla, pieśczołliwie przesuwającego się po delikatnym, miękkim płatku kwiatu. Na pewno nie były to wargi ze stali.

Jeszcze raz, jak poprzednio, sygnał alarmowy dał znać o sobie dreszczem, który tym razem mocniej przeniknął do jej wnętrza. Czowała jego szalone pulsowanie. Wbrew pogrożkom nie krzyczała. Spróbowała odwzajemnić delikatny dotyk jego warg, na co on zareagował głębokim stłumionym jękiem. Poczuła w sobie jakby szarpnięcie. Olśniła ją nagle świadomość wielkiej kobiecej mocy i przewagi nad mężczyzną.

Teraz już całkiem poddała usta pieśczołtom warg Matthew. Jej dłonie po omacku odnalazły rzeźbę jego kości policzkowych, a potem zagłębiły się w gęstwinie ciemnych jedwabistych włosów.

Trzymał ją w niewoli swych ust. Z każdą chwilą czowała się szczelniej omotana tajemniczą niteczką czarów, które na nią rzucił. Podniecał jej zmysły i kusił, by powierzyła mu siebie. Temu mężczyźnie, którego uważała za najmniej odpowiedniego, żeby z nim dzielić intymne przeżycia.

Pod naciskiem warg Matthew otworzyła usta szerzej i natychmiast poczuła jego język. Miał smak wody spadającej z

gór kaskadami, świeżej i ponad wszelką wyobraźnię orzeźwiającej, kryształowo czystej.

Dłonie Charity zsunęły się z włosów na kark Matthew, czule oplatając szyję. Tuliła się do niego coraz mocniej, pragnęła dotknąć jego twardej klatki piersiowej swymi miękkimi piersiami, zapragnęła poczuć się przy tym silnym mężczyźnie prawdziwą kobietą. Pragnęła tego aż do bólu, tak jak łaknie się zimnej, orzeźwiającej kąpieli po skwarным dniu na pustyni.

Przerwał pocałunek, ale nadal czuła jego usta tuż przy swoich. Podniosła powieki patrząc na niego zamglonym z pożądania wzrokiem.

Kiedy ją całował, z każdą chwilą głębiej popadała w jakąś słodką omdłałość; całe ciało stało się wiotkie i bezsilne. Kiedy oderwał od niej usta, poczuła się jeszcze bardziej oszołomiona. Jego bliskość działała jak narkotyk.

Nieoczekiwanie twarz Matthew przybrała dobrze jej znany cyniczny wyraz, mimo że w oczach wyraźnie czytała pożądanie. Podziało to na nią jak niespodziewany zimny prysznic. Oprzytomniała natychmiast. Dumnym gestem wyzwoliła się z jego ramion. Zaczęła go dyskretnie obserwować.

- Hm - mruknął znacząco. - Już wiem, z jaką damą mam do czynienia. - Odwrócił się plecami, wciągnął spodnie na jeszcze mokre kąpielówki i bez śladu zakłopotania zaciągnął zamek błyskawiczny.

Charity jeszcze raz poczuła w sobie niepokojące pulsowanie. Obróciła się i odeszła zdecydowanym krokiem przyznając w duchu, że dawno powinna to zrobić.

Usłyszała za sobą jego zmysłowy ściszony śmiech. Szła nie mogąc opanować drżenia. Myślała o zdumiewającym uroku Matthew. Uroku, który potrafiłby zniewolić najodporniejsze serca.

Mógłby ją od siebie uzależnić, owinać dokoła palca, sprawić, że byłaby w stanie zebrać o miłość i zapomnieć o swej podstawowej zasadzie życiowej, by zawsze postępować według

reguł przyzwoitości. I niech go diabli wezmą, on wiedział także o tym doskonale. Wiedział, że jego męskość działa na nią odurzająco.

Przywodził jej na myśl wilka: milczącego, szybkiego i przerażająco silnego, który się bawi ze swą zdobyczą.

Na miły Bóg, czego ten Matthew Blake od niej chce?

Zbudziło ją wesołe jodłowanie. Charity, jeszcze w półśnie, pomyślała, że jest to jej własny śpiew, który wypływa z podświadomości. Wyraz rozbawienia po spotkaniu, które uznała za szaleńcze, upokarzające, podniecające i prowokujące.

Cóż, była lekarzem, znała fizjologię człowieka na tyle, by wiedzieć, że zdrowy mężczyzna i zdrowa kobieta niekiedy reagują na siebie w sposób wyniszczający. Wszystko przez tę potęgę, jaką są hormony. Tykanie biologicznego zegara.

Promienie słońca, wpadające przez okno, igrały na jej powiekach. Broniła się przed nimi, pomrukując co chwila. Czuła się dokładnie tak, jakby miała kaca, co zdarzyło się w jej nieposzlakowanym życiu jeden, jedyny raz.

- Która godzina, Mandy?! - zawołała.

Mandy wtargnęła do pokoju tanecznym krokiem.

- Dochodzi południe.

- Co? Południe?

- Tak ma być. Ciężko się napracowałaś. Powinnaś dłużej poleżeć, inaczej będziesz się czuła zbyt zmęczona, żeby się czymś cieszyć.

- Już się czuję zbyt zmęczona, by mieć ochotę na cokolwiek - oświadczyła. Usiadła i zaczęła oglądać pęcherz między dwoma palcami stopy.

- Uważasz, że to było takie straszne?

- Twój rozkoszny żarcik niewiele pomógł - odburknęła.

- Mój żart? - Na twarzy Mandy odbiło się szczere zdumienie, ale za chwilę uśmiechnęła się promiennie, zadowolona z siebie.

- Ach, tamto. Kochanie, powinnaś była widzieć wyraz jego twarzy. Fantastyczny!

- Owszem, widziałam wyraz jego twarzy i nie uważam, żeby był „fantastyczny”.

- Musisz się nauczyć trochę luzu.

Charity opadła na plecy i nakryła twarz poduszką. Samobójstwo przez uduszenie nie jest jednak pewnym sposobem. Do tego Mandy zaczęła ją łaskotać w podeszwy pawim piórem, których pęk ustawiła we flakonie przy drzwiach.

- Musisz wstawać. Mówiłaś, że chcesz popłynąć ze mną kajakiem na pierwszą wycieczkę.

- Zmieniłam zdanie - wymamrotała zduszonym przez poduszkę głosem Charity.

- Ależ kochanie, nie możesz. Jesteś mi potrzebna. Do każdego kajaka muszą być dwie osoby. Jeśli nie przyjdiesz, ktoś z gości będzie zawiedziony. Zresztą, mówiłaś kilka dni temu, że masz ochotę spróbować, czy potrafisz płynąć kajakiem.

- To było kilka dni temu.

- A co chciałabyś robić teraz? - nie tracąc humoru zapytała Mandy.

- Myślę, że dobrze byłoby przetrwać jakoś do wieczora.

W godzinę później, taszcząc nieporęczną pomarańczową kamizelkę ratunkową, wlokła się za Mandy w kierunku plaży. Niepostrzeżenie zapomniała o zmęczeniu. Cudownie było obserwować Mandy przy pracy. Przed wejściem do kajaków udzielała instrukcji, bardzo dokładnie, ale w sposób prześmieszny. Stroiła miny, tańczyła, wykonywała gesty naśladujące wiosłowanie. W ciągu kilku chwil rozochoceni goście po prostu jedli jej z ręki.

Na koniec wyznaczyła płynące ze sobą pary.

Dla Charity zabrakło partnera. Dostatecznie rozbudzona zaczęła żałować, że nie popłynie cichym ślizgiem kajaka po spokojnej tafli błękitnego jeziora.

- Bądź spokojna - zwróciła się do niej Mandy, widząc jej strapioną minę. - On tu zaraz będzie. Powiedziałam mu, że może

przyjść po części instruktażowej, pływa kajakiem od lat. O, już idzie.

Obróciwszy się, Charity ujrzała idącą w jej kierunku wysoką dumną postać Matthew Blake'a.

- Mandy!

- Przestań używać w stosunku do mnie tego rozkazującego tonu sierżanta. Nie jestem szpitalną sprzątaczką.

- Jak mogłaś?

- Będziecie bardzo dobrze razem wiosłować. - Mandy twardo obstawała przy swoim.

- Mandy, przecież on sobie wyobraził, że ja za nim latam. Pomyśli, że to ja wszystko zorganizowałam!

- No i dobrze. Co z tego? Baw się tą sytuacją. Poflirtuj, na miłość boską!

- Nie chcę flirtować - odburknęła Charity. - Już bezpieczniejszy byłby flirt z grzechotnikiem. - Było to rzucanie grochem o ścianę. - Ja nie latam za mężczyznami.

- Czas, żebyś się tego nauczyła - opryskliwie poradziła jej Mandy. - Teraz uśmiechnij się. Wyglądasz, jak byś miała ochotę poderżnąć komuś gardło.

Twoje gardło, pomyślała Charity.

- Dzień dobry, lady Marlowe - usłyszała głęboki głos zaprawiony kpinią. Z siebie czy z niej?

- Dzień dobry - odpowiedziała sztywno, czym zarobiła na potężnego kuksańca od Mandy.

- Wyznaczyłam pana i Charity do wspólnego wiosłowania - oświadczyła Mandy nieznośnym, niemal wylewnym tonem. - Charity powiedziała, że chce pana poznać bliżej.

- Nie do wiary! - wykrzyknął i unosząc figlarnie brwi spojrzął na Charity.

- Nic podobnego, nie to mówiłam, Mandy! - Czuła, że się czerwieni, Mandy natomiast najspokojniej zdobyła się na odwagę, żeby niewinnie przewrócić oczami do Matthew.

Charity zdawała sobie sprawę, że dalsze wypieranie się może ją tylko pograżyć. Pozostawało przygryźć wargi i pomyśleć, jak się zrewanżować tej rudowłosej wiedźmie, która zawsze potrafi skomplikować komuś życie.

Do tego czasu będzie miała całe popołudnie na udowodnienie panu Zbyt-Pewnemu-Siebie Blake'owi, że potrafi zachowywać się jak prawdziwa lady. Nigdy jeszcze prawdopodobnie nie spotkał się z taką rezerwą i dobrymi manierami jak te, które ona mu pokaże.

- Wydajesz się dzisiaj trochę nieśmiała - odezwał się widząc, że Charity uparcie patrzy na jezioro i nie zwraca na niego uwagi. W jego głosie pobrzmiwała drwina.

- To nie jest nieśmiałość. Raczej powściągliwość - odpowiedziała sztywno.

- Powściągliwość lady? - dopytywał się z coraz wyraźniejszą kpina.

- Dokładnie tak.

- Osoby zachowujące się z powściągliwością dam nie chodzą kąpać się w publicznych miejscach w stroju Ewy, tylko...

- Jeśli ma pan zamiar mówić o ostatniej nocy, to wycofuję się z wycieczki!

- Po wszystkich zabiegach, żeby zorganizować wspólne wiosłowanie?

- Niczego cie organizowałam! - oświadczyła z irytacją. - Nie...

- Dobrze, niech będzie powściągliwość - zgodził się stosunkowo przyjaźnie. - I co jeszcze? Rezygnacja?

- Ja naprawdę chcę zachować rezerwę.

- Bardzo proszę, udowodnij mi - powiedział ze znanym jej błyskiem wyzwania w oczach.

Dokładnie tak samo fałszywie potoczyły się sprawy wczorajszej nocy, ale tym razem nie miała zamiaru wpaść w pułapkę. - Po namyśle zdecydowałam, że dam sobie spokój z tą

wyprawą kajakową - powiedziała wymuszonym tonem. - Zdaje się, że zaczyna mnie boleć głowa.

Mocną dłonią ujął jej łokieć.

- Proszę, niech pani wsiada do kajaka, lady Marlowe.

- Proszę przestać nazywać mnie w ten sposób. - Od jego uchwytu zdrętwiał jej łokieć. - I proszę zostawić moją rękę.

- Po prostu chciałem pomóc pani wsiąść do kajaka. Lady, taka jak pani, potrafi ocenić gest dżentelmena.

- Nienawidzę pana. - Nie mogła uwierzyć, że wyrwało jej się tak dziecinne zdanie.

Matthew zaśmiał się.

- Członkom personelu chyba nie wypada robić z gości widowiska.

Widowisko, rzeczywiście, piekliła się w duchu. Ego-tyzm tego człowieka nie zna granic. Czy wyobraża sobie, że wszyscy patrzą tylko na niego? Obserwują każdy jego ruch? Czy sądzi, że jest aż tak interesujący, że...

Kątem oka zobaczyła, że istotnie są obserwowani przez większość osób z grupy, które nie kryły swej ciekawości. Oczywiście z najbardziej wścibską Mandy na czele. Zaczerwieniła się. Zdała sobie sprawę, że między nią a Matthew Blake'em unosi się jakaś szczególna naelektryzowana niteczka, i że to ona właśnie wzbudza ciekawość ludzi.

Jedynym sposobem rozładowania napięcia wydała się jej kapitulacja i zajęcie miejsca w kajaku. Anpetuwi była małą skałą, wiecznym źródłem plotek i dowcipów, ale kto wie, czy jej nie rozczaruje, kiedy wracając zatrzymają się, żeby na nią wejść.

Wskoczyła do kajaka tak gwałtownie, że omal go nie wyróciła. Miała szczerzy zamiar obrzydzić Matthew swoim towarzystwem całe popołudnie, żeby je dobrze zapamiętał. Powinno to położyć kres tajemniczemu fluidom krążącym między nimi.

Usadowiła się według wskazówek Mandy. Uznała, że kajak wytrzyma wagę Matthew i się nie wywróci. Nie oglądając się,

wyładowywała swoją wściekłość i energię w zmaganiu się z wiosłowaniem, oporem wody i własnych sił.

Przez jakiś czas płynęli w pełnej napięcia ciszy. Wreszcie Matthew odezwał się pierwszy.

- Od jakiego imienia pochodzi zdrobnienie Char? Nie odpowiedziała.

- Od Charlotty?

Milczała. Rozglądała się dokoła z wyniosłą miną. Z lubością degradowała go w wyobraźni do roli sługi posłusznie wiosłującego na łódce, unoszącej ją w dół Nilu. Ukradkiem spojrzała przez ramię. Niestety, bardziej wyglądał na wojownika zdolnego do porywania panien od ślubnego ołtarza, aniżeli na potulnego sługę.

Wydął usta w sardonicznym wyrazie.

- Charissa?

- Nie mam zamiaru odpowiadać.

- No, ale przynajmniej pani przemówiła. Charla?

- Nie mam obowiązku informować pana, jakie noszę imię, panie Blake.

- Matthew.

- Wolę mówić „panie B\ake”.

- Trochę za późno na taką ceremonialność.

- Nie sędzę.

Niezrażony ciągnął dalej.

- Mieszają mi się intencje w pani postępowaniu. Nie wiem, czy wierzyć, że te oczy są rzeczywiście niewinne, czy też, że ich niewinny wyraz jest jednym z wprowadzających w błąd kokieteryjnych podstępów, którymi wasza płeć się chlubi.

- Czyżby - zaczęła, idąc tropem myśli, która jej zaświtała w głowie - jakaś przedstawicielka mojej płci sprawiła panu zawód? - Położyła wiosło i spojrzała na niego przez ramię. - Ostatnio?

Zobaczyła coś, czego nie dostrzegła do tej pory. To, co wydawało się arogancją, mogło być po prostu ostrożnością, zachowywaniem pozorów skrywających cierpienie.

Życzliwość, na którą wskazywałyby przekomarzający ton sprzed kilku chwil, znikła z jego twarzy. Ostre rysy znowu stały się obce, a oczy przybrały wyraz chłodniejszy od lodu.

- Aleja nie jestem nią - powiedziała miękkim głosem.

- Nikt nie mówi, że chodzi o panią - odparł chłodnym tonem.

Uświadomiła sobie, że rezerwy mogłaby się uczyć od niego. Pomyślała też, że nie do niej należy leczenie ran całego świata, choć niewątpliwie jej natura była do tego skłonna.

Co więcej, trzeba być głupią, żeby sobie nabić głowę kimś tak niebezpiecznym jak zraniony wilk, który w dodatku okazuje zaledwie sympatię. Poza tym, jeśli chodzi o nią, to uczucie, jakie w niej wzbudził ten mężczyzna o nieprzeciętnej osobowości, dalekie było od sympatii. Było bliższe instyktom atawistycznym, biologicznym - nie umiała tego sprecyzować.

Zdecydowała, że nie będzie na niego zwracać uwagi. Wiosłowała więc zachowując milczenie. Zastanawiała się tylko, czy drzenie, jakie odczuwała w mięśniach ramion, pochodzi od napięcia związanego z wysiłkiem fizycznym, do którego nie była przyzwyczajona, czy od napięcia spowodowanego świadomością taksujących ją oczu, w których czaił się nieodłączny sarkazm.

- Ciągle jeszcze nie znam pani imienia. Odłożyła wiosło i obróciła się ku niemu. Siedział

z niedbałym wdziękiem. Mocne ramiona łagodnym ruchem wiosła odgarniały wodę, twarz odwrócona profilem, jakby wypatrywał czegoś na brzegu jeziora, była pełna napięcia i nieprzenikniona. Ale, gdy napotkał jej spojrzenie, dostrzegła w jego oczach nieklamany smutek.

- Mam na imię Charity - poddała się.

- Pasuje do pani - przyznał szorstko. - Czystość, niewinność. Wyczuwam jednak w tym jakiś fałsz. Coś mi się tu nie zgadza. To mnie niepokoi.

- Najlepiej niech mnie pan po prostu wyrzuci z kajaka do wody - mruknęła przez zaciśnięte zęby, z nową furją zabierając się do wiosłowania.

Mandy zaplanowała krótką wycieczkę, około czterdziestu pięciu minut wiosłowania, potem lunch i odpoczynek na dzikiej plaży, następnie powrót do ośrodka.

Siła Matthew i wściekłość Charity złożyły się na świetny rezultat; znaleźli się daleko w przodzie przed innymi kajakami.

Nagle nastąpiło coś tak szybko, że Charity nawet nie zorientowała się, co się właściwie dzieje. Mandy wprowadzie ostrzegła ją przed nagłymi burzami na jeziorze, ale dotąd nie było żadnych oznak, które pozwalałyby przewidzieć, że błękit nieba w ciągu kilku minut przesłonią chmury burzowe. Spokojna tafla wody rozfalowała się błyskawicznie, rzucając kajakiem tak sunie, że zbierało się na mdłości.

- Trzymajmy kurs prostopadle do fali - krzyknął Matthew. - Chodzi o to, żeby fale nie uderzały w bok kajaka, bo mogą go zatopić.

Ze zwichrzonymi przez wiatr włosami, dzikim wyrazem twarzy i błyszczącymi oczyma wyglądał niesamowicie i... cudownie. Wobec zagrożenia, jakie niesła burza, natychmiast objął przywództwo. Ku przerażeniu Charity, zamiast wiosłować w kierunku brzegu, zawrócił na jezioro. Mimo to nie bała się. Miała do czynienia z tyłoma sytuacjami krytycznymi, że niełatwo ogarniała ją panika, ale tym razem wiedziała, że chodzi o coś innego. Jej uczucia dla Matthew były niejasne, nieuchwytnie do granic szaleństwa, ale z całą pewnością zdała sobie sprawę z jednego: że jeśli znalazłaby się w samolocie, w którym silniki stanęłyby w płomieniach, chciałaby mieć obok siebie kogoś takiego jak Matthew.

- Chcę się upewnić, czy wszyscy są bezpieczni na brzegu! - krzyknął przez zwiększający się ryk burzy.

Za chwilę znaleźli się w odległości pozwalającej na objęcie wzrokiem długiej linii skalistego wybrzeża i zobaczyli współtowarzyszy wyprawy z trudem wdrapujących się na występ skalny. Mandy, kiedy ich spostrzegła, zaczęła machać ręką na znak, że wszystko w porządku, wobec czego Matthew zawrócił kajak i zaczęli wiosłować w kierunku bezpiecznej zatoki. W ciągu kilku minut po osiągnięciu celu wyciągnęli kajak z wody na kamienie.

-To tylko ulewa z piorunami - powiedział Matthew z całym spokojem, obserwując wzburzone wody. - Wspaniały widok, prawda?

Rzuciła przelotne spojrzenie na jezioro i... na niego. Wcale nie chciała, żeby był mężczyzną rzucającym się na pomoc innym. Nie chciała, żeby podziwiał burzę. Nie chciała widzieć go w roli opiekuna reszty uczestników wycieczki. Nie chciała nic wiedzieć o jego zranionym sercu, co maskuje ciętym językiem. Wszystko to składało się na postać zbyt ludzką, dla niej zaś najbezpieczniej byłoby pamiętać, że był niemal diabłem wcielonym.

- Będziemy mogli wrócić na jezioro dopiero za jakąś godzinę. Proponuję, żebyśmy znaleźli zaciszne suche miejsce, gdzie moglibyśmy coś zjeść i obserwować burzę.

Charity popatrzyła na niebo. Rozerwał je zygzak błyskawicy, po czym rozległ się potężny grzmot.

Zdażyła się zorientować, że Matthew Blake jest typem mężczyzny, który rzadko się myli, ale tym razem był w błędzie. Ta burza nie miała się skończyć za godzinę. Nawet dla niego.

Charity drażyło niepokojące przecucie, że burzliwe uczucia, które zrodziły się między nimi, nie wygasną w ciągu godziny. Ani za dzień czy dwa. Może nawet nie w ciągu tego długiego lata, które mieli przed sobą.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- To miejsce wygląda na całkiem dobre - zdecydował Matthew. Dźwigał duży koszyk wiklinowy z podwieczorkiem przygotowanym przez hotel dla uczestników wycieczki. Szedł pierwszy pod olbrzymią rozłożystą sosną. Gałęzie ugięły się niemal dotykając ziemi, ale kiedy Charity przemknęła się pod nimi, zobaczyła, że jest tam kawałek gruntu, który wydawał się suchy. Otoczony gałęziami tworzył przytulne schronisko, był jak mały domek.

- Co będzie, jak w to drzewo uderzy piorun? - zapytała, uważnie patrząc w niebo przez prześwity w splątanych gałęziach.

Matthew roześmiał się dobrodusznie.

- Łatwo odgadnąć, że zrobi z nas dwie grzanki. Trzeba czasem zdać się na los.

Rozpostarł grubą serwetę, która przykrywała produkty w koszyku, usiadł opierając się plecami o pień sosny i wyciągnął nogi przed siebie. Mimo że byłoby jej wygodniej usadowić się obok, także z plecami opartymi o drzewo, nie chciała narażać się na niebezpieczeństwo zetknięcia się z jego ciałem. Ostatecznie zdecydowała się usiąść naprzeciw niego, ze skrzyżowanymi nogami, ale okazało się, że i to nie było dobre.

Z każdą chwilą deszcz stawał się coraz bardziej rześisty.

Matthew zaciekawiony zajrzał do koszyka.

- Przynajmniej to im się udało - orzekł z uznaniem i zaczął kolejno odpakowywać apetyczne przysmaki, wśród których były dwie małe, po jednej na osobę, butelki wina.

Poczuła się dotknięta jego komentarzem. Skąd się u niej nagle wzięła ta silna lojalność wobec Anpetuwi?

- Tylko to im się udało? - zapytała dociekliwie. - Czy to znaczy, że nie jest pan zadowolony z pobytu w Anpetuwi?

- Mam pewne zastrzeżenia - odparł zdecydowanym tonem.

- Ależ jest pan tu dopiero trzeci dzień!

- Zgadza się - odparł sucho.

- Wygląda na to, że niełatwo panu dogodzić - powiedziała. - Ten ośrodek nie rości sobie pretensji do konkurowania z miejscami, powiedzmy, elegantszymi.

- Stawka dzienna jest tu taka sama - podkreślił.

- Tu się płaci nie tylko za pobyt, ale także za piękne położenie. Może powinien pan pojechać do jakiegoś kurortu bardziej odpowiadającego pana osobowości?!

Nie wydawał się urażony, chociaż z uwagą patrzył na nią spod lekko zmrużonych powiek.

- A co by pani mi poleciła, panno Marlowe? Chciała powiedzieć, że prawdopodobnie najlepiej czułby się na wakacjach w piekle, ale zdecydowała, że wystarczy zaproponować jakiegokolwiek miejsce w pół drogi!

- Co powiedziałby pan na Francuską Riwierę? Mógłby pan nocami grać w ruletkę, a dni spędzać na plażach nudystów.

- Zalicza mnie pani do mężczyzn tego typu?

- Tak. Zdaje się, że lubi pan podglądać kąpiące się nago kobiety, może więc dla wszystkich zainteresowanych byłoby lepiej pojechać gdzieś, gdzie tym kąpiącym się to nie przeszkadza.

Cień uśmiechu przebiegł po jego surowych ustach.

- A może to pani powinna się znaleźć na Francuskiej Riwierze?

- Sądzi pan, że potrzebują tam niezbyt zręcznych kelnerek? - zapytała z arogancką miną.

- Raczej nie - odrzekł suchym tonem.

Wolałaby nie czuć się urażona tym, że nie rzucił się do zapewnienia jej, iż nie jest bardzo złą kelnerką.

- Tak czy inaczej - powiedziała zdecydowanie - uważam, że Anpetuwi jest urocze takie, jakie jest. Nie zmieniałabym tu niczego.

- Zgadza się, że dla personelu jest to prawdopodobnie prawdziwy raj.

- Pana uwagi są bardzo cyniczne. To, że członkowie personelu lubią pracować w Anpetuwi, stanowi część jego uroku. Osobiście sędzę, że musi się pan czuć bardzo nieszczęśliwy, jeśli w naszym ośrodku nie może się pan dopatrzeć czegoś pozytywnego.

- Czy nie zechciałaby pani wpłynąć na zmianę mojego nieszczęśliwego położenia? - zapytał łagodnie. Mrugnął do niej znacząco.

Postanowiła, że nie da mu tej satysfakcji i nie ujawni swego rozdrażnienia.

- Panie Blake - odparła z całym spokojem. - Nie potrafię uczynić pana szczęśliwym. Nie potrafią tego także wszystkie pieniądze i mercedesy świata. I Anpetuwi nie może pana uszczęśliwić. Szczęście jest wartością, którą może pan znaleźć tylko w głębi własnej duszy. Jeżeli pan jej tam nie znajduje, przyczyna tego tkwi w panu. Nic tu po mnie ani po Anpetuwi.

W jego oczach pojawił się wyraz szczególnego skupienia, który zgasł w jednej chwili.

- To było bardzo głębokie, co pani powiedziała - skostatował z powagą. Nie dał się jednak wciągnąć w poważniejszą rozmowę. - Tym razem zadziwia pani jako kelnerka filozofująca.

Poczuła się nagle nieswojo w jego towarzystwie. Zmieniła pozycję i usiadła twarzą do jeziora.

- Ile pani ma lat, Charity?

- A jak pan myśli?

- Wygląda pani na dziewiętnaście, może dwadzieścia, ale chwilami sposób, w jaki pani się wypowiada, nasuwa mi przypuszczenie, że może pani być starsza.

- Zgadł pan. Jestem starsza.

- O ile lat?

- Hm, skorzystam z przywileju mojej płci i nie powiem. Niech pan zgaduje - powiedziała zdecydowanym tonem.

- Dwadzieścia trzy.

- No... nieźle - powiedziała ani nie zaprzeczając, ani nie potwierdzając.

- Więc co pani robi, kiedy pani nie pracuje w Anpetuwi?

Wiedziała, że prędzej czy później zapyta ją o to. Mandy radziła jej, żeby skłamała, zbywając takie pytanie żartami. Nie potrafiła jednak kłamać i nie była to umiejętność, na której jej specjalnie zależało.

- Dlaczego pan myśli, że nie jestem zawodową kelnerką?

- Pani sama mi to powiedziała, określając siebie jako kelnerkę niewykwalifikowaną.

Zorientowała się, że wpadła we własne sidła.

- No więc, jeżeli zgadzalibyśmy się na wczesne lata dwudzieste, to od kilku lat jest pani po maturze. Co pani robiła przez ten czas?

- Powiem panu, kiedy pan odgadnie mój wiek prawidłowo. Naprawdę, powiem panu.

- Zgoda - posłusznie przystał na propozycję. Przyglądał się jej w skupieniu. - Jest pani piękna, nietrudno byłoby sobie panią wyobrazić jako recepcjonistkę w modnym dużym przedsiębiorstwie, siedzącą na małym pomoście przypominającym wysepkę na ogromnej błyszczącej marmurowej posadzce. Cudowną, olśniewającą, niedostępną recepcjonistkę.

- Nie wyglądam na olśniewającą i niedostępną - zachnęła się.

- Poprzestaniemy zatem tylko na olśniewającej - zgodził się. - Mimo to ani recepcjonistka, ani kelnerka nie są przekonywujące.

- Hm... - chrząknęła nerwowo.

- Jest pani wysoka i wyjątkowo pięknie się nosi, a więc może modelka?

- Modelka? Ja? - Patrzyła na niego szeroko otwartymi ze zdumienia oczyma. Matthew Blake dostrzegł w niej coś, czego inni nie widzieli. Z wyjątkiem Mandy. A Mandy, zamiast zachować dla siebie, wydobyla to z niej na światło dzienne i

pokazała całemu światu. Dla Charity było to nieszczęście, czuła się jak w obcej skórze.

- Więc nie modelka. Dobrze. I tak nie byłem pewny. Co było całkiem pewne, to te jego szafirowe oczy

badające ją tak skrupulatnie, że czuła się obnażona do samej duszy!

- Pani sposób wyrażania się wskazywałby na wyższe wykształcenie.

Starła się zachować kamienny wyraz twarzy.

- Nauczycielka? Zdaje się, że z wyjątkiem miesięcy letnich, tym właśnie zajmuje się pani kuzynka? To tłumaczyłoby także kilka miesięcy, jakimi i pani dysponuje. Ale nie, mimo że wygląda to sensownie. Nie mogę sobie pani wyobrazić w otoczeniu trzydziściorga malców, wpatrujących się w panią z uwielbieniem.

- Tak się składa, że bardzo lubię dzieci!

- Nie twierdziłem, że ich pani nie lubi. Po prostu powiedziałem, że nie wyobrażam sobie pani poświęcającej się tak niewdzięcznej pracy, jak uczenie milusińskich liczenia do dziesięciu.

Jeżeli chciał mówić o pracy niewdzięcznej, powinien zobaczyć, jak wygląda w zielonym chirurgicznym kitlu po dwunastu godzinach pracy na chirurgii w dniach ostrego dyżuru.

- Myślę, że lepiej będzie, jeśli nie powtórzę tej rozmowy Mandy - skomentowała jego uwagi. - Poza tym, mogę przecież uczyć młodzież.

- Mogłaby pani, ale założę się, że to nie pani dziedzina. Nie dostrzegam jeszcze u pani lodowatego pancerza, którym się piękna kobieta lubi otaczać, żeby walczyć dzień za dniem z umizgami młokosów.

Pomyślała, że z umizgami, także w swojej pracy, świetnie daje sobie radę!

Matthew zdawał się czytać w jej myślach, ponieważ roześmiał się w tym momencie.

- Mam wielki szacunek dla nauczycieli, ale nie sądzę, żeby ten zawód panią pasjonował. Przypuszczam, że pani ma pasjonującą pracę. Czy zgadłem, tajemnicza panno Marlowe?

I to mówi sam Tajemniczy Gość!

- Nie rozumiałam do końca słowa „pasjonujący”, aż do pierwszego wieczoru mojej pracy w Susweca, kiedy roznosiłam drinki - odparła robiąc unik, dzięki któremu nie dostarczyła mu żadnej informacji. Była z siebie bardzo zadowolona.

- Zdaje się, że odgadnę, kim pani jest. W takich zabawach jestem naprawdę dobry.

Podjeżdżała, że istotnie mógł być bardzo dobry w zabawach tego rodzaju, w odwiecznej grze między mężczyznami i kobietami, będącej niczym innym jak flirtem, często niebezpiecznym. Ona niezawodnie wypadła z gry, zdawała sobie z tego sprawę.

- Może mi to zająć całe lato, ale dopnę swego. Będzie to nie tylko przyjemne, ale także podniecające. Jak wyścigi samochodowe. Z tą różnicą, że śledzić będę brakujący do rozwiązania zagadki element, jakim jest odwaga. Kiedy już odgadnę, kim pani jest, nie będzie pani nawet musiała tego potwierdzić. To olśniewające odkrycie zrodzi się w mojej głowie. Kolej teraz na panią.

- Boję się, że w grach nie jestem zbyt dobra - powiedziała niepewnie.

- Mówiła pani swojej kuzynce, że chciałaby pani poznać mnie bliżej - przypomniał.

- Właściwie nie to jej powiedziałam.

- Więc co pani powiedziała? - Droczył się z nią, ale jego głos brzmiał bardzo przyjaźnie, tylko oczy błyszczały mu niepokojąco.

Mimo wielu niewinnych kłamstewek Mandy, które ją drażniły, Charity była nadzwyczaj lojalna w stosunku do swojej nieposkromionej kuzynki. Nie miała zamiaru zdradzać

niefortunnej cechy Mandy, polegającej na naginaniu prawdy do swoich aktualnych potrzeb.

- Nie mogę sobie przypomnieć, co właściwie powiedziałam, ale to jasne, że Mandy coś się pomyliło. - Poczucie lojalności nie pozwoliło jej na większą otwartość.

- Bawimy się dalej. Teraz pani zgaduje, kim jestem - rzucił zachęcająco lekkim tonem. - Mamy mnóstwo czasu i nic innego do roboty. Deszcz nie ustaje.

Skoro uznał ich rozmowę za grę towarzyską, która prawdopodobnie miała go uchronić od umierania z nudów w jej towarzystwie, postanowiła odgadywać.

- Jest pan biznesmenem, prowadzącym interesy na dużą skalę. Nie wiem tylko w jakiej branży.

- Jest pani blisko. Co mnie zdradziło?

- Mercedes bądź jedwabna koszula. Jedno i drugie.

- Wobec tego, dlaczego nie adwokat, doktor czy finansista.

- Na doktora jest pan zbyt bezwzględny, za mało przebiegły na adwokata i nie dość nudny jak na finansistę.

- Nie sądzę, żebym był bezwzględny.

- Wszyscy ludzie bezwzględni tak o sobie myślą.

- No, przynajmniej to mi pochwlebia, że nie uważa mnie pani za chytrusa czy nudziarza.

- Robi to panu jakąś różnicę, czy myślę o panu tak albo inaczej?

- Nie wiem. Ale jednak nie jest mi wszystko jedno. Znowu poczuła się nieswojo. Kiedy tak patrzyli sobie prosto w oczy, odnosiła wrażenie, że między nimi wzrasta jakieś napięcie. Pierwsza odwróciła wzrok i zaczęła szperać w koszyku w poszukiwaniu czegoś, co by ją od niego odgradziło. Znalazła ciasto pokrajane na kawałki. Rzuciła mu jeden.

Odwinął je z pergaminowego papieru i powąchał.

- Jak pani sądzi, co tam jest w środku?

- Nie wiem, nie znam tego przepisu, ale jest wspaniałe - odparła.

Odłożył na bok swój kawałek. Natychmiast domyśliła się, dlaczego.

- Cierpi pan na alergię?

Nie wydawał się zachwycony jej spostrzeżeniem. Pomyślała ze zniecierpliwieniem, że mężczyźni nawet najmniejszy objaw gotowi są uznawać za oznakę słabości.

- Mam kłopoty z migdałami. Zdawało mi się, że je wyczuwam w tym cieście.

- Ciężkie są pana reakcje alergiczne?

- Nawet śladowe ilości mogłyby mnie zabić, jeśli w ciągu kilku minut nie znalazłbym się pod opieką lekarza.

Odetchnęła z ulgą, że nie zaryzykował i nie tknął ciasta. Jeżeli pojawiłby się u niego odczyn anafilaktyczny, to doktor czy nie, nikt by mu nie pomógł. Potrzebny byłby zastrzyk dożylny z adrenaliny, a ona nie miała swojej torby lekarskiej.

- Więc już pani wie, co robić, jeżeli się kiedyś narażę na pani gniew. Składam ten miecz u pani stóp, piękna pani.

Niestety, przysięga Hipokratesa i tak nie pozwoliłaby jej go użyć.

Z resztą zawartości koszyka - rozkosznie słodkimi owocami - uporali się szybko w całkowitej ciszy. Chociaż Charity nieczęsto piła alkohol, opróżniła swoją buteleczkę wina do ostatniej kropli, w nadziei, że ją to trochę rozgrzeje. Ich schronienie pod drzewem nie wydawało się już tak przytulne. Powietrze przesiąknięte było wilgocią, a ona miała na sobie tylko cienką trykotową koszulkę i szorty.

- Może rozpalimy ognisko - rzuciła pomysł, spojrzawszy na niego spod oka, ale poczuła się zbita z tropu widząc, w jaki sposób na nią patrzy. Szybko zmieniła pozycję i usiadła twarzą do jeziora.

- A czym moglibyśmy je rozpalić, droga Char?

- Zapałkami, których pan używa do tych okropnych cygar, jakie pan pali.

- Czy widziała pani, żebym zapalał choćby jedno z tych okropnych cygar?

- Rzeczywiście, nie widziałam.

- Po pani krótkim wykładzie na temat moich płuc nie wziąłem do ust ani jednego cygara.

Spojrzała na niego zdumionym wzrokiem.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Powinna pani opatentować swoją wygłoszoną wtedy instrukcję i sprzedać ją jakiemuś towarzystwu do walki z paleniem. Nie jestem pewny, czy rozпалиłbym ogień, gdybym nawet miał zapalki - dodał po chwili. - Nigdy jeszcze nie widziałem takiej suszy w tym regionie jak tego wczesnego lata.

- Teraz już nie jest tak sucho - zauważyła.

- Musiałoby padać co najmniej przez tydzień, i to tak mocno jak teraz, żeby zmniejszyć niebezpieczeństwo pożaru lasu.

Jeszcze raz ją zaskoczył.

- Jak na kogoś pochodzącego z Londynu, tego w Anglii, wydaje się pan świetnie zorientowany w sytuacji lasów w Okanagan.

- Wychowałem się tutaj - powiedział łagodnie, jakby z lekkim wahaniem. Utwierdziło ją to w przekonaniu, że nie jest skłonny do wynurzeń na własny temat... szczególnie przed nią.

Kto wie jednak, czy to nie tłumaczyło do pewnego stopnia, dlaczego przyjechał tutaj. Był trudnym, zimnym cynikiem, który dopuścił do tego, że jakaś kobieta boleśnie uraziła jego uczucia. To za sprawą tego bólu wrócił tu, do swego gniazda, spodziewając się, że może odnajdzie ślad dawno utraconej chłopięcej naiwności, która będzie lekarstwem na zadaną ranę.

Okazuje się więc, że oboje znaleźli się tutaj tego lata w poszukiwaniu zagubionej części własnej osobowości.

Deszcz nie ustawał.

- Charity, pani drży. Zimno pani? - spytał nagle, wyrwany z zamyślenia.

- Nie. Naprawdę - odpowiedziała dumnie.

- Proszę, niech pani tu przyjdzie. Zawiniemy się tym kocem. -
Wstał i zarzucił sobie na ramiona koc, na którym siedział.

- Za nic w świecie - mruknęła przez szczękające zęby.

- Niech pani tu przyjdzie, zanim się pani przeziebi, mały uparciuchu.

- Człowiek się nie przeziebia, kiedy marznie, tylko kiedy złapie wirusa - oświadczyła. Podciągnęła kolana pod brodę i objęła rękami nogi. Miała gęsią skórę na całym ciele.

Nagle poczuła na swoich biodrach jego silne ręce, które przyciągnęły ją tak, że znalazła się między jego rozstawionymi nogami, oparta plecami o jego tułów. Owinął ich starannie kocem i mocniej przyciągnął ją do siebie, opasując rękami w pasie, tuż pod piersiami.

Chciała ze wszystkich sił wyzwolić się z jego ramion, ale rozkoszne ciepło przepływające do niej z jego ciała było zbyt ponętne. Czowała pod głową jego szeroką i twardą pierś, jego brodę na czubku głowy i ciepły oddech rozdmuchujący włosy. Było jej ciepło, czuła się bezpieczna i dziwnie szczęśliwa. Poczuła, jak bardzo jest zmęczona po napięciach tego nieoczekiwanego popołudnia. Powieki zaczęły jej ciążyć, zamykały się same co chwila. Próbowwała z tym walczyć, ale cóż, drgały przez moment i znowu opadały. Westchnąwszy cicho poddała się w końcu i zasnęła w ramionach mężczyzny, którego nie rozumiała i którego postanowiła nienawidzić.

Obudziła się i od razu uprzytomniła sobie cztery rzeczy: że było ciemno, deszcz przestał padać, jej koszulka podciągnęła się do góry i na odsłoniętym brzuchu w okolicy żołądka grzeją ją ciepłe mocne ręce. Czowała, że o ile plecy miała bardzo rozgrzane, to od przodu była zziębnięta. Rozespana, próbowała temu jakoś zaradzić, obracając się lekko i przytulając do jego gorącej piersi.

- Czy nie na tym mniej więcej przerwaliśmy? - Głos miał zachrypnięty i głęboki jak noc dokoła. Zanurzył jedną dłoń w jej włosach, drugą położył na plecach i mocno przyciągnął do siebie, niemal miażdżąc jej piersi. Słyszała drżenie jego serca.

Po równych miarowych uderzeniach zaczęło bić, czy raczej kołatać, zaburzonym rytmem.

- Przerwaliśmy? Jak to? - wyszeptała rozespana.

- Ostatniej nocy.

- Och. - Bez przekonania spróbowała się od niego oderwać, z tym tylko skutkiem, że znalazła się w jeszcze mocniejszym żelaznym uścisku nieubłaganych ramion. Musiała się zadowolić obciągnięciem koszulki, żeby chociaż przykryć gołe miejsce pod piersiami. Usłyszała jego krótki dyskretny śmiech, ale zbyt późno rozpoznała w nim ton uwodzicielski. Kiedy szeroko otworzyła nagle przytomne oczy, poczuła błędzące po szyi wargi. Dreszcz rozkoszy przebiegł jej ciało. Po chwili niespokojne usta w rozkosznie podniecający sposób muskały jej uszy. - Matthew - zdołała wyszeptać, kiedy ponownie wstrząsnął nią przejmujący dreszcz. - Proszę, nie.

- Dobrze - odparł. - Już nie będę.

Ale nie przerywał dojmującej pieśczoły ani na chwilę. Była zupełnie oszołomiona, nie wiedziała jak to się stało, że znaleźli się oboje na ziemi, ona - ciągle w żelaznym uścisku - u jego boku. Wyginała się na wszystkie strony, chcąc się uwolnić, ale tylko do chwili, kiedy poczuła jego usta na swoich.

Uniósł głowę i patrzył na nią zuchwałym wzrokiem. Powoli, jakby z namysłem, przesuwał dłoń w kierunku jej piersi. Zatrzymał ją akurat w momencie, kiedy poczuła ich nabrzmiewanie.

- Powiedziałeś... że... nie będziesz... - szepnęła, wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczyma.

- Wiem - odszepnął z uśmiechem, który jego przystojnej twarzy dodał jeszcze uroku. - Kłamałem.

Delikatnymi ruchami dłoni głaskał jej krągłe piersi. Pochyliwszy głowę pocałował nabrzmiałą sutek.

- Matthew...

Ledwo chwytała oddech. Nawet dla niej zabrzmiało to raczej zachęcająco, choć miało być protestem.

- Sszsz... - Ciepłe dłonie przesuwają się po jej klatce piersiowej, podciągając koszulkę coraz wyżej. Poczula na skórze chłód nocy.

- Charity, jesteś niewiarygodnie piękna.

Wiedziała, że przegrywa w walce ze zmysłami. Panowały nad nią coraz bezwzględniej. Była oszołomiona, nie mogła myśleć. Chciała go powstrzymać, ale on był nieustępliwy. Od samego początku było między nimi coś tajemniczego, jakieś metafizyczne przyciąganie. Wystarczyła jedna przypadkowa iskra, aby wybuchnął płomień. Teraz ten płomień palił się równym ogniem, będącym zapowiedzią otchłani piekielnej, o ile ona nie oprzytomnieje i go nie ugasi.

Oddech Charity stał się szybki i gorący. Próbowwała się opamiętać, zebrać myśli. Co tak naprawdę wiedziała o tym mężczyźnie? Wsunęła dłonie pod jego koszulkę, z rozkoszą czując pod palcami jak jedwabista, gorąca i wilgotna jest jego skóra. Dotykała go z upodobaniem, żarliwością, której nigdy u siebie nie podejrzewała. Przesuwała dłonie po plecach, umięśnionych ramionach, płaskim brzuchu. W tych chwilach porywających wrażeń zmysłowych doznawała uczucia, że wie o życiu wszystko, co wiedzieć powinna, że ta wiedza jest właśnie tu, właśnie teraz, tuż pod jej opuszkami palców.

Uniósł nieco głowę. Zobaczyła uważnie wpatrzone w jej twarz oczy. W stanie najwyższego zachwycenia, z radosnym pomrukiem objęła go za szyję, przyciągając ku sobie jego zmysłowe usta. Czula, jak delikatnie przesuwa dłonie po jej ciele, głaszcze pieszczotliwie piersi i plecy.

- Unieś ręce - usłyszała jego stłumiony szept.

Kiedy posłusznie zrobiła, o co prosił, delikatnym ruchem ściągnął z niej koszulkę, potem to samo zrobił z własną. Na widok jego nagiego torsu, zapragnęła natychmiast przyłgnąć do niego całym ciałem.

Wsparty na łokciach, Matthew pieszczotliwym ruchem ocierał się swoją twardą muskularną klatką piersiową o jej miękkie

ciało, piersi, ramiona. Była zupełnie oszołomiona wrażeniem, jakie robiło na niej to wspaniałe ciało. Splotła ręce na jego karku i przyciągnęła go do siebie z całej siły.

Kiedy wreszcie zdobyła się na refleksję, że już nie można posunąć się dalej, poczuła między nogami jego dłoń, gorącą i niespokojną. Nie uczynna żadnego gestu, kiedy zdejmował jej szorty.

Byli teraz oboje nadzy, sami w przytulnej niszy utworzonej z gałęzi drzewa. Gdzieś w nieskończonej dali migotały gwiazdy, noc kładła się chłodem na ich skórze, ale ten chłód znikał natychmiast w zetknięciu z jego rozgorączkowanym ciałem.

- Czy chcesz mnie? - wyszeptał.

Spojrzała na niego. Na surową twarz i nieziemsko błękitne oczy.

- Tak - szepnęła. - Chcę.

Choć raz jej zdyscyplinowany, zdecydowany rozum nie miał nic do powiedzenia. Przy głosie była inna siła, jeszcze bardziej zdecydowana. Serce dało mu odpowiedź.

Przekroczyli granicę zdolności odbierania wrażeń. Sami byli doznaniem, rozkoszą, radosnym drżeniem, zachwytem, uniesieniem. Charity zdawało się, że dokoła drży cała ziemia.

Długo leżeli potem złączeni uściskiem. Powoli ich oddech uspokajał się, ciała pokrywała mgielka potu. Z niedowierzaniem i wdzięcznością patrzyli sobie w oczy, nie mogąc oderwać wzroku od siebie.

Wyciągnęła rękę, by dotknąć palcami jego twarzy, jak gdyby próbując zniweczyć siłę czarów, która była w niej ukryta.

- Charity - odezwał się zduszonym głosem. - Och, Charity, co myśmy zrobili?

Dla niej - szeroko otworzyli drzwi na cały wszechświat. Czują jednak, że on nie to miał na myśli. Było w jego twarzy i oczach coś, co jej nie odpowiadało - pewna miękkość, która wyglądała niemal na sympatię.

Ciągle jeszcze była oszołomiona. Czuła lży dławiące w gardle i napływające do piekących oczu.

- Nie płacz - powiedział łagodnie.

- Nie miałam zamiaru płakać. - Próbowała gwałtownie ratować swoją godność.

- Charity, dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Czego ci nie powiedziałam?

- Że to był twój pierwszy raz.

Spojrzała na niego. Jeśli byłaby na tyle trzeźwa, żeby mu coś wyznawać, z pewnością nie byłoby aż tak. Pohamowałyby się i w ogóle nie doszłoby do niczego!

Pomyślała, że ani tego nie oczekiwała, ani nie chciała. Jak mogło do tego dojść w jej tak dobrze uporządkowanym życiu? W obrazach, jakie podsuwała jej wyobraźnia na tę chwilę, widziała szampana, truskawki, może nawet jedwabną pościel. I miłość. Przede wszystkim wielką miłość.

- Nie odtrącaj mnie - nalegał cichym szeptem.

- Nie chciałam, żeby to się stało.

- Dobrze. Ja też tego nie miałem w planach.

- Próbowałam udowodnić ci, że nie jestem taka, jak o mnie myślałeś - powiedziała bez przekonania.

- I udało ci się, ale powinnaś była mi powiedzieć, Charity - powiedział ciepłym, serdecznym tonem. - Nie wiem jak, ale może bym się powstrzymał.

- Co z moją pracą? Już jestem spóźniona, a to dopiero mój drugi dzień w barze.

Ciepły wyraz jego oczu jeszcze się pogłębił, jak gdyby wiedział, że dziewczyna desperacko robi, co może, próbując odnaleźć się w swoich uczuciach - wzburzona i pełna niepokoju.

- Dlaczego właśnie ja?

Co chciał, żeby powiedziała? Dlatego, że był szatańsko pociągający i nie potrafiła mu się oprzeć? Że było w jego oczach coś, co ją nieprzeparcie pociągało? Że kiedy ją wziął w ramiona, czuła się tak, jak nigdy dotąd w swoim życiu? Że jego usta

wprowadziły ją w nowy, czarowny świat? Świat przyprawiający o zawrót głowy, którego nie znała i nie podejrzewała nawet jego istnienia? Co chciał, żeby mu powiedziała?

- Dlaczego ty? A dlaczego nie? Musiał być kiedyś ktoś. -
Powiedziała to bezbarwnym głosem, próbując nie zdradzić się z tym, co czuła.

Straciła właśnie coś, czego nigdy nie odzyska. Była lekarzem. Z punktu widzenia medycyny dobrze wiedziała, co ją spotkało. Wiedziała, że w obecnym świecie takie rzeczy są na porządku dziennym i nikt z tego nie robi wielkiej historii, zarówno od strony medycznej, jak kulturowej.

Mimo wszystko czuła, że powinna mieć bodaj trochę wyrzutów sumienia. Nie miała. Zakłopotanie, tak oczywiście. Ale nie wyrzuty sumienia.

- Nie wiem, co przyniesie przyszłość - powiedział cicho.

- Najbliższa przyszłość dla mnie to kilka godzin kelnerowania - odparła pogodnie, nadrabiając miną, co wyraźnie nie odniosło skutku. - Za godzinę będę roznosiła drinki.

- Charity, pozwól, że cię obejmę. Tak chciałbym cię przytulić...

- Nie.

- Przepraszam.

Jak miała mu powiedzieć, że nie mógł nic gorszego powiedzieć od tego „przepraszam”? Jak można, co to w ogóle znaczy „przepraszam”?

- Nie musisz za nic przepraszać. Oboje jesteśmy dorośli. Między ludźmi dorosłymi te rzeczy się zdarzają.

Jego usta wykrzywił dziwny grymas.

- Cóż, jednej osobie, z nas dwojga dorosłych, to się dotąd nie zdarzyło. Prawda?

- Czy nie moglibyśmy pomyśleć wreszcie o powrocie. Jezioro wydaje się spokojne. Ja...

- Charity, nie możemy udawać, że nic się nie stało. Miej się na baczności, pomyślała.

- Powiem ci, co o tym myślę. Dostałem od ciebie dar, na który kompletnie nie zasłużyłem. Różne sprawy w moim życiu wymagają obecnie uregulowania.

- Nikt cię nie prosi, żebyś mnie poślubił - powiedziała stanowczym tonem, brakowało jej już sił. - Prawdę mówiąc uważam, że będzie lepiej, jeżeli nie będziemy próbowali mieć więcej intymnych kontaktów, nie sądzisz?

Spojrzał na nią udreńczonym wzrokiem, ale nie mogła przewidzieć, że jego odpowiedź tak ją zaboli.

- Tak, istotnie sądzę, że tak będzie lepiej. Zważywszy na okoliczności, byłoby to prawie niemożliwe.

Nie wiedziała, co mógł mieć na myśli mówiąc o okolicznościach. To, że oboje mieli spędzić w Anpetuwi całe lato? Czy to, że nie wygasł ich wzajemny pociąg?

Jej ciało już do niego tęskniło, do jego mocnych ramion, do nieodpartego zdecydowania, z jakim ją wziął.

Patrzył na nią tak, jak gdyby się zastanawiał, czy zachowa się przyzwoicie? Czy nie będzie próbowała wyolbrzymić tego, co się stało?

Musiała uratować własną dumę, na zawsze wymazać z pamięci czułość dla tego mężczyzny, której świadoma była aż do bólu.

Z beztróskim uśmiechem wstała, włożyła tenisówki i pobiegła w kierunku jeziora. Desperacko nateżając wszystkie siły, zepchnęła kajak na wodę i wskoczyła do niego, zanim Matthew zorientował się, co się właściwie dzieje. Energicznie zaczęła zagarniać wodę wiosłem.

- Charity!

Nie zareagowała.

- Wracaj!

Ani jej się śniło, świetnie sobie radziła z wyprowadzaniem kajaka na spokojną wodę jeziora. Poświata księżyca wskazywała jej drogę do domu.

Nie mogąc powstrzymać spływających po policzkach łez, myślała o szczególnej ironii losu. Krajobraz dokoła - z księżycem odbijającym się w wodzie, surową linią brzegu - był tak romantyczny, jak nie zdarzyło się jej dotąd oglądać.

W tej cudownej scenerii kochała się przed chwilą z mężczyzną, o którym właściwie nic nie wiedziała. Najgorsze w tym wszystkim, że było to tak fantastyczne, iż trudno będzie nie powtórzyć tego doświadczenia w przyszłości.

Szczęśliwie mogła liczyć na swój silny charakter, którego cechą dominującą była żelazna dyscyplina wewnętrzna. Zdecydowanym głosem złożyła sobie przysięgę, która zabrzmiała nieco niesamowicie, powtórzona echem niosącym się na całe jezioro:

- Nigdy więcej, Matthew Blake. Nigdy.

Udało jej się uśmiechnąć przez łzy. Matthew Blake będzie się tak miotał z wściekłości, zostawiony na brzegu jeziora, że zbliżenie się do niej będzie ostatnią rzeczą, jaka przyszlaby mu do głowy, kiedy się ponownie spotkają!

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Wyglądasz wprost bajecznie.

Charity wiedziała, że to prawda. Kiedy pędziła do bungalowu, zastanawiała się, w jaki sposób doprowadzić ma swój wygląd do normalnego stanu przynajmniej na tyle, by móc pracować do końca dyżuru. Zaskoczyło ją, kiedy zobaczyła, że prawie nie ma śladu po jej niedawnych łzach.

Pozostały jedynie żywe rumieńce i roziskrzony wzrok, który zdawał się czerpać blask od żarzącego się na dnie oczu ognia.

- Dziękuję ci, Nelsonie, i przede wszystkim dziękuję ci, że zastępujesz mnie na dyżurze.

-Prawdę mówiąc, nie robię tego bezinteresownie - wyznał. Komicznie zdradzając młodzieńczy brak wprawy, uniósł jedną brew do góry i spojrzał na nią wymownie.

- Ależ oczywiście. Z radością zapłacę ci za czas, w którym pracujesz za mnie.

- W myśli zaczęła obliczać swoje możliwości.

- Płacić? Mnie? - Oburzony zachłysnął się chłopcym dyszkantem. - Nie potrzebuję twoich pieniędzy!

Charity spojrzała na niego spod oka.

- Chcę, żebyś poszła ze mną na obiad.

Uznała, że nie mógł wybrać gorszego czasu na swoją propozycję. Jednocześnie nie widziała sposobu, w jaki mogłaby mu choćby najłagodniej odmówić po tym, jak wyratował ją z opresji.

- Dobrze - uśmiechnęła się.

- Nie będziesz żałowała. Świetny ze mnie chłopak.

- Wiem - powiedziała uprzejmie. - Tylko ktoś wyjątkowy zdecydowałby się pomóc osobie, której prawie nie zna.

Nelson odszedł rozpromieniony.

Dyżur upłynął Charity błyskawicznie i chociaż serce skakało jej do gardła za każdym razem, kiedy otwierały się drzwi do baru, to do końca nie pojawił się w nich mokry, zabłocony i

wściekły Matthew Blake. Kiedy dowlokła się na górę, Mandy jeszcze nie spała. Leżała w łóżku i przy nocnej lampce czytała książkę. Twarz miała pokrytą zieloną, błotnistą maseczką.

- Myślałam, że będziesz już spała.

- Chyba żartujesz. Czekam na wszystkie szczegóły.

- Chyba nie bardzo się tu przyda przypomnienie starego powiedzenia „nie twój interes”, co? - Starła się, żeby zabrzmiało to wesoło, ale głos się jej załamał, więc szybko odwróciła twarz, umykając przed badawczym spojrzeniem wielkich zielonych oczu Mandy.

Kuzynka wstała z łóżka i dotknęła jej ramienia.

- Char, co się stało?

- Nie chcę o tym mówić.

- Albo mi powiesz, albo natychmiast pójdę do jego pokoju i sama go o to zapytam.

Obróciwszy się do Mandy, Charity zobaczyła malującą się na jej twarzy niekłamaną stanowczość.

- No więc, nie utrudniaj mi i powiedz. Jeżeli cię skrzywdził...

- Mandy, przestań. Jestem dorosłą osobą. Potrafię sama zajmować się swoimi sprawami.

- Nie, nie potrafisz. Na litość boską, odkąd pamiętam, żyjesz w czystej atmosferze swojej wieży z kości słoniowej. Nie masz najmniejszego pojęcia o prawdziwym życiu.

Charity czuła dławienie w gardle, zbierało jej się na płacz. Nie była to prawda. Przez swoje dwadzieścia sześć lat więcej się dowiedziała o życiu i śmierci, aniżeli większość ludzi w ciągu całego życia. A jednak w jakimś stopniu była to także prawda.

- Wykorzystał sytuację. Kochaliście się, tak?

- Mandy! To nie twoja sprawa!

Nie mogła dłużej powstrzymać łez, trysnęły z oczu strumieniem.

- Co za łajdak! Zaraz zrobię...

- Mandy! Nic nie zrobisz.

Mandy już była przy drzwiach, wsuwała buty na nogi. W nocnej flanelowej koszuli i z twarzą wysmarowaną na zielono była zdecydowana wkroczyć do jaskini smoka.

- Nie zrobisz, bo nie ma go u siebie.

- A gdzie może być? - syknęła tonem, który wskazywał, że gotowa była szukać go do upadłego.

- Odpłynęłam kajakiem sama. Jego zostawiłam na brzegu.

- Dobrze zrobiłaś. Już ja mu pokażę. Niech go tylko zobaczą. Doświadczony światowiec, taki jak on...

- Mandy, przestań. To sprawa między nim a mną. Mam już swoje dwadzieścia sześć lat i nie ma potrzeby, żebyś się mną opiekowała.

Mandy jakby się zawahała i nagle twarz jej się rozjaśniła uśmiechem.

- Rzeczywiście, to prawda. Zawsze uważałam, że powinnam się tobą opiekować. Pamiętasz, jak podbiłam oko Tomowi Bellingerowi za to, że powiedział na ciebie „dziwadło o czterech oczach”? Wściekałam się, kiedy ludzie się ciebie czepiali. Chciałam, żeby każdy widział, jaka jesteś wspaniała mimo, albo właśnie dlatego, że tak bardzo różniłaś się od nas wszystkich.

Charity odetchnęła. Duch bojowy wyparował z Mandy równie szybko, jak się pojawił. Usiadła teraz na łóżku i zachęcająco poklepała miejsce obok siebie.

- No, jeśli nie muszę zaraz posiekać go na kawałki, opowiedz mi o tym. Było wspaniale?

- Mandy, na miłość boską! - Nie było sposobu na odwrócenie jej uwagi, kiedy raz sobie coś wbiła do głowy.

- Ciekawość to żadna zbrodnia!

Cóż, Charity mogła się tylko roześmiać.

- No, dobrze. Było wspaniale. Ale jednocześnie okropnie. Jeszcze nigdy nie miałam takiej tremy.

- To całkiem normalne. Ale czy pani doktor pamiętała o kalendarzyku?

Charity westchnęła. Kto jak kto, ale ona, lekarka, powinna pamiętać o takich sprawach.

- Nie, to się stało... tak jakoś po prostu.

- Za pierwszym razem i tak zwykle nie ma konsekwencji - pocieszała ją Mandy.

- Mandy, muszę ci powiedzieć, że, z medycznego punktu widzenia, to co mówisz, jest zawracaniem głowy.

- No cóż, jeśli się nie da cofnąć tego, co się stało, uważam, że trzeba to będzie uznać za zrzącenie losu. Ja tak na to patrzę.

- Dziękuję ci, Mandy. Twoja rada z pewnością pomoże mi się pozbierać i zobaczyć, co mogę uratować z odprysków moich marzeń. Czy mogłabyś teraz zejść z mego łóżka? Chciałabym się przespać.

- Kto wie? - Mandy wstała, przeciągając się. - Może twoje marzenia znalazły się na niewłaściwym torze i dopiero przeznaczenie skieruje je, gdzie trzeba.

- To prawdziwie głęboka myśl, która w dodatku wyszła z ust twarzy wysmarowanej na zielono - przekornie zażartowała Charity, wyjmując piżamę. - Wiesz, Mandy, jestem przekonana, że potrafiłabyś znaleźć jaśniejszą plamę nawet w najczarniejszej sytuacji.

- Przynajmniej próbowałabym - przyznała Mandy, wskakując do łóżka i otulając koldrą zieloną brodę. - Boże, jaka jestem zadowolona, że dostało mi się miejsce w pierwszym rzędzie tego przedstawienia. Pierwszy romans Charity! Jesteś kobietą, która dojrzała do romansu. Cieszę się, że tajemniczy Matthew Blake pojawił się tu tego lata.

- Nie jest to żaden romans. Nie można tego tak nazwać. Było, minęło i już po wszystkim.

- Ha!

- Tak. Właśnie tak to wygląda.

- Nie sądzę. Zobaczmy. I gdybyś miała ochotę założyć się ze mną, choćby o drobiazg...

- Nie, dziękuję bardzo. - Jednego zdążyła się Charity nauczyć, że nie wolno zakładać się z Mandy. Jej kuzynka była w stanie poruszyć niebo i ziemię, żeby wygrać.

- Załóżmy się o coś zupełnie małego. Może o twój czerwony pasek?

- Będzie się gryzł z kolorem twoich włosów.

- Tylko wtedy, kiedy nosiłabym go na głowie.

- Mandy, jeśh' się zgodzę na ten zakład, może cię to sprowokować do odegrania roli Amora.

- Chyba nie przypuszczasz, że posunęłabym się tak daleko dla głupiego paska? - zapytała Mandy z niewinną miną.

- Owszem. Tak właśnie myślę - bez wahania odparła Charity.

- A propos. Co dałaś Nelsonowi za pracę na twojej zmianie?

- Umówiłam się z nim na obiad. Mandy roześmiała się.

- Mój Boże, wszystko zaczyna się obracać w lato twoich marzeń, przyznaj sama.

- Chyba mówisz o twoich marzeniach na temat mojego lata - sprostowała Charity wchodząc do łóżka.

- Zorganizuj to tak, żeby ten obiad był tu, na miejscu. Wzbudzisz zazdrość w Matthew, jestem tego pewna.

- Nie potrafię uprawiać takich gier. Niezależnie od tego, nie posądzam go o zbyt wielkie uczucia w stosunku do mnie.

- Mogłabyś się dowiedzieć znacznie więcej o jego uczuciach, gdybyście się zdecydowali na obiad w hotelu. W tym samym czasie, kiedy i Matthew jada. Zdaje się, że przychodzi na obiad zwykle około siódmej.

- Byłoby to bezwstydne, gdybym się posłużyła w ten sposób Nelsonem - zaprotestowała Charity, jednak z umiarkowanym oburzeniem. Nie było sensu podniecać się w rozmowach z Mandy.

Mandy wyciągnęła rękę i zgasila lampkę.

Nareszcie błogosławione ciemności, pomyślała Charity z wdzięcznością. Powiodła ręką po swoim płaskim brzuchu i poczuła nagły przypływ lęku.

Bez zabezpieczenia przed ciążą. Gra o wysoką stawkę, doktor Marlowe, gromiła samą siebie.

Następnego dnia zmobilizowała całą odwagę, przygotowana na spotkanie z Matthew, ale się na niego nie natknęła.

Minał jeszcze jeden dzień, potem następny. Miała czas na sprawy, na których jej zależało. Opalała się i pływała. Odbyła kilka dalekich spacerów po dobrze oznakowanych szlakach. Starła się o niczym nie myśleć, ale przyłapywała się na tym, że ciągle wraca pamięcią do tego samego wydarzenia.

Czyżby on wyjechał? Z pewnością natknęłaby się na niego do tej pory. Chyba że jej unika.

Schowała dumę do kieszeni i poszła szukać Mandy, która naturalnie wiedziała wszystko o każdym, kto się znajdował w ośrodku.

- Mandy, nie widziałas Matthew?

- Czy to pytanie oznacza, że mięknie i wycofujesz się z twardego stanowiska? - zapytała kuzynka z nadzieją w głosie.

- Nic podobnego! Po prostu, nie widziałam go od... no, wiesz... i zaczęłam się zastanawiać, czy w ogóle wrócił.

- Owszem, wrócił. Widziałam go we własnej osobie, co prawda posiniaczonego.

- Posiniaczonego? - spytała Charity słabym głosem.

- Wygląda na to, że szukając w ciemnościach drogi, wpadł na kilka drzew. Słusznie mu się to należało.

Spojrawszy na Charity, Mandy zaczęła się szybko wycofywać.

- Zapewniam cię, że ma tylko ślady powierzchowne. Zdrapany nos. Zupełne głupstwo. Wiesz, gdzie go widziałam? U pani Foster. Wyglądała na zmartwioną. Od razu przyszło mi na myśl, że może przyszedł ze skargą na ciebie. Porzucanie gości gdzieś na dzikich manowcach nie robi najlepszego wrażenia.

- Nie nazwałabym tego miejsca dzikimi manowcami.

- Nie ma znaczenia, jak ty je nazywasz. Liczy się jego opinia, choćby nawet była dyskusyjna. Prawdę mówiąc, wyglądał jak prawdziwy niedźwiedź. Kiedy go zapytałam o zadrapanie na nosie, tylko na mnie warknął. Coś w tym jednak jest, że ci narwani brutalnie są tacy intrygujący.

- Mandy, mogę stracić pracę, a ty spokojnie zastanawiasz się nad zagadką wdzięku mężczyzn o gwałtownym usposobieniu.

- Nie grozi ci utrata pracy. Pani Foster jest za miękka, żeby zwalniać kogokolwiek. Najwyżej palnie ci kazanie, a ponieważ tego nie cierpi, prawdopodobnie poprosi o to mnie.

W tym momencie zbliżyła się do nich Donna, która pracowała w recepcji.

- Właśnie szukam was obu, Mandy. Pani Foster zwołuje cały personel na zebranie. Jak myślisz, co to może znaczyć?

Mandy zmarszczyła czoło.

- Nie mam pojęcia. Nigdy się to dotąd nie zdarzyło.

- To prawda, nigdy. Odkąd sięgnę pamięcią - z niepokojem potwierdziła Donna. - To ma coś wspólnego z tym mężczyzną.

- Jakim mężczyzną? - zainteresowała się Mandy.

- Nazywa się Matthew Blake. Przez trzy dni siedział w jej gabinecie. Nawet posiłki kazali sobie tam przynosić. To ponad siły takiej starej kobiety.

Mandy posłała Charity porozumiewawcze spojrzenie.

- Widać z tego, że jest to bardzo długa skarga. Czy na pewno powiedziałaś mi wszystko o tamtej nocy?

Charity przygwoździła ją wzrokiem, ale Donna i tak była zbyt zaniepokojona, by cokolwiek zauważyć.

- Henry twierdzi, że to jest ktoś z wielkiego koncernu hotelowego i że próbuje kupić Anpetuwi. Czy to nie okropne?

- Henry powinien pilnować przyrządzania zup - powiedziała Mandy, której wyraźnie nie przypadło do gustu, że ktoś inny chce sobie uzurpować prawo do pierwszeństwa w zdobywaniu wiadomości. - Słyszałam, że mafia pożyczyła jakieś pieniądze

pani Foster i przysłała tego Matthew Blake'a, żeby je zainkasował.

Donna wstrzymała oddech i spojrzała na nią okrągłymi z przerażenia oczami.

- Mandy, to straszne.

- Tylko mu się przyjrzyj, kiedy następnym razem będziesz przechodzić obok niego. Te jego kręcone ciemne włosy. A w ogóle, kiedy jest to zebranie?

- Jutro o dziesiątej. Mają się stawić wszyscy bez wyjątku. Wszyscy. - I Donna już puściła się pędem, żeby obwieścić nowinę.

- Mandy, nie powinnaś była mówić tego o mafii.

- Dlaczego nie? Jeżeli mają krążyć jakieś plotki, niech przynajmniej będą ekscytujące. Idę teraz się dowiedzieć, o co naprawdę chodzi?

Nie dowiedziała się jednak niczego. I kiedy przyszły następnego dnia na zebranie, nie wiedziały tak samo nic, jak wszyscy pozostali.

Pierwszą osobą, którą zobaczyła Charity, był on. Zebranie odbywało się w jadalni. Tuż przy wejściu stał Matthew, swobodnie opierając się biodrem o blat stołu. Wydawał się bardzo opanowany i pewny siebie. Serce w niej zadrżało.

Obrócił się i spojrzał na nią. Miał na nosie pręgę, czerwoną i brzydką. Przez moment, patrząc na nią, zmrużył lekko oczy, ale zaraz wziął ze stołu leżący za jego plecami plik papierów i zaczął je kartkować, jakby o niej zapomniał.

Skulona usiadła na jednym z ostatnich krzeseł w głębi pokoju, a serce jej biło jak rozkołysany dzwon.

Nic dziwnego, była przecież prawie pewna i chciała tego, żeby przy pierwszym spotkaniu na jej widok zatrzęsł się z wściekłości.

Ludzie schodzili się powoli i wreszcie około wpół do jedenastej zebrał się komplet.

Pani Foster biegła po pokoju jak spłoszony ptak.

- Dziękuję wszystkim za przybycie - zwróciła się do zebranych. - Myślę, że możemy zacząć.

- Ja też tak myślę - powiedział Matthew. Jego głos złagodniał, kiedy zwrócił się do pani Foster: - Babciu, usiądź. Ja wszystkiego dopilnuję.

Babciu? Charity i Mandy wymieniły zdumione spojrzenia.

- Dobrze, Matthew - zgodziła się pani Foster, krzyżując przed sobą ręce. - Tylko panuj nad sobą. Nie cierpię, kiedy wpadasz w złość.

Przez pokój przeszedł szmer rozbawienia, który umilkł natychmiast pod wzrokiem Matthew.

- Moja babka zaniepokojona jest tym, że mogą polecieć głowy - powiedział ze spokojem. Zapadła cisza, jak makiem zasiał. - Nie wiem, dlaczego się denerwuje. Może ktoś z państwa wie? Chyba nie z tego powodu, że - tu spojrzął na Nelsona - wózki golfowe jeżdżą slalomem po całym terenie, nie zwracając najmniejszej uwagi na bezpieczeństwo. Z pewnością także nie z tego powodu, że osoby z personelu całymi godzinami przesiadują wieczorem w barze, obierając za cel swoich dowcipów gości hotelowych. - Poszukał wzrokiem Mandy i Charity, po czym spokojnie ciągnął dalej. - Również chyba nie dlatego, że plotkuje się, a nawet szpieguje gości hotelowych, używając do tego celu lornetek.

Niektóre osoby wymieniały między sobą niepewne spojrzenia. Większość pilnie przyglądała się swoim nogom.

- Ten ośrodek od trzech pokoleń znajduje się w rękach mojej rodziny - kontynuował Matthew. - Dał początek łańcuchowi hoteli klasy F i B, którymi zarządzam. Anpetuwi cieszy się opinią jednego z najlepiej znanych miejsc wypoczynkowych na świecie. Nigdzie jednak, w czasie całej mojej pracy hotelarskiej, nie spotkałem się z tak całkowitym brakiem dyscypliny wśród personelu, jak tutaj. Doceniam to, że większość osób pokochała to miejsce. Doceniam waszą lojalność. Wysoko także oceniam to, że dużo się tu robi rzeczy świetnych. Ale nie podoba mi się,

że personel stawia własne rozrywki przed rozrywkami gości. Nie podoba mi się, że wykorzystuje się moją babkę.

To stwierdzenie wywołało zbiorowy szmer protestu.

- Matthew, posłuchaj, im się zdawało, że mi pomagają.

- O ile się zorientowałem - mówił dalej, obrzuciwszy panią Foster spojrzeniem czułym i jednocześnie gniewnym - moja babka od pięciu lat nie przeglądała podań o pracę. Kto, u diabła, angażuje tu i zwalnia ludzi? Chciałbym to wiedzieć.

- Jeżeli ten, kto angażuje, robi to dobrze, nie ma potrzeby kogokolwiek zwalniać - mruknęła Mandy pod nosem.

Charity spojrzała na nią przestraszona, ale Mandy, jak gdyby nigdy nic, spokojnie patrzyła przed siebie.

- W ciągu następnych kilku tygodni zajdą tu pewne zmiany. Kolejno z każdą z zatrudnionych tu osób przeprowadzę indywidualną rozmowę, dotyczącą jej udziału w dalszym funkcjonowaniu naszego ośrodka. Zamierzam prowadzić go, trzymając mocniej w garści wszystkie sprawy, a co do moich oczekiwań w stosunku do personelu, dowiedzą się państwo osobiście w czasie rozmowy.

I jeszcze jedna uwaga: jeżeli zapowiem zebranie na godzinę dziesiątą, a ktoś przyjdzie o wpół do jedenastej, może sobie szukać pracy gdzie indziej. Na dzisiaj to wszystko. Wychodząc z jadalni możecie sprawdzić u Donny, która ma listę, kiedy się stawić na rozmowę.

Wszyscy, w nerwowym pośpiechu, ruszyli w kierunku drzwi. Znieruchomieli na ponowny dźwięk jego głosu.

- Panno Marlowe, pani pierwsza zgłosi się do mojego gabinetu. Już teraz.

Charity i Mandy patrzyły zdezorientowane.

- Mandy - wyjaśnił, chociaż surowy wzrok skierował na Charity.

Z wysoko uniesioną głową wytrzymała jego spojrzenie tak długo, jak tylko mogła. Szczęśliwie trwało to nie więcej niż kilka sekund.

Charity ścisnęła lekko rękę Mandy dla dodania jej odwagi i skierowała się, za innymi, do wyjścia. Czekala na Mandy w głównym holu. Zegar miarowo tykał minuty prawie godzinę, zanim ukazała się Mandy, niezbyt spokojnie.

- No i co? - wyszeptała Charity idąc za nią ku wyjściu.

- Skonfiskował mi lornetkę! - obwieściła z oburzeniem Mandy szyderczym tonem. - Powiedział, że muszę utrzymywać równowagę między entuzjazmem i dojrzałą rozważą. - Zmarszczyła nos. - Powiedział, że nie zawsze widzę granicę między zabawą a natrętnym narzucaniem się.

- Mandy!

- Dodał jeszcze, że nie zawsze spostrzegam różnicę między tym, co jest przyjazną postawą a poufałością. Poufałość! Takie staroświeckie określenie i takie waż-niactwo.

- Mój Boże - ze współczuciem szepnęła Charity. - Ale powiedział też, że podziwia moją energię i przywiązanie do ośrodka. Uważa, że opracowałam bardzo dynamiczny program aktywności fizycznej i że moja komunikatywność pozwala na nawiązywanie nadzwyczajnego kontaktu z gośćmi. Podziękował mi też za pomoc w opiece nad babką.

- Skoro o tym mowa - ostrożnie zaczęła Charity - to nie ty przyjmowałaś ludzi do pracy?

- To niezupełnie tak wygląda - wymijająco odpowiedziała Mandy.

- A propos, kiedy ty masz się stawić u kapitana?

Kapitana Hooka, dodała w duchu Charity.

- Jutro o czwartej. Wydaje mi się, że będę ostatnią przesłuchiwaną osobą.

- Boisz się?

- Boję.

Robiła co mogła, żeby opanować wewnętrzne drżenie, ale niezbyt jej się to udawało.

Kiedy weszła do gabinetu, Matthew siedział za dużym biurkiem. Przyglądał się jej w milczeniu i wreszcie powiedział łagodnie:

- Wygląda pani na zdenerwowaną, panno Marlowe.

- Naprawdę? - Nie mogła oderwać wzroku od sino-czerwonego zadrapania na jego nosie. Przypominał pirata jeszcze bardziej niż przedtem.

- Hm... - Wyszedł zza biurka i gestem wskazał na kanapę. - Może zechce pani usiąść?

Usiadła, starając się patrzeć na cokolwiek, byle nie w te przepastne granatowe oczy. Cisza przeciągała się. W końcu odważyła się na niego spojrzeć.

- Więc, od czego powinniśmy zacząć? - odezwał się wreszcie.

- Od tamtej nocy? Od mojego powrotu do domu? Od twojego przedstawienia w roli kelnerki? A może od podania o pracę?

- Podania? - wykrztusiła z trudem.

Usiadł obok niej. Poczula zapach mydła pomieszany z lekko wyczuwalnym zapachem wody po goleniu i nie dającym się określić zapachem mężczyzny. Był tak blisko niej, że mogłaby go dotknąć. I chciała go dotknąć.

Wcisnęła się w kanapę, jak mogła najgłębiej.

- Tak. Zaczniemy od podania. - Przysunął bliżej niej kartkę papieru. - Rozpoznajesz to?

Tym, co rozpoznała, był charakter pisma Mandy - duże zaokrąglone litery. Jej nazwisko napisane ręką Mandy. Coraz szerzej otwierała oczy. Nie tylko nazwisko, ale dużo więcej. Przebieg jej pracy, w której zdobywała doświadczenie jako kelnerka. Według jej rzekomego życiorysu była studentką - jedyny element prawdy, oprócz nazwiska, jaki zawierało to podanie. Mandy pominęła kilka lat, natomiast o paru ostatnich letnich sezonach napisała, że Charity pracowała jako kelnerka w Banff Springs Hotel. Niemal zatkało nieszczęsną Charity na widok następnego punktu formularza zatytuowanego

„zainteresowania”. Mandy śmiało napisała tylko jedno słowo: „mężczyźni”.

- O Boże - jęknęła zaciskając powieki. Otworzyła je, żeby spojrzeć na podpis. Coś, co

wyglądało na Marlowe. Imię można było odczytać ostatecznie jako Charity, ale wyglądało raczej na Charlie. Tak nazywała się papużka Mandy.

To podanie było niegodziwością, ale w niejasny sposób wydawało się, że znacznie większą niegodziwością byłoby odtrącenie Mandy.

- Bardzo mi przykro - powiedziała.

- No więc, to podanie jest zmyślane od początku do końca.

- Tak - potwierdziła spokojnie. - Podanie jest zmyślane od A do Z. Opuszczę ośrodek natychmiast, kiedy znajdzie się ktoś na moje miejsce - powiedziała łagodnie ze wzrokiem utkwionym w podłogę. - Nawet wcześniej, jeżeli wolałbyś.

- Jest to chyba trochę bardziej skomplikowane. Gwałtownym ruchem podniosła głowę patrząc mu prosto w oczy.

- Mam nadzieję, że nie posądzasz mnie o to, że użyję tego, co się stało tamtej nocy, jako argumentu, który w jakikolwiek sposób miałby wpłynąć na twoją decyzję. Co ty sobie wyobrażasz? Że kim ja jestem?

- Nie znajduję klucza do zagadki, jaką dla mnie jesteś - powiedział łagodnie. - Zmysłowa bestyjka, a przecież dziewczyna. Krętaczka i święta. Sama łagodność, a twarda jak skała.

- Nie jestem twarda - zaprotestowała. Chciała także sprzeciwić się pozostałym epitetom, przede wszystkim nazwaniu jej „zmysłową bestyjką”. Pomyślała jednak, że lepiej poprzestać na tym jednym.

- Tylko twarda kobieta mogła mnie wyśmiać i zostawić na łaskę losu.

Przygnębiona, musiała jak aktorka prowadzić grę dalej.

- Za to także przepraszam.

- Przestań ciągle mówić przepraszam!

- Naprawdę jest mi przykro, dlatego przepraszam.

- Wiem, że ci przykro! Myślisz, że nie widzę? Że nic nie czuję? Co jest prawdą, a co nią nie jest? - Tu głos mu złagodniał. - Czasami, kiedy patrzę w twoje oczy, wydaje mi się, że cię znam, że przenikam cię na wskroś, do samej duszy. I nagle - powiódł palcem wzdłuż blizny na nosie i niecierpliwie wskazał na podanie w jej rękach - grunt mi się zapada pod nogami.

- Powiedziałaś, że gotowa jestem wyjechać.

- Do cholery! Nie chcę, żebyś wyjeżdżała. Ciągłe coś się pojawiało w przestrzeni między nimi, jakaś siła przyciągania, coś z chemii. Zapach, który się gromadził, kipiał gdzieś w tajemnej głębi i tylko czekał, czekał, czekał...

- Pewnie tak byłoby lepiej.

- Pewnie byłoby - warknął. - Proponuję każdemu z nas dać szansę - dodał już opanowanym tonem i podniósł się z miejsca. - Ja postaram się zachowywać jak należy, a ty spróbuj nadal pracować jako kelnerka, jeśli z jakichś zagadkowych powodów zdecydowałaś się kłamać dla zdobycia tej pracy. Oboje popełnialiśmy błędy. Zobaczymy, czy uda nam się nie popełniać ich w przyszłości.

Kiedy obrócił się plecami, po jego postawie poznała, w jak wielkim stanie napięcia się znajduje. Wstała i cicho wyszła z gabinetu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Mandy, powiedziałaś, że tu nigdy nie ma wiatrów.
- Charity, pochylając się, próbowała obciągać w dół szeroką spódnicę z jasnoniebieskiego drelichu.
- Jednak w końcu przemówiłaś do mnie.
- Tak, bo uważam, że pora ogłosić stan alarmowy
- rzeczowo odpowiedziała Charity.

Gwałtowny poryw wiatru z wyciem przeleciał przez patio, podnosząc brzegi obrusów i strącając na podłogę stojące na stolikach szklanki i kieliszki. Poza kilkoma przerażonymi piskliwymi okrzykami, większość gości sprawiała wrażenie zadowolonych, że oto niespodziewana przygoda urozmaica im wieczór.

Charity nie miała zamiaru przestać odzywać się do Mandy. Chodziło jej tylko o to, żeby kuzynka co najmniej przez tydzień odczuła jej oburzenie z powodu skandalicznego podania.

- Zwyczajnie wypełniłam ten bzdurny papier czymkolwiek, żeby coś się tam znalazło, co świadczy o kwalifikacjach, na wypadek gdyby przyjechał na inspekcję kontroler - tłumaczyła się rozdrażniona Mandy.

- Skąd mogłam przypuszczać, że ktoś w ogóle będzie to czytać? Przebaczyłaś mi już? - zapytała z nadzieją w głosie.

- No... może - opryskliwie odparła Charity.

- Nie uwierzysz, ile ta fruwająca spódniczka dodaje ci seksapilu - przymilnie powiedziała Mandy, natychmiast korzystając z odpuszczenia winy. - Dzięki Bogu, idzie Matthew.

Charity, która nie sądziła, że może nadejść taki dzień, kiedy będzie wdzięczna za znalezienie się razem z Matthew w jednym pomieszczeniu, także dziękowała w duchu za jego obecność. Przytrzymała spódnicę z jeszcze większym zapalem.

Zauważyła, jak szybko zorientował się w sytuacji i jak nad nią zapanował.

- Panie i panowie! - zawołał głośno, przekrzykując wiatr. - Proszę uprzejmie zabrać swoje drinki i wejść do środka, do jadalni.

Charity zaczęła szybko sprzątać stoliki, by wiatr nie poczynił większych spustoszeń.

- Mandy, Nelson - komenderował Matthew - trzeba wyżej podciągnąć kajaki. Joe, nasi goście kręcą się niespokojnie po jadalni. Zamknij drzwi na klucz z tamtej strony. I weź z sobą butelkę koniaku. Poczęstuj każdego kieliszkiem i poproś, żeby się wszyscy rozeszli. Niech idą do siebie.

- Dobrze, proszę pana.

Był naprawdę mistrzem w swoim fachu, z podziwem przyznawała Charity. W ciągu zaledwie tygodnia, po objęciu przez niego kierownictwa, w Anpetuwi zaszły istotne zmiany. Ośrodek funkcjonował jak dobrze naoliwiona maszyna, zupełnie nie przypominając poprzedniej atmosfery bezkrólewia.

Zdumiewające było to, że zamiast oburzać się na wszystkie zmiany, każdy wydawał się szczęśliwszy. Ludzie sprawiali wrażenie, jak gdyby znaleźli sens w tym, co robią. Z większym entuzjazmem starali się, żeby każdy z gości był zadowolony, żeby mu dostarczyć jak najwięcej rozrywek, zamiast myśleć o własnych.

Matthew przyniósł plastikową miskę i zaczął zbierać ze stolików szkło. Potwierdziło to obserwacje Charity, że nie tylko znał się na wszystkim, co wiązało się z prowadzeniem takich ośrodków jak Anpetuwi, ale w razie potrzeby sam brał się do roboty. Nic dziwnego, że cieszył się szacunkiem całego personelu i popularnością wśród gości, którzy go bardzo polubili.

Nadal jednak nie wyobrażała sobie, że mogłaby się wyzbyć skrępowania, jakie czuła w jego obecności. Po tym, co między nimi zaszło, wydawało jej się to niemożliwe.

- Panie Blake! - zawołała w jego kierunku. - Jestem pewna, że jest pan potrzebny nie tylko tutaj... - Zanim dokończyła zdanie,

ze stolika spadł kolejny kieliszek, więc ciągle walcząc ze spódniczką zajęła się zbieraniem kawałków szkła.

- Nie zbieraj gołymi rękami. - W jednej chwili był przy niej, chwytając ją za dłonie. Stała prosto, spojrzała na niego, na jego włosy rozwiane wiatrem i... nie wrywała rąk. Sam je uwolnił z mocnego uścisku, jednak nie ruszał się z miejsca. - Zostawiamy wszystkie stłuczki, dopóki nie będziemy mieli szczotki.

Zmrużonymi oczyma wodził po całej jej postaci od rozburzonych przez wiatr włosów, do łopoczącej wokół nóg spódniczki. Uniósł dłoń, jak gdyby chciał dotknąć jej twarzy, ale po chwili ją opuścił.

- Burza dodaje pani uroku, panno Marlowe - oznajmił szorstko.

To samo mogłaby powiedzieć o nim, ale nie zrobiła tego.

- Jestem pewna, że sama dam sobie radę. - Wykręciła się na pięcie i zaczęła zbierać obrusy z pustych stołów. Matthew nie przestał jednak jej pomagać.

W pewnej chwili rozległ się grzmot tak potężny, że zatrzęsała się podłoga, niebo przeszła błyskawica. Charity poczuła na karku łaskoczący dreszcz. Czowała drżenie w całym ciele, które jak gdyby przeczuwało, że taki moment nastąpi, a nawet go oczekiwało.

Do patio zaczął zacinać deszcz.

- Charity, pomóż mi. Spróbujemy przesunąć instrumenty naszego zespołu do magazynu z bielizną, żeby nie zamokły albo nie porwał ich wiatr.

Muzycy zwykle dobrze okrywali instrumenty, ale pędzony podmuchami wiatru deszcz zacinał dajeko w głąb podium dla orkiestry.

Charity podeszła do Matthew i razem podnieśli głośnik.

- Czy ta kolumna nie jest dla ciebie za ciężka? Jesteś pewna, że dasz radę?

- Tak, oczywiście.

Borykając się z ciężarem kolumny, dobili z nią w końcu do szafy w magazynie.

- Dobrze, opuszczamy. Powoli, powoli.

Nagle zagrzmiało. Natychmiast znaleźli się w ciemnościach. W pierwszej chwili Charity pomyślała, że zgasło światło. Zaraz jednak przypomniała sobie, że w Susweca nie założono linii elektrycznej. To wiatr jeszcze raz zatrzaskał drzwi.

Kilka sekund upłynęło w ciszy. Usłyszała, że Matthew rusza klamką. Jego obecność w ciemnościach działała na nią jeszcze bardziej, aniżeli przedtem.

- Otwórz drzwi.

- Właśnie próbuję - odburknął.

- Jak to, próbujesz?

Zapadła cisza. Po chwili usłyszała zniecierpliwiony głos:

- Ten cholerny zamek chyba się zablokował.

- To niemożliwe. - W tym momencie przypomniała sobie, że niedawno mocny zamek u tych drzwi zatrzaskał jej się dwa razy.

Słyszała, jak Matthew sapał z niecierpliwością, więc przecisnęła się obok kolumny, wycząc w ciemności drogę ku drzwiom. Wyciągnęła rękę i wiodąc nią po drzwiach natrafiła wreszcie na zamek. Próbowała odkręcić spust.

Nic z tego. Próbowała kręcić w lewo, w prawo. Bez skutku. Czując, jak ociera się ramieniem o jego rękę. Ogarnięta paniką, z całych sił starała się sforsować drzwi.

- Mam nadzieję, że nie boisz się ciemności - zareagował sarkastycznym komentarzem.

Chciała krzyknąć, że boi się jego. Jego i siebie. I tego, co może nastąpić, kiedy znajdują się tak blisko siebie.

- Nie boję się ciemności, ale nie mam zamiaru skazywać siebie na spędzenie tu całej nocy.

- Ooo? Więc co zamierzasz zrobić?

- Czy masz przy sobie kartę kredytową?

- To jest pytanie, przy którym zdrzży każdy mężczyzna, słysząc je z ust pięknej kobiety.

- Nie pora teraz na żarciki!

- Wydaje mi się, że niezwykle odpowiednia, żeby wprowadzić do niej trochę humoru.

Poczuła, że wsuwa kartę kredytową w jej dłoń, ale przede wszystkim poczuła swoją reakcję na ciepło jego palców.

- Już masz tę kartę. Co z nią teraz zrobisz?

W pytaniu wyraźnie usłyszała kpinę. Przede wszystkim postanowiła odzyskać miarowy oddech.

- Mam zamiar udać się z nią do najbliższego sklepu jubilerskiego - powiedziała beztroskim tonem. - Tam mnie oświecą, jak się otwiera drzwi.

- Myślę, że oglądasz za dużo kryminałów. Wsunęła kartę między drzwi i framugę. Starła się

z całych sił przesunąć ją w górę i w dół, tak jak to widziała na filmach.

- Uch! - jęknęła.

- Co się stało?

- Złamałam paznokiec.

- Tak się poświęcać dla kariery włamywaczki! Choć rozumie, że to może pociągać.

- Co masz na myśli?

- Ze do takiej kariery nie potrzeba składać podań. Poczekaj, daj mi kartę. Teraz ja spróbuję.

I znowu ich dłonie dotknęły się w ciemnościach.

- Nic z tego nie wychodzi - oświadczył Matthew. - Myślę, że na razie moje konto jest bezpieczne.

Magazyn był bardzo mały. Wydawało się, że Matthew wypełnia go bez reszty, Charity miała nawet wrażenie, że pełno go także w powietrzu, którym oddychała. Powietrzu, które najpierw on wciągał głęboko w swoje płuca...

- Może spróbowałbyś wyważyć te drzwi?

- Tak, chyba spróbuję - powiedział to wyraźnie bez entuzjazmu. - Dawniej budowano domy zupełnie inaczej, drzwi

były wprawiane w odwrotną stronę. Wygląda na to, że przedzie połamię własne kości, aniżeli wyważę te drzwi.

- Nie wyglądasz na maminsynka - powiedziała kpiącym tonem.

- Mógłbym sprawić, że odwołałabyś te słowa - wyszeptał niskim, zachrypniętym głosem tuż przy jej uchu. Poczowała lekki podmuch na swojej szyi, który wywołał gęsią skórkę.

- Przepraszam - odparła cicho. - Ja po prostu nie lubię się poddawać. - Stał tak blisko, że czuła ciepło jego ciała.

- Dobrze, jednak spróbuję. Odsuń się. Nie ma sensu, żeby nas oboje przywaliły te drzwi.

Posłusznie przywarła do półek szafy. Obserwowała jego ciemną sylwetkę, najpierw cofającą się, a potem energicznie atakującą drzwi.

- Umpf! - Odbił się od nich i wylądował na podłodze. - Cholera jasna! Jeszcze mnie nigdy tak nie bolało. - Zaklął. Zapadła cisza. Po chwili wreszcie przemówił: - Żyjemy w wieku równouprawnienia. Dlaczego, do diabła, sama nie zaatakowałaś tych drzwi?

Rzeczywiście. Nie rzuciła się na drzwi, ale zaczęła w nie walić pięściami.

- Pomocy! - krzyczała. - Na pomoc! Uwolnijcie nas stąd!

- Panno Marlowe?

- Co takiego?

- Na dodatek do zwichniętego ramienia pękną mi bębunki w uszach.

Powiedział to głosem niemal tak aksamitnym jak panująca dokoła czerń.

- Chcę się stąd wydostać. I to zaraz.

- Czy zaczynasz wpadać w panikę? - zapytał cicho. Podniósł się i wynurzył z ciemności. Położył jej dłoń na ramieniu; miała siłę stali i była ciepła. Charity czuła reakcję swojej skóry. Tak, tak! Wpadała w panikę!

Głęboko wciągnęła powietrze do płuc. To jasne, że nie ulegnie panice. Lekarze nie popadają w panikę. Jego ręka nadal spoczywała na jej ramieniu, palec delikatnie łaskotał szyję.

- Chcę się stąd wydostać - powiedziała jeszcze raz.

- Ja także chcę - odpowiedział tonem poważnym i krzepiącym. Głosem, którym można by przemawiać do przestraszonego dziecka. - I niedługo się stąd wydostaniemy. Joe wróci, żeby wszystko pozamykać.

-Przecież już to zrobił!

- Albo Mandy przyjdzie, będzie cię szukać. Mandy z pewnością pamięta dobrze, z kim została

Charity i kiedy ta nie pojawi się w bungalowie, będzie zapewne chichotała szatańsko z zachwytu. Przewróci się na drugi bok i usnie.

- Możemy tu tkwić przez całe dwadzieścia cztery godziny - wyszeptwała.

- Mało prawdopodobne - powiedział spokojnie i cicho, jak przedtem. - Ale może spróbowałibyśmy urządzić się jakoś wygodniej. Jak myślisz?

Poddała się kojącemu działaniu jego głosu, który jak gdyby ją otulał i uśmierzał ból niepokoju.

- Co robisz? - Serce jej zabiło żywiej.

- Zdejmuję koszulę.

Przywarła do drzwi. Biała koszula jak duch wylądowała na podłodze.

- Dlaczego ją zdjąłeś? - jęknęła.

- Bo jest mokra. Zimno mi. Może zrobiłabyś to samo?

- Zwariowałeś?

- Posłuchaj, Charity. Postawmy sprawę jasno, dobrze?

Nie odpowiedziała.

- Sytuacja jest dziwaczna. I nieprzyjemna. Może nawet niebezpieczna, ale nie stanie się ani przyjemniejsza, ani bezpieczniejsza, jeżeli będziemy mieli na sobie warstwy mokrego ubrania. Mam zamiar owinąć się w jedno z

prześcieradeł czy obrusów, nie wiem, co tu leży na półkach. Radzę ci, żebyś zrobiła to samo.

- Mnie nie jest zimno. I na pewno się nie rozbioreę. - Mimo że nie powiedziała „znowu”, słowo to wisiało między nimi w powietrzu.

- Szczękasz zębami - powiedział. Podał jej coś suchego i ciepłego. Był to obrus. Rzucając na Matthew ukradkowe spojrzenia, okryła nim plecy.

- Raczej owiń się nim. Zrób coś w rodzaju togi.

- Togi?

- No, może to nie całkiem fortunny pomysł - przyznał. - Charity, obróć się plecami. Co prawda i tak cię nie widzę, ale obróć się i będę liczył do dwustu. Powoli. Jeżeli do tego czasu nie zdejmiesz przemoczonych rzeczy, ja sam cię rozbioreę.

- Jak śmiesz?

- Jak śmiesz pilnować mnie, żebym się nie rozchorowała, Matthew? - naigrywał się. - Chyba cię podam do sądu.

Miał rację, dobrze o tym wiedziała. Magazyn z bielizną był nie opalany i chociaż zabezpieczeni byli od wiatru, czuła, jak ogarnia ją zimno. Coraz mocniej szczękała zębami. Pamiętała jednak, co zaszło między nią i Matthew. Może przemarznięcie było mniejszym niebezpieczeństwem od nagości okrytej tylko obrusem, w sytuacji, kiedy byli zamknięci na tak małej przestrzeni.

- Pięćdziesiąt - obwieścił pocziwie.

Chyba nie odważyłby się jednak ściągać z niej mokrych rzeczy. Już wystarczająco niebezpieczne było odgrodzenie ich nagich ciał kilkoma obrusami, ale gdyby jej dotknął, wiedziała że byłaby zgubiona.

- Siedemdziesiąt pięć.

- Dobrze, dobrze - odburknęła. W pośpiechu ściągała z siebie wszystko po kolei i owinęła się szczelnie obrusem. Poczowała się cudownie. Dla dodania ciepła sięgnęła po jeszcze jeden obrus.

- Dwieście. Skończyłaś?

- Tak.

- W porządku. Teraz wyciągnę z półek cały stos obrusów i zrobię z nich legowisko, żeby nam było ciepło i wygodnie, póki się od siebie nie uwolnimy.

A więc i on uważał, że pułapką nie są zatrzaśnięte drzwi. Czyżby także pamiętał, że poprzednio również chodziło im o rozgrzanie się?

- Chodź tutaj, Charity.

Nic nie odpowiedziała. Zdawała sobie jednak sprawę, że mogła albo się położyć, albo przez kilka godzin podpierać drzwi. Przy jej szczęściu, dwadzieścia cztery godziny.

- Będę się czuła jak idiotka, jeżeli ktoś teraz przyjdzie i otworzy drzwi - wymamrotała, zasłaniając się słowami jak tarczą, za którą kryła się desperacja.

- Nie sądzę, żeby ci groziło wielkie niebezpieczeństwo.

Dał dowód, że wie, co się z nią dzieje.

Ostrożnie przysunęła się do miejsca, gdzie rozłożył obrusy. Osunęła się na nie najdalej, jak tylko mogła.

Urządzone przez niego łoże było niewielkie, lecz wygodne. Szerokie, nagie ramiona Matthew znajdowały się zaledwie o kilkanaście centymetrów od niej.

- Rozluźnij się - powiedział. - „Napięcie zniknie lotem strzały”.

Zabawne. Przypomniała sobie, że były to słowa popularnej w czasach jej dzieciństwa piosenki. Roześmiała się nerwowo.

- Zrozumiałas cały dowcip?

Zrozumiała i, mimo ciemności, zobaczyła błysk jego zębów w uśmiechu.

- Pamiętam tę piosenkę. - Odśpiewał kilka zwrotek pełnym wigoru barytonem, który wypełniając mrok dziwnym sposobem rozładował rosnące w niej napięcie. - Śpiewaj ze mną - poprosił.

Nigdy nie potrafiła włączyć się do bez troskiej zabawy, ale tym razem uległa nastrojowi chwili. Jeżeli nie można płynąć pod prąd, dlaczego nie popłynąć z prądem? Dlaczego nie

poddać się, nie uprzyjemnić sobie jakoś czasu, zamiast pograżać się w udręce?

Śpiewali każdą piosenkę, jaką pamiętali, chociaż w ich przypadku okazało się, że nie było ich zbyt wiele. Wystarczyły jednak do rozładowania nieznośnego w końcu napięcia, które w nich narosło. Uśmierzyły szalejącą burzę...

Kiedy umilkły ich głosy i śmiech, okazało się, że na ich miejsce powróciła jeszcze bardziej dojmująca świadomość bliskości.

Wspólna zabawa i wspólny śmiech nie uratowały sytuacji. Matthew przysunął dłoń, lekko dotykając ręki Charity. Odsunęła ją, ale on nie rezygnował i ujął ją w żelaznym uścisku.

- Chciałem ci tylko coś pokazać.

Mimo że próbowała cofnąć rękę, nieustępliwie przyciągnął ją i położył na grubym wałku ze zwiniętych obrusów leżących między nimi.

- Co to ma być?

- Wał obronny. Czy poczułaś się bezpieczniejsza? O, z pewnością. Tak jak za plastikową zasłoną mającą ją chronić przed nacierającym na nią niedźwiedziem.

- Czy zrobiłeś to dla żartu? - Jej głos zdradzał zdenerwowanie. - Czy ma to czemuś służyć?

- Mam zamiar ułożyć się teraz do snu. A ten wał, to przeszkoda na wszelki wypadek, żebym nie mógł w nocy przysunąć się do ciebie, wziąć w ramiona i zatopić ust w twoich włosach.

- Dobrze. Punkt dla ciebie - powiedziała oschłym tonem, choć dojmująco czuła jego bliskość. Słyszała, jak się gnieździł na swoim miejscu. Pragnęła jego ramion. Chciała, żeby ją nimi otoczył i zatopił usta w jej włosach.

- Nie kładziesz się?

- Nie jestem zmęczona.

- Nie jesteś zmęczona, czy boisz się, że może zawieść mur obronny?

Nie odpowiadała, w duchu zżymała się na jego przenikliwość. Umilkli, zapanowała cisza równie gęsta jak ciemności. Charity wyteżęła słuch w nadziei, że może ktoś się jednak pojawi.

- Co studiujesz, Charity?

- Nauki przyrodnicze - odpowiedziała krótko. Przekłętę podanie. Czy będzie ją prześladować do końca życia?

- Biologia - powtórzył w zamyśleniu. - Nigdy bym nie przypuszczał, ale podoba mi się to. Ciekawe. Potrafię sobie wyobrazić ciebie w białym kitlu, jak rozbierasz na części szczura i badasz poszczególne tkanki.

- Znowu stajesz się sarkastyczny jak zwykle.

- W porządku. Wycofuję się z tego, co powiedziałem o szczurze.

- Zostaje jeszcze kitel. To, że ludzie wkładają w różnych sytuacjach biały kitel, nie oznacza, że robią to dla kokieterii.

Roześmiał się pełnym głosem, który zabrzmiał niemal tak donośnie jak grzmoty wciąż nieubłaganej burzy.

- Chyba nie chcesz, żebym ci zaczął prawić komplementy? - Ton jego pytania uznała za niebezpieczny.

- Nie o to chodzi. Po prostu nie chcę uchodzić za kandydatkę do kaftana bezpieczeństwa. Wyglądać na nieszczęsną ofiarę.

- Przepraszam. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że możesz być pomyłona. Ktoś, kto pracuje naukowo, a w okresie letnim chce pracować jako kelnerka, to zupełnie normalne.

- Nie powiedziałam, że pracuję naukowo - oświadczyła rozdrażniona.

- Hm. Nauki przyrodnicze. Biologia. Chemia. Fizyka. Tak, to jest to! Projektowanie rakiet. Najbardziej czarująca programistka wahadłowych wypraw międzyplanetarnych w NASA, Która na boku dorabia sobie pracą kelnerki.

- Nie mam nic wspólnego z programowaniem.

- Racja. Jeżeli miałabyś zdolności w tym kierunku, dałabyś sobie radę z tym zamkiem.

- Poza tym, nie jestem czarująca i nie mam w tym kierunku żadnych aspiracji.

- Znowu mnie prowokujesz do prawienia ci komplementów - powiedział miękkiem głosem. - Nie wiadomo, do czego to doprowadzi.

- Nie czekam na komplementy!

- Kiedy piękna kobieta twierdzi, że nie jest piękna, to oczywiście czeka na zaprzeczenie.

- Och, dosyć. Nie lubię nawet samego słowa „czarująca”. Jest zbyt gładkie i brzmi sztucznie.

- Co ci w nim przeszkadza? Semantyka? - Jego głos pobrzmiwał ironią.

Jak to się dzieje, że głos jakiegoś mężczyzny usłyszany nocą może sprawić tak głęboki i dotkliwy ból? Wydawałoby się niczym nie ukojony?

- Dlaczego nie śpisz? - zapytała rozdrażniona. Sprawy przybierały coraz gorszy obrót. Okazało się,

że był nie tylko przystojny, ale, niech to diabli, także interesujący.

- Co dostałaś na swoje dziesiąte urodziny?

- Kiedy? - Była szczerze zaskoczona.

- Na twoje dziesiąte urodziny. To tylko gra, żeby szybciej mijał czas. Podejrzewam, że mamy go dosyć dużo.

- Zdaje się, że wyposażenie małego laboratorium chemicznego. Uważano mnie za dziwne dziecko - powiedziała z ociąganiem.

- Dlaczego dziwne? Raczej inteligentne i zdolne - odparł ciepło, głosem zupełnie zmienionym, jak gdyby wiedział, że zeszli na grunt delikatny.

- Och, nie mogę zapamiętać nawet ceny koniaku czy coca-coli - przypomniała mu.

- Wszyscy prawdziwie inteligentni ludzie, jakich znam, inteligentni w sensie psychologicznym, posiadają szczególnie rodzaj inteligencji. Mogą być na przykład nadzwyczajnymi

matematykami, ale zająkują się mówiąc listonoszowi: dzień dobry.

To właśnie była ona, pomyślała cierpko.

- Chociaż masz zwyczaj wyrażać się w sposób prosty i naturalny - ciągnął Matthew - jest coś... jest to jedna z twoich cech, które nie pozwalają uwierzyć, że jesteś zawodową kelnerką. Jednak zdaje się, że nie masz zamiaru oświecić mnie co do tego. Mam rację?

- Jestem zwyczajną studentką bez grosza i korzystając z wakacji próbuję trochę zarobić. Nie wiem też, czy wyrażam się w sposób prosty i naturalny. - Szczególnie w stosunku do Matthew. Nie potrafiła, nie miała żadnego klucza, jak ma się odnosić do mężczyzn. Wiedziała tylko to jedno, że na pewno nie tak jak jej rówieśnicy, a zwłaszcza Mandy.

- Przykro mi, że byłaś samotnym dzieckiem.

Jej zaś było przykro, że to powiedział. Miała i tak dość kłopotu z opieraniem się jego urokowi. Przystojny, interesujący, dowcipny, współczujący. Ktoś, na kim można polegać. Więc jaki był naprawdę? Kochał się z nią i potem ją zostawił. Jeżeli da mu szansę, zrobi to ponownie.

- A jak było z tobą, Matthew Blake? - zapytała żartobliwie. - Co ty dostałeś na dziesiąte urodziny?

- Gumową nadymaną łódeczkę plażową, żebym mógł samodzielnie poznawać jezioro. Wiesz przecież, że się wychowałem tutaj.

- Naprawdę? To musiało być cudowne miejsce dla dziecka.

- Rzeczywiście. Historia mojej rodziny jest ściśle związana z tym miejscem, które sobie obrała na siedlisko. Mój pradziadek postawił tu dom i założył hotel. Był wtedy kawalerem, ale niezbyt długo. Na otwarcie domu zjechała rodzina mojej prababki.

- Jakie to romantyczne - powiedziała Charity. - Jeżeli lubisz romantyczne historie, to tym lepiej.

Lubisz romantyczne historie?

- Na ogół nie - ucieła krótko.

Matthew roześmiał się, głos mu zmatowiał.

- Tak czy inaczej, opowiem ci tę historię do końca. Pobrali się tutaj, dokładnie za tymi drzwiami, na tej samej drewnianej platformie na słupach umocowanych w wodzie. Ta platforma nie była wtedy zadaszona, służyła jako taki pomost do opalania.

- Także pani Foster poznała tu swojego męża! - przypomniała sobie Charity.

- To prawda, była ich córką. Mieli trzy córki. Wszystkie poznały swoich mężów tutaj, w tym domu.

- Mój Boże, co za podobieństwo zdarzeń. - Charity poczuła się nagle jakoś... dziwnie. Nie, to nie to słowo. Poczuła się nie taka samotna. To miejsce wywoływało nastrój romantyczny, kojarzyło jedną parę kochanków po drugiej. Miała wrażenie, że czuła jego wibrującą siłę.

- Potem moja matka poznała tu mojego ojca. Nazywał się Blake. Przyjechał jako właściciel i dyrektor łańcucha hoteli „The Blake Hotels”. Próbował odkupić od nas ten ośrodek, ale jego misja skończyła się zupełnie inaczej. Zakochał się w mojej matce. Po ślubie połączyli się w jedno przedsiębiorstwo, składające się z dwóch łańcuchów hoteli, F i B. Mój ojciec był bardzo przedsiębiorczy, znany z szybkich działań, ale wprost zakochał się w tym miejscu. Nie można go było stąd wyciągnąć. Kiedy umarła moja matka, nie mógł jednak nim kierować. Przypuszczam, że miał tu za dużo wspomnień. Przenieśliśmy się do Londynu, ponieważ większość naszych hoteli znajduje się w Wielkiej Brytanii. Z energią zaczął znowu prowadzić interesy, a ja zgłębiałem arkana zawodu hotelarza.

- Wobec tego, dlaczego wróciłeś tutaj? - zapytała, w napięciu oczekując odpowiedzi. Wyglądało na to, że to tutaj członkowie tej rodziny przyjeżdżają po mężów i żony. Czuła niemal zawrót głowy na tę myśl. Na myśl, że pod tym księżycem i wśród tych zboczy o stromych skałach kojarzyły się dozgonne pary. Pokolenie za pokoleniem.

- Babci potrzebna była pomoc. Poza sezonem ona także przyjeżdża do Londynu i wprawdzie gorąco zapewnia, że daje sobie radę ze wszystkim, ale... - Pochylił głowę. - Ciężko jest patrzeć, jak gaśnie kochana osoba. Po prostu nie chciałem, żeby nadal próbowała zмагаć się z prowadzeniem tego hotelu. Ona bardzo boleśnie przeżywa swój spadek sił i wynikające stąd niedociągnięcia, chociaż się do tego nie przyznaje.

- Jest uroczą panią. - I bardzo łagodną.

- Nie odnoszę wrażenia, żeby ktokolwiek tutaj to wykorzystywał, Matthew. Wydaje się raczej, że solidarnie próbują jej pomagać w różnych niedociągnięciach, które, jak mówisz, tak ją bolą.

Usłyszała westchnienie.

- Wiem o tym. Zdaje się, że wiem. Może tylko niektóre posunięcia okazały się błędne, i to wszystko.

- Matthew, chciałabym, żebyś mnie objął.

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz?

- Tak - wyszeptła. - Wiem dokładnie, o co proszę. Bez wysiłku przeniósł ją nad wałem z obrusów.

Otoczające ją ramiona narazie były na swoim miejscu. Odczuła to jak powrót do domu.

- Boże, Charity, gdybyś wiedziała, jak bardzo i ja tego chciałem. - Jego usta okrywały pocałunkami jej policzki, nos, usta, szyję.

Obrócił ją na plecy i wpatrując się w nią, przegarniał palcami jej włosy.

- Charity, powiedziałem sobie, że to się więcej nie powtórzy, nie może powtórzyć. Przyrzekłem to sobie.

W odpowiedzi przyciągnęła jego głowę i przywarła wargami do jego ust.

- Charity! Matthew!

Spojrzeli na siebie bez słowa. Usłyszeli zbliżający się stuk obcasów Mandy.

Dla Charity czas jak gdyby się zatrzymał, przynajmniej taką miała nadzieję. Ale w pewnym momencie Matthew delikatnie się odsunął.

- Jesteśmy tutaj! - zawołał. Jeszcze raz jego oczy spoczęły na jej twarzy. Było w tym spojrzeniu coś zastanawiającego, nie potrafiłaby odgadnąć, co w tej chwili myślał. - Mandy? - Podniósł się i podszedł do drzwi, wciągając koszulę. - Jesteśmy tutaj.

- Co? Nie mogę otworzyć drzwi. Zatrzasnęły się. Zaraz sprowadzę kogoś na pomoc.

Charity szybko wstała. Z pełną godności miną spokojnie zrzuciła z siebie okrywające ją obrusy i ubrała się. Nie próbowała się zasłaniać, co było zupełnie do niej niepodobne. Była to jakby manifestacja, że ma mu za złe wybór, którego dokonał. Matthew także nie uczynił żadnego ruchu, żeby się odwrócić.

- Wyznam ci, bo chcę, żebyś o tym wiedziała. Była to najtrudniejsza decyzja, na jaką się kiedykolwiek zdobyłem.

Obróciła się plecami, żeby schować bluzkę pod pasek spódnicy, ale przede wszystkim, żeby ukryć przed nim łzy.

W milczeniu słuchali, jak Nelson i Joe z zapalem próbują sforsować zamek. Nie padło między nimi ani jedno słowo.

Kiedy wreszcie udało się otworzyć drzwi, pierwszą osobą, która ich zobaczyła, była Mandy. Mimo że stali tak oddaleni od siebie, jak tylko pozwalała na to znikoma przestrzeń, i mimo że byli ubrani, Mandy z szeroko rozwartymi oczyma zasłoniła ręką usta.

- O, Boże - jęknęła. Nie odrywała oczu od Charity, chociaż zwróciła się do Matthew. - Panie Blake, przyjechała pana narzeczona z Anglii.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Charity z trudem udało się ukryć konsternację. Wysoko uniosła głowę, broniąc się tym gestem przed głębokim upokorzeniem. Najchętniej uciekłaby jak najszybciej z tego miejsca, ale jakimś cudem zdobyła się na spokojny krok i minąwszy Matthew, wyszła ze swego więzienia.

Jeszcze tliła się w niej nadzieja, że może Matthew podąży za nią, ale nie. Natomiast dogoniła ją Mandy.

- Jestem taka zmartwiona - wymamrotała.

- Czym? - zapytała Charity, starając się, żeby jej zdziwienie zabrzmiało naturalnie.

- Tym, że on ma narzeczoną.

- No wiesz, cóż mnie to obchodzi.

- Och, nie graj przede mną takiej bohaterki! Rzuciła się w oczy, że nie spędziliście czasu grając w pokera.

- Co masz na myśli? - niepewnym głosem spytała Charity.

- To, że miałaś wyraz twarzy niegrzecznej dziewczynki, którą przed chwilą przyłapano, jak podkradała czekoladki. Przede wszystkim jednak powiedz mi, coście robili w tym składziku?

- Chowaliśmy instrumenty muzyczne naszego zespołu, żeby je zabezpieczyć przed burzą i nagle drzwi się zatrzęsły i zablokowały.

Mandy patrzyła na nią z niedowierzaniem, aż nagle rozpromieniła się.

- Charity, jeżeli nie widzisz w tym wszystkim przeznaczenia, jesteś ślepa mimo twoich grubych szkieł. Ja zawsze widziałam w tym działanie losu.

- Zostawmy to - zaproponowała Charity. Mandy nie dawała jednak za wygraną.

- Jeśli ma ci to w jakiś sposób pomóc, powiem ci, że ta jego narzeczoną w tak krótkim czasie zdążyła się już wszystkim narazić. Szkoda, że nie słyszałaś, co wykrzykiwała, kiedy nikt nie wiedział, gdzie jest Matthew.

- W niczym mi to nie pomaga i w ogóle nie chcę o tym więcej słyszeć. - Jednak nie mogła całkiem poskromić ciekawości, więc nie przerywała potoku słów, wylewającego się z ust kuzynki.

- Byłam w holu, kiedy wpadła wściekła, że musiała pieszo zejść z parkingu w pantoflach z dwunastocentymetrowymi obcasami. Miała na sobie suknię obcisłą jak skóra węża i sama wyglądała jak wąż. Ufarbowane na złoty kolor włosy, które sięgały jej aż do bioder, wyglądały okropnie po tym spacerze w huraganowym wietrze.

Donna dostała szału, bo wysiadła prądnica i nie działał telefon, a ta księżniczka oświadczyła donośnym głosem, że jest narzeczoną Matthew Blake'a i natychmiast ma mieć pokój. Każdy pokój u nas zamówiono jeszcze w ubiegłym roku, więc z całego serca chciałam, żeby Donna straciła nerwy i kazała jej się zabierać, ale nagle weszła pani Foster. Narzeczoną Matthew przypomniała jej, że się znają, w jednej chwili przemieniła się ze smoka w niewiniątko i pani Foster zaprosiła ją do swego mieszkania. Słyszałam, jak pani Foster zapytała ją, czy Matthew wie o jej przyjeździe. Odpowiedziała, że nie i że to ma być niespodzianka.

- Mandy, czy ty kiedyś przestaniesz podsłuchiwać?

- I powiem ci, że to będzie niespodzianka - ciągnęła Mandy ze złośliwą satysfakcją. - Widziałas twarz Matthew, kiedy powiedziałam, że ona jest w hotelu? Zrobił się ponury jak chmura gradowa. Nie wydawał się szczęśliwy z powodu przyjazdu narzeczonej.

Dobrnęły do bungalowu. Wydał się Charity przyjemny i przytulny. Rozebrała się. Ubranie ciągle jeszcze było wilgotne, więc z ulgą ściągnęła je z siebie. Nie zawracając sobie nawet głowy piżamą, wśliznęła się do łóżka. Chyba nigdy nie była aż tak wyczerpana. Zamknęła oczy i natychmiast usnęła.

Bang. Bang. Bang.

Charity próbowała unieść powieki, ale okazało się to za trudne. Nakryła głowę poduszką i postanowiła nic sobie nie

robić z dochodzących hałasów. Ktoś coś buduje, pomyślała zaspana. Bezustanny zgrzyt rżnących drzewo pił słyszała niemal od momentu, kiedy się kładła do łóżka.

- Wstawaj śpiochu.

Otworzyła oczy natychmiast. Ten głęboki, męski baryton, stanowczo za blisko jej ucha, mógł należeć tylko do jednego mężczyzny. Ostrożnie odwróciła się od ściany, wysoko podciągając koldrę.

- Co ty tu robisz? To jest moja sypialnia. - Spostrzegła, że wygląda na bardzo zmęczonego. Nawet oczy utraciły swój normalny blask. Twarz ocieniał nie zgolony zarost. - Do tej pory nie poszedłeś do łóżka?

- Tak, jeszcze się nie kładłem. - Nie poczuł się dotknięty jej pytaniem. - Za dużo jest roboty po burzy. Niektóre szkody nie mogą czekać.

Usiadł na brzegu łóżka, więc przysunęła się do ściany, kurczowo przytrzymując koldrę.

Flanelowa koszula, którą miał na sobie, była cała pokryta trocinami. Od momentu kiedy usiadł, czuła otaczającą ją chmurę zapachu, jego zapachu, mieszaninę trocin, mydła i potu. Cała postać wydawała się duża i siermiężna, wyglądał bardziej na drwała aniżeli na dyrektora hotelu.

- I z tym także nie mogłem dłużej czekać. Muszę z tobą pomówić.

- Z tym można było poczekać - powiedziała zakłopotana.

- Uważałem, że nie.

- Więc tak po prostu wpadasz do mojej sypialni i budzisz mnie?

- Mandy powiedziała, że mogę śmiało wejść. Przymknęła oczy zupełnie bezradna. Mandy! Mała diabliska w przebraniu chochlika.

- Nie miała racji i proszę, żebyś wyszedł. I zjedź z łóżka. Jestem zmęczona i chce mi się spać.

- Zmęczona? - Podniósł brwi. - Czy wiesz, że jest już prawie piąta po południu?

- No, więc wykrztuś to, co masz do powiedzenia

- rzuciła tak nonszalancko, jak tylko mogła.

- Po prostu chciałem, żebyś wiedziała. Sandra nie jest moją narzeczoną.

- Co mnie to obchodzi?

- Nigdy bym... - Zawahał się, szukając odpowiednich słów. - Nigdy bym się do ciebie nie zbliżył, gdybym miał jakieś zobowiązania wobec kogokolwiek. Przynajmniej wierzę, że nie byłoby mnie na to stać.

Przez cały czas patrzyła na niego uważnie. Ostatnie słowa przysły mu z wielkim trudem. On także patrzył jej prosto w oczy. Serdecznie pragnęła, żeby patrzył na swoje nogi, podłogę, przez okno, gdziekolwiek, tylko nie w jej oczy.

- Nie wiem, jak to się stało, Charity. Ciągniesz mnie do siebie jak magnes. Tracę dla ciebie głowę. Jestem człowiekiem opanowanym i zdyscyplinowanym, tymczasem przy tobie nie jestem sobą. Nie jestem z siebie zadowolony i nie wiem, jak z tym walczyć.

Słuchała tych słów z udręką, coraz bardziej wczuwała się w jego sytuację. Jednak w pewnej chwili olśniła ją pewna myśl.

- Pokłóciłeś się z nią, tak? I dlatego przyszedłeś.

- Mój przyjazd za ocean jest w pewnej mierze związany z zerwaniem zaręczyn z Sandrą Bamfield

- odpowiedział jej z cierpkim uśmiechem. Oczy mu spochmurniały, wydawał się przygnębiony.

- No, dobrze, ale znalazła się tutaj, więc zapewne uważa, że ma jeszcze szanse na naprawę tego, co się między wami stało. Zresztą to nie moja sprawa i nie interesuje mnie to.

Nie odpowiedział, tylko wyciągnął rękę i przegarnął dłonią jej włosy.

- Masz makijaż rozmazany po całej twarzy i każdy włos w inną stronę. I wiesz co? Jesteś ciągle piękna.

Leciutko pocałował ją w czubek nosa i wyszedł z pokoju.

Mandy wpadła nagle do pokoju jak bomba.

- Już zdążyli się wściekle pokłócić - oznajmiła uradowana.

Charity, która próbowała coś zrobić ze swoją twarzą, obrzuciła ją udreżonym spojrzeniem.

- Billie, pokojówka, wszystko słyszała.

- Aleja nie chcę tego słuchać, Mandy. Tego rodzaju plotki są nie do zniesienia.

- Jesteś czasami sztywna jak kij - stwierdziła kuzynka, ale w jej głosie pobrzmiwały czułe tony. - No więc, okazuje się, że nie są zaręczeni. Nie chcesz wiedzieć nic więcej?

- Matthew powiedział mi już o tym, dziękuję ci. I chciałam cię prosić, żebyś na przyszłość nie mówiła mężczyznom, że mogą wchodzić do mojego pokoju bez zaproszenia. Nie miałam na sobie kawałka szmatki.

- Wiem - przyznała się szatańsko rozemocjonowana Mandy. - Mogę się założyć, że on też o tym wiedział! - Spojrzała na Charity i szybko dodała: - Na litość boską, przecież byłaś pod kołdrą!

- Mandy, absolutnie nie wolno ci się więcej mieszać do moich spraw. Czy jasno się wyrażam?

- Dobrze - odpowiedziała z obłudną pokorą. - Ale zapomniałam ci jeszcze powiedzieć, że rozmawiałam z Nelsonem. Dzisiaj jest bardzo dobry dzień na wasz wspólny obiad.

Śmiech ugrzązł Mandy w gardle, kiedy szczotka Charity śmignęła tuż obok jej głowy.

- Przecież to twój wolny wieczór! - krzyknęła biegnąc w kierunku drzwi. Po chwili wetknęła głowę, żeby z szeroko otwartymi niewinnymi oczami zawołać:

- Umówiłam was, zanim obiecałam nie mieszać się do twoich spraw.

- Nie odezwę się więcej do ciebie ani słowem - zagroziła jej Charity.

- Ostatnim razem trwało to tydzień - naigrawała się z niej Mandy, zupełnie nie przejęta.

Nelson miał zamiar zawieźć ją na obiad do miasta, ale kiedy znaleźli się już na parkingu, nie mógł uruchomić samochodu.

Był tak speszony, że kiedy zaproponował restaurację w hotelu, nie mogła pogrążyć go jeszcze bardziej i mu odmówić.

Naturalnie, Matthew siedział przy stoliku z kobietą, która nie mogła być nikim innym jak jego narzeczoną. Opisując przybyłą z Londynu kobietę, Mandy nie wspomniała o jednym zasadniczym szczególe. Była piękna. Wprost nieziemsko piękna.

Wypatrzyli z Nelsonem stół z widokiem na jezioro i kiedy ruszyli w jego stronę, Charity odważnie wsunęła rękę pod jego ramię. Bardzo pilnowała się, żeby nie patrzeć na stół Matthew.

- Jaki jest twój ulubiony program telewizyjny?

- usłyszała nagle pytanie Nelsona.

- Nie mam telewizora - odparła. Skupiła teraz na nim całą uwagę. Robiła, co mogła, żeby go usatysfakcjonować za ten kosztowny obiad.

- Nie masz telewizora? Co u diabła robisz, żeby się rozerwać?

- Rozerwać się... hm - zastanowiła się zakłopotana.

- Rozrywka. No cóż, chodzę na spacer, choć nieczęsto. Wtedy, kiedy mi czas pozwala. Bardzo lubię książki.

- Nelson patrzył na nią otwarcie zdumiony. - Boję się, że nie mam zbyt wiele czasu na rozrywki - dokończyła.

- Tak, Mandy mówiła mi o tym. Jesteś studentką, prawda?

- Tak. A ty? Powiedz coś o sobie.

Chciała odwrócić jego uwagę od siebie. Czuła się skrupowana i zupełnie nie na miejscu. Miała wrażenie, że on się nudzi i że to jej wina. Nie pierwszy raz to się zdarzyło. Już dawno przestała umawiać się na randki właśnie z tego powodu.

Obiad był wyśmienity, mimo że jedli w pełnej napięcia ciszy, jak dwoje ludzi, którzy odkryli, że nie mają sobie nic do powiedzenia.

- Masz ochotę zatańczyć? - zapytał Nelson.

Był weekend i orkiestra powinna się była pojawić lada chwila. Charity czuła się zupełnie przegrana.

- Nelson, przyznam ci się, że nigdy nie była ze mnie dobra tancerka. Przepraszam...

- Dobrze, w porządku - powiedział w zadumie.

- Ale wiesz, co ci powiem? Wyglądasz na zupełnie inną dziewczynę, aniżeli jesteś.

- Spodziewałeś się, że jestem zabawniejsza? - spytała łagodnie.

Zaczerwienił się.

- Nelson, jestem od ciebie starsza, i to o kilka lat.

- Naprawdę? - odparł z ulgą, jak gdyby to tłumaczyło wszystko. - Jesteś też strasznie inteligentna. Takie dziewczyny odstraszają chłopców, szczególnie kiedy używają mądrych słów, takich jak ty.

Powiedział to tonem szczerze życzliwym, jak gdyby chodziło mu o udzielenie jej wskazówek przed następną randką. Było całkiem oczywiste, że nie siebie miał na myśli.

Roześmiała się, na co odpowiedział uśmiechem.

- Mimo wszystko bardzo cię lubię - zapewnił ją.

- Lubię naprawdę. Należysz do takich osób, których chciałbym się poradzić, jeśli pokłóciłbym się z dziewczyną albo coś przeszkrobał przeciw przepisom, czy gdybym miał inne kłopoty.

Rozbawił ją ponownie.

Wstali od stolika, a potem przeszli przez jedne drzwi, potem drugie i po kilku schodkach prowadzących z hotelu w dół, na podjazd. Na pożegnanie pocałował ją w policzek, jak całuje się ciotkę, starą pannę, która przed chwilą zdobyła naszą sympatię.

- Do zobaczenia - powiedział i oddalił się szybkim, charakterystycznym dla siebie krokiem, z ulgą strząsając z siebie uczoną elegancję swojej partnerki.

Patrzyła za nim ubawiona.

- No i co? Spędziłaś uroczy wieczór?

Drgnęła zaskoczona. Rozejrzawszy się dostrzegła w ciemnościach ogienek papierosa. Pod daszkiem ganku stał Matthew.

- Było... hm... zabawnie - powiedziała, lojalnie solidaryzując się z męską godnością Nelsona. Chciała natychmiast odejść do swego bungalowu, ale coś ją zatrzymało. Patrzyła, jak Matthew schodzi do niej po schodkach.

- Nie wyglądasz na ubawioną - zaczął ostrożnie.

- To samo mogę powiedzieć o tobie - odwzajemniła się.

- Czy to jedna z twoich starych sztuczek? Szpiegujesz mnie?

- Szkoda, że nie możesz włożyć swego egocentryzmu do pudełka, przywiązać kamień i wrzucić je do jeziora - powiedziała słodkim tonem. - To ty pierwszy zająłeś się oceną mojego wieczoru.

- Po prostu się z tobą przekomarzałem. Czy mówił ci już ktoś, że jesteś śmiertelnie poważna?

- Słyszałam to już kilka razy - przyznała. Patrzyła na niego z uwagą. Miała nieprzeparte pragnienie, żeby mu odgarnąć z czoła czarne kędziory. Odwróciła wzrok. - Kiedy zacząłeś znowu palić te paskudztwa?

- Całkiem niedawno - powiedział odrzucając papierosa. - Kiedy życie zaczęło być dla mnie... nieco frustrujące. - W jego głosie pobrzmiwała jak gdyby kpina z samego siebie.

Charity wdzięczna była ciemnościom, dzięki którym mógł nie zauważyć gwałtownych rumieńców oblewających jej twarz. Dobrze wiedziała, do czego się ta uwaga odnosi.

- Powiedz mi, jak to jest. Jednego dnia zatrzaśnięta w magazynie ze mną, drugiego na obiedzie z innym mężczyzną. Musi cię to bardzo bawić.

- Nie powinienes tym tonem mówić o moim pobycie z tobą w magazynie - syknęła.

- To znaczy, jakim tonem? - zapytał udając zdziwienie.

- Jak gdybym była jakąś pokojówką, która na ciebie poluje.

Wybuchnął śmiechem.

- Więc, którego z nas wolisz, Nelsona czy mnie? - dopytywał się aksamitnym głosem.

- Nie bądź śmieszny. Żadnego, jeśli patrzeć na to pod tym kątem. Nelson jest jeszcze chłopcem...

- Cieszy mnie, że to widzisz - przerwał poważniejąc.

- A ty jesteś... - Zawahała się, szukając odpowiedniego słowa.

- Mężczyzną - podpowiedział jej cicho.

- Arogantem - orzekła z całą surowością. Ponownie się roześmiał.

- Może powinniśmy ustalić, co rozumiesz mówiąc „pod tym kątem” - zaproponował pochylając się nad nią. Owiał ją odrzucający zapach dymu.

- Kochanie!

Odskoczyli od siebie, jak wystrzeleni z procy.

- Ktoś wzywa aroganta - szeptem powiedziała Charity.

- Ach, tutaj jesteś. - Kobieca postać, w chmurze muślinów wieczornej toalety, sfrunęła ze schodków w ich kierunku.

Matthew czekał z komiczną miną.

- Moja przyjaciółka, Sandra Bamfield - powiedział, dopełniając form towarzyskich. - Charity Marlowe.

Charity zdała sobie sprawę z dwóch rzeczy: że Matthew nie usiłował określić bliżej stopnia ich znajomości, i że żółte, kocie oczy Sandry zwęziły się, patrząc na nią z badawczą podejrzliwością. Czerwone, długie i spiczaste jak szpony paznokcie wpiły się w ramię Matthew, jak gdyby był jej własnością.

- Kochanie, wydaje mi się, że łączy nas coś więcej niż przyjaźń, nie sądzisz? - Ułożyła dłoń tak, żeby duży brylant w jej pierścionku błysnął wyraźnie w świetle księżycy. - A jakie stosunki łączą cię z panną Marlowe? Także przyjacielskie?

Każde słowo, wychodzące z jej pięknie wykrojonych ust, było ciężkie od zazdrości. Jej twarz aktorki przybrała wyraz

przychylnego zainteresowania, ale oczy pozostały zimne, a nawet wrogie.

- Pracuję u pana Blake'a - powiedziała Charity chłodnym tonem. - Pozwolą państwo, że ich pożegnam. Dobranoc.

Po powrocie do bungalowu spojrzała na zegarek. Była dziesiąta. Nie spała tylko pięć godzin, a była kompletnie wyczerpana. Zastanawiała się, czy nie jest to objaw chorobowy.

Jeżeli było to coś, co Mandy radośnie nazywała romansem, w takim razie praca na internie w dużym miejskim szpitalu była znacznie mniej stresująca.

Poza tym to, co przeżywała, trudno nazwać romansem. Była to jedna wielka rozterka. Przerzucanie się od miłości do nienawiści. Było to pożądanie i wstyd, że się je odczuwa. Był to zanik samokontroli. Uczucie głębokiego bólu po utracie czegoś, czego się nigdy nie miało. Były to uczucia zaskakujące i zarazem urzekające. I wyczerpujące.

Zanim zasnęła, przyszło jej na myśl, że chyba nigdy do nikogo nie czuła takiej niechęci, jak do Sandry Bamfield... no, może do Tommy'ego Bellingera.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Nastąpił tydzień względnego spokoju. Charity nie przeczuwała, że jest to cisza przed burzą. Miała dużo pracy, która czasami sprawiała jej nawet przyjemność. Była jednak ciągle dziwnie zmęczona; ile razy znalazła się w pobliżu swojego tapczana, miała przemożną chęć położenia się choćby na krótką chwilę. Ciągle próbując realizować swoje marzenia o cudownym lecie, uciniała sobie popołudniową drzemkę na plaży.

W podświadomości kołatały się w niej niejasne przeczucia, ale nie zwracała sobie nimi głowy.

Matthew nadal zajęty był usuwaniem szkód spowodowanych burzą. Ciął powalone drzewa na kłocce do kominków, których było w hotelu dużo. Oddał się temu zajęciu z pasją nasuwającą raczej myśl o zemście na losie, gdyż wysokie temperatury nie stwarzały konieczności zużywania takiej ilości drewna.

Sandra chodziła osowiała. Wałęsała się w pobliżu hotelu wyraźnie znudzona, nie biorąc udziału w rozrywkach organizowanych dla gości hotelowych, skarżąc się na obsługę, brak wygod i samotność, gdyż Matthew nie miał dla niej czasu.

Mandy jak zwykle, dzień po dniu, żyła na szybkich obrotach, pełna optymizmu i radości życia.

Nelson był nieprzytomnie zakochany w Billie i ustanowił Charity główną konsultantką w sprawach swego serca, co było najzabawniejszą przygodą, jaka się jej kiedykolwiek przytrafiła.

Goście przyjeżdżali i odjeżdżali, zupełnie nieświadomi toczących się wokół nich skomplikowanych spraw w stosunkach między stałymi mieszkańcami ośrodka.

- Zastanawia mnie, po co ona tu siedzi? - snuła swoje rozważania Mandy pewnego wieczoru, kiedy siedziały obie na rozchwanianym ganku, zajadając sałatkę owocową i pocąc się jak myszy. - Billie mówi, że nawet nie sypiąją razem.

Charity niemal się zakrztusiła.

- Mandy!

- Na Boga, jak na kogoś, kto zna anatomię człowieka na wszystkie możliwe sposoby, jesteś trochę przesadna. No więc, Matthew zasmakował w wychodzeniu o świcie do lasu, z którego wraca, kiedy jest śmiertelnie zmęczony. W ogóle się nią nie interesuje. Dlaczego ona nie może zrozumieć, o co mu chodzi i nie wyjeżdża?

- Całe nieszczęście w tym, że, jak podejrzewam, im bardziej Matthew ją odtrąca, tym wytrwalej ona broni swej godności i stara się go odzyskać - powiedziała Charity, nie mogąc udawać całkowitej obojętności w tej sprawie.

- Hm... bardzo możliwe, pani doktor! - ze szczerym uznaniem przyznała kuzynka.

- Mandy...

- Dobrze. Wiem, co chcesz powiedzieć: „Nie nazywaj mnie pani doktor”. Zdaje się, że ona cię nienawidzi z całego serca. Mówiłam ci, że jego zafascynowanie tobą rzuca się w oczy. To jasne.

Jasne dla każdego z wyjątkiem mnie, pomyślała Charity. Matthew unikał jej nie mniej starannie niż Sandry!

- Niektórym osobom z personelu nagadała o tobie niestworzonych rzeczy. Możesz sobie wyobrazić, co mówi do Matthew?

- Że jestem dwugłową czarownicą podającą klientom zatrute drinki, i do tego robię to najwolniej na świecie - drwiła Charity.

- Nie mrozi ci to krwi w żyłach?

- Nie - odparła Charity poważniejąc. - Mandy, ona nie jest zła, tylko chora. Chce wierzyć, że to ja jestem tą przyczyną, z powodu której Matthew nie odwzajemnia jej uczuć. Chce wierzyć, że gdyby mnie tu nie było, wszystko by się między nimi ułożyło dobrze.

Mandy potrząsnęła swymi czerwonymi kędziorami.

- Boże kochany, ty się nią naprawdę martwisz.

- Przypuszczam, że to jest powód, dla którego wybrałam swój zawód. Obchodzą mnie wszyscy ludzie. Szczególnie ludzie chorzy.

- Czy to znaczy, że mam pójść i wyciągnąć ropuchę z jej łóżka, którą tam podrzuciłam?

Charity przeciągnęła się ubawiona. Przyjemnie było mieć w pobliżu Mandy. Omawiać problemy innych. Odciągało to jej myśli od niepokojącego faktu, że jej okres spóźnił się już o kilka dni.

Wieczorem, schodząc do hotelu na dyżur, ze zdziwieniem zobaczyła Matthew zaabsorbowanego rozmową z dwoma policjantami z Królewskiej Kanadyjskiej Policji Konnej.

Kiedy się zbliżyła, właśnie się z nimi żegnał.

- Charity, chciałem z tobą porozmawiać.

Jej skołatane serce skoczyło jak szalone. Od dłuższego czasu nie zamienili z sobą słowa.

- Mam nadzieję, że nie mamy jakiegoś kłopotu? - powiedziała patrząc na odjeżdżających policjantów. Spojrzała na niego uśmiechając się niepewnie. - Naprawdę, będąc tutaj łatwo uwierzyć, że nie jesteś częścią realnego świata.

W tej samej chwili zrobiło jej się głupio z powodu tej dziecinnej uwagi. Nie są częścią realnego świata? Gdzie życie komplikuje się przez ciężę i zazdrośną przyjaciółkę mężczyzny, który zachowuje się obojętnie i dla którego serce zupełnie zwariowało?

- Tak się dotąd wydawało - wyznał przygnębiony, patrząc w przestrzeń. - Żadnych zabójstw, żadnych włamań, żadnych rozbojów. Miejsce z dala od reszty świata. W każdym razie do dzisiaj. Zginęła część biżuterii mojej babki. Chcę zaalarmować personel na wypadek, gdyby ktoś coś zobaczył czy usłyszał coś podejrzanego.

Szybkie bicie serca uspokajało się. Czowała się rozczarowana. Chodziło mu tylko o oficjalną rozmowę i tak było dobrze. W każdym razie bezpiecznie. Był, jak zawsze, dojrzały i rzeczowy.

Spojrzała mu prosto w oczy. Były utkwione w jej twarz. Udręczone mówiły o powstrzymanej tęsknocie.

- Bardzo mi przykro z powodu tej kradzieży - powiedziała Charity, wracając tymi słowami na bezpieczny grunt. Zawahała się. - Ale biorąc pod uwagę roztargnienie twojej babki, czy to trochę nie za wcześnie wzywać policję?

- Nie sądzę, żeby niefrasobliwe położenie w niewłaściwym miejscu biżuterii o wartości dwudziestu tysięcy dolarów można było traktować tak samo, jak niepamiętanie, że okulary mogą wisieć na łańcuszku na szyi.

Charity zaniemówiła.

- Co tutaj można robić z biżuterią tej wartości?

- Przypuszczam, że, podobnie jak ty, ona czuje magię tego miejsca. Miejsca odizolowanego od reszty świata. Myślała, że tutaj nie może zdarzyć się nic złego. - W jego głosie brzmiał gorzki gniew, spowodowany najprawdopodobniej uczuciem, jakie Matthew żywił dla babki. Chciał, żeby mogła trwać przy swoich złudzeniach. Miał wrażenie, jak gdyby ją w jakiś sposób zawiódł.

- Jestem pewna, Matthew, że tę biżuterię pani Foster położyła gdzieś i zapomniała - powiedziała cicho, ale z przekonaniem.

- Jak możesz mówić to z taką pewnością?

- Nie wiem tego na pewno, ale jest tu w powietrzu taki spokój... - Zarumieniła się. Prawdopodobnie znowu mogła się wydać beznadziejnie naiwna.

Zobaczyła jednak, że Matthew się uśmiecha. Biel jego mocnych zębów emanowała zmysłowością, od której poczuła ciarki na plecach.

- Moja matka zwykle tak mawiała. Więc przypomniała mu matkę.

Za cenę swobodnego wyrażania swoich uczuć godziła się poniekąd uchodzić za naiwną.

- Twoja matka miała rację i jeśli, co nie daj Boże, ta biżuteria została ukradziona, przekonasz się, że wyniknie z tego coś dobrego.

- Ty mała, dobra wróżko - parsknął krótkim, jakby nerwowym śmiechem, ale w oczach miał zadumę. Wydawało się, że w jej obecności nieuchronnie opadają go wspomnienia, podobnie jak ją. - Widziałem cię spacerującą w lesie z Nelsonem - powiedział z pewnym ociąganiem, nadając tej uwadze pozory obojętności. Ale i tym razem jego oczy mówiły co innego.

- Ustanowił mnie wyrocznią w sprawach swego serca, Bóg wie dlaczego - odparła wesoło. - Nie jest to dziedzina, w której mogę być ekspertem.

- Chcesz powiedzieć, że ciągle narzuca ci się jak sztubak?

Charity zdawało się, że wyczuła ulgę w jego głosie. Dlaczego jej serce zaczęło się tłuc jak szalone, jak gdyby nie spodziewała się od niego takich słów?

- Nie. Zdaje się, że przy tamtym wspólnym obiedzie zgasiłam ostatecznie jego zapalę. Nie jestem typem kobiety, która potrafiłaby trwale rozbudzić wyobraźnię mężczyzny.

- Nie doceniasz siebie - wyznał stłumionym głosem. I znowu znaleźli się na niebezpiecznym gruncie,

czego oboje unikali. Jak gdyby tajemniczy napój miłosny warzył się w ogromnym czarnym kotle, pieniąc się pod uchodzącą parą. Czekał na dodanie jeszcze jednego składnika - zagrożenia czy magii? Który to będzie składnik?

Może dotyk... Może oczy patrzące chwilę za długo... Może język niespokojnie zwilżający wargi... Zdobyła się na drażliwe pytanie:

- A jak przebiega wizyta Sandry?

- Wyjeżdża - mruknął. - Im szybciej to zrobi, tym lepiej.

Ściągnął surowo usta, twarz mu stężała, stała się obca.

- Boję się, że się spóźnię do pracy - powiedziała Charity nerwowo.

Matthew odsunął się pośpiesznie.

- Tak, oboje nie chcielibyśmy tego - powiedział łagodnie, ale jego oczy wyrażały coś zupełnie innego. Całowały jej usta i szyję, i uszy. Jego oczy pragnęły, żeby się bardzo spóźniła do pracy.

Wyminęła go i szybko wbiegła po schodkach do hotelu. Tuż przed wejściem dostrzegła Sandrę kryjącą się pod daszkiem. Na widok Charity na jej ustach pojawił się uśmiešek. Poczwała przejmujący dreszcz.

Mimo szumu wody z kranu, Charity usłyszała w końcu pukanie do drzwi bungalowu. Myła głowę nad zlewem. Wyprostowała się, owinęła mokre włosy ręcznikiem, poprawiła szlafrok i ruszyła ku drzwiom.

Miała zamiar powiedzieć Nelsonowi, że ma tego dość. Nie miała pojęcia, co kobiety lubią najbardziej - poezję, kwiaty czy wieczór w kinie. Nie wiedziała, po czym poznać, że się ktoś zakochał, nie mówiąc już o takich powodach jak „liczenie na pieniądze”, jak to określał Nelson. Jej własne serce było tak udęczone, że nie była w stanie zdobyć się na żadną radę. Nie mogła już dłużej wysłuchiwać wypowiedzianych stłumionym głosem skarg pełnych patosu, na przemian z relacjami euforycznymi i pełnymi zachwyty. Słowa tego niedoświadczzonego chłopca poruszały drażliwe struny jej własnego serca.

Nelson roztrząsał każdy przeżyty dzień - tak samo jak ona, która w każdej chwili wstrzymywała wręcz oddech w nadziei na spotkanie Matthew, zamienienie z nim choćby kilku słów... Albo na zrozumienie tego dręczącego niedosytu, jaki był w niej.

„Niedosyt” to jedyne słowo, które mogło odzwierciedlić jej stan. Fizyczny niedosyt tak silny, że nie wiedziała, jak będzie żyć dalej.

Pragnęła chociaż go dotknąć. Pragnęła też jego dotyku. Tęskniła do rozmowy z nim. Do jego uśmiechu.

Do spacerów z dłonią w jego dłoni. Pragnęła ściągnąć z niego ubranie, sztuka po sztuce.

Jakże zazdrościła Billie i Nelsonowi ich zwyczajnych przeżyć.

Żyła w świecie własnych wyobrażeń. Miała zaledwie kilka skromnych wspomnień i ciąglą obecność kobiety, która uparła się, żeby zostać jego żoną.

Właściwie nie potrafiła nawet ostatecznie określić własnych uczuć. I wcale nie chciała. Nie było potrzeby dodawać jeszcze słowa „kocham” do jej przygnębiającej sytuacji.

Wmawiała w siebie, że znajduje się pod działaniem sił biologicznych. Że jest to prawo natury. Szczególnie w jej wieku, kiedy organizm to prawo uznaje. Wmawiała w siebie, że jej ciało spełnia funkcję, do jakiej jest przeznaczone ciało kobiety.

- Już dobrze! - zawołała. - Idę, idę. Spodziewała się zobaczyć Nelsona. Widok Matthew

był dla niej szokiem. Wstrzymała oddech. W wyrazie jego twarzy było coś tak złowrogiego i obcego, że wprost zamarło w niej serce.

- Co się stało, Matthew?

- Dlaczego myślisz, że się coś stało? - Oparł się ramieniem o framugę drzwi, taksując ją wzrokiem. Na widok ręcznika na jej głowie drgnęły mu lekko kąciki ust, jak gdyby przypomniał mu się moment, kiedy się zobaczyli po raz pierwszy. Było jednak w tym drgnieniu coś groźnego.

- W jakiej sprawie przyszedłeś? - Splotła ręce przed sobą z niezadowolaniem myśląc, że widzi ją w jej znoszonym różowym szlafroku. Dodatkowo peszył ją jego gniewny wzrok.

Pani Foster określiła Matthew jako choleryka i z pewnością miała rację, ale w jego postawie, kiedy tak stał przed nią, była ponadto wyraźna groźba.

- Czego chcesz, Matthew? - spytała jeszcze raz.

- Wiesz, czego chcę - odparł ochryplym głosem.

Zdumienie stłumiło jej dech w piersi. Wiedziała tylko, czego ona chce od niego. Wiedziała, że nie może przez niego spać po nocach, nie może sobie poradzić z narastającą tęsknotą. To

wiedziała. Badawczo spojrzała mu w twarz. Nie. Nie o tym chciał z nią mówić.

- Chcę, żebyś mi oddała biżuterię, Charity.

- Biżuterię? - Jego odpowiedź tak dalece odbiegała od myśli kołających się w jej głosie, że nie mogła zrozumieć, o czym on mówi. - Jaką biżuterię?

- Nie udawaj przede mną niewiniątka. Próbowalaś mnie przekonać, że przez roztargnienie babka położyła ją nie tam, gdzie powinna. Przekonywałaś mnie, żeby nie zawiadamiać policji.

- Myślisz o biżuterii twojej babki? - oszołomiona zapytała z niedowierzaniem.

- Nie, klejnoty Korony. Czy je także zdobyłaś?

- Matthew, ja nie mam...

- Przestań - warknął. - Dostałem anonimową karteczkę, w której ktoś mnie poinformował, że na wczorajszym dyżurze miałaś na palcu jeden z pierścionków.

- To śmieszne. - Kuliła się w sobie z przerażenia, widząc jego gniew i nienawiść. Doszła jednak do siebie. Ogarnęła ją wściekłość. Jak śmiał kwestionować jej uczciwość? Drżący palec wycelowała w jego pierś. - Czy widziałeś kiedyś, żebym nosiła jakąkolwiek biżuterię, Matthew? Zastanów się.

Coś rozładowało jego gniew. Może go zaskoczyła?

- Nie, rzeczywiście nie widziałem - przyznał tonem wciąż nieprzyjaznym, nieledwie wrogim.

- I czy naprawdę sądzisz, że gdybym wzięła tę biżuterię, byłabym na tyle głupia, żeby się w nią stroić do pracy?

Zmarszczyła brwi.

- I czy naprawdę myślisz, że gdybym ją miała, tę biżuterię wartości dwudziestu tysięcy dolarów, siedziałabym tu jeszcze? Nadal harowała jako kelnerka?

Gniew Matthew prysnął jak bańka mydlana, w oczach pojawiło się zwątpienie.

- Jak mogłeś? - zapytała z pogardą w głosie. - Jak mogłeś oskarżyć mnie o rzecz tak całkowicie... nieprawdopodobną?

- Posłuchaj, moja damo. Wszystko w tobie od początku się nie zgadzało. Nie wyglądasz na kogoś, kto fałszuje dokumenty dla zdobycia pracy, a jednak zrobiłaś to. W oczach masz samą niewinność, ale usta gorące jak płomień. Mówisz językiem naukowca z uniwersytetu w Toronto, a roznosisz drinki w kawiarni. - Nagle głos mu się załamał. - Nie rozumiem cię, Charity. W chwili jakiegoś zamroczenia ułożyło mi się to w ciąg zupełnie logiczny. Ukradła drogocenne klejnoty. To tłumaczy wszystko - fałszywe podanie, te sprzeczności i pozostałe sprawy, których nie rozumiem.

Potrząsnął głową, jak gdyby chciał zrobić porządek w myślach.

- Wybacz mi. Działalem pod wpływem impulsu. Dostałem tę karteczkę i w ogóle się nie zastanawiałem...

Przepraszał, mówił coraz ciszej ochryplym głosem. Próbowwała odwrócić się od niego, ale jego mocna dłoń chwyciła ją za brodę, zanim zdążyła to zrobić.

- Boże, Charity, nie płacz.

Nie mogła powstrzymać łez. Ciche, duże jak groch spływały po policzkach. Z wyrzutem patrzyła mu prosto w oczy; bardzo zranił jej serce tą zdradą.

- Zostaw mnie w spokoju. Chcę być sama. - Odrzuciła jego rękę. Ponownie próbowała się odwrócić, ale nie mogła. Tym razem położył ręce na jej ramionach i łagodnie, ale stanowczo przyciągnął do siebie.

- Przepraszam - powtórzył.

Łzy teraz płynęły pełną strugą, jak gdyby chciała wypłakać cały zamęt i cierpienie, jakie czuła w sercu.

- Jak mogłeś pomyśleć, że to ja? - wyszeptała łamiącym się głosem. - Jak mogłeś?

- Nie wiem. Nie zastanowiłem się nad tym, miałem pustkę w głowie - tłumaczył szeptem. - Zdaje mi się, że w głębi duszy ani przez chwilę w to nie wierzyłem.

Po prostu był to jakby pretekst, żebym przyszedł tu, na górę... z tym oskarżeniem.

Próbowała się wyrwać z jego ramion. Przestała płakać. Odezwała się w niej duma.

- Więc możesz teraz pobiec z tym oskarżeniem w dół.

Nie wypuszczał jej z ramion, mimo że udało się jej wcisnąć między nich pięści i mimo że z całej siły chciała się nimi odepchnąć od jego piersi.

- Charity, zawsze, ile razy w grę wchodzi twoja osoba, nie mogę myśleć jasno. Namiętność mnie zaślepia. Nawet wtedy, gdy tu pędziłem pod górę przekonany, że postępuję słusznie, jakaś cząstka we mnie pragnęła cię gorąco.

Poczuła na ustach muśnięcie jego warg, leciutkie jak dotknięcie skrzydła motyla.

- Pragnąłem tylko, żeby to było brutalne, żebyś to odczuła jako karę - szeptał. - Tak jak teraz. - I przywarł mocno do jej ust, ale nie był to pocałunek ani brutalny, ani karzący. Był samą delikatnością i... hołdem. Gorącym i wilgotnym językiem rozwarł jej usta.

Porwał ją ten pocałunek, obudził pragnienie.

- Wydaje mi się, że szukałem jakiegoś pretekstu, żeby tobą wstrząsnąć. - Mocno objął ją ramionami.

- Żeby cię dotknąć, dotknąć twego ciała. Wyobrażałem sobie, że cię porwę w ramiona i rzucę na łóżko...

Tymczasem jak najdelikatniej tulił ją w ramionach, wziął na ręce, położył na łóżku i sam układając się obok niej, czule przytulił do siebie.

- Myślałem, że zerwę z ciebie ubranie... - rozwiązał pasek jej szlafroka, który rozchylając się ukazał jedwabistą biel jej piersi - i będę całował tu... i tu... i tu - szeptał. - Widzisz, chciałem

przekonać sam siebie, że mi się to należy, że mogę cię wziąć z całą pasją, że mogę ci w ten sposób wymierzyć karę...

- Więc weź, co chciałeś - wyszeptła. Łzy spływały po jej twarzy. Tym razem były to łzy zupełnie inne, łzy zrozumienia i przebaczenia.

- Nie. Nie chcę brać, chcę dawać. I tylko jeśli pozwolisz, Charity?

- Tak - szepnęła, czując jego gorące usta błędzące po jej ciele. Drżała z rozkoszy i pragnienia. Próbowwała oddać mu jego pieszczoty, ale jej to uniemożliwiał. W pewnej chwili ona także mogła zrealizować swoje marzenia. Całowała gorąco to mocne ciało, do którego tak tęskniła.

Poddał się z lubością jej pieszczotom. W pewnym momencie ich łagodność przysła. Byli parą wygłodniałych kochanków. Była jakaś gorączka w ich pocałunkach, wzajemnym dotyku pożądających się ciał. Spełniło się ich pragnienie. Kochali się z uniesieniem. Ich całym światem były teraz skóra, pot, zapach i pożądanie. Ze zwierzęcą wprost gwałtownością dali się porwać burzy, na którą zbierało się przez całe lato.

Byli wycieńczeni tą gwałtownością. Charity, w delikatnych już pocałunkach, czuła miłość i szacunek. Całował ją, jak gdyby była kruchym kwiatem rzadkiej odmiany.

Matthew narzucił na nich koc, kołysał ją w ramionach, szeptał do ucha jakieś słowa, które do niej nie docierały, scałowywał z policzków łzy. Te nowe łzy pojawiły się, kiedy dostrzegła w jego oczach bezmierną czułość.

Uśmiechała się ciepłym, wszystko rozumiejącym uśmiechem. Powiedziała mu, że z tego zniknięcia biżuterii może się wyłonić coś dobrego, ale nie miała pojęcia, że to „coś” może być takie cudowne.

Usnęli. Charity obudziła się czując, że język Matthew delikatnie łaskocze ją w ucho.

- To okropne, że muszę nas sprowadzać na ziemię, ale czy przypadkiem nie pojawi się tu za chwilę Mandy?

Charity obróciła się tak, że mogła na niego spojrzeć... Wstrzymała oddech. Oparty na łokciu, ze zlepionymi potem kędziorami na czole, patrzył na nią z pożądaniem.

- Mandy zaplanowała na dziś jedną z najambitniej-szych wędrówek. Wróci dopiero za kilka godzin.

- Cudownie - zamruczał i pocałował ją w szyję. Drgnęła, jakby się broniąc. Mrużąc szelmowsko oko, pogroził jej palcem.

Przekonała się dostatecznie o jego wielkiej namiętności. Widziała w jego wzroku niekłamana czułość. Chciała jednak czegoś więcej. Pragnęła jego miłości. Pragnęła, żeby był gotów zaangażować się w jakiś sposób w jej życie. I nie umiałaby powiedzieć, kiedy to sobie uświadomiła.

Miłość. Przez całe lato unikała tego słowa, nie przywiązywała do niego specjalnej wagi. Słowa tylko opisywały rzeczywistość. Były symbolami. Wszystko się zmieniło, kiedy zobaczyła Matthew. Nic nie mogło tej miłości zapobiec. Próby ucieczki od niej skazane były na niepowodzenie.

Wbrew swej woli i wbrew rozsądkowi pokochała Matthew całym sercem.

I jeśli to słowo, takie jedno małe słowo miało nic nie znaczyć, dlaczego bolało tak, że bała się je wypowiedzieć?

- Weźmy razem prysznic - figlarnie szepnął jej prosto do ucha.

Chciała powiedzieć „nie”. Ale chciał tego rozum, nie ciało.

Może to ostatnie spotkanie? Pozwoli sobie na kilka godzin z Matthew, a potem... już podporządkuje się rygorom. Potem spróbuje odnaleźć własną godność i w przyszłości nie pozwoli sobie na takie zachowanie.

Poszli do łazienki, Matthew wyregulował krany i przyciągnął ją pod strumień ciepłej wody.

Miał piękną skórę, lśniąca i gładką. Z pewnym wahaniem Charity wzięła mydło i zaczęła go namydlać. Cieszyła się jak dziecko jego reakcją.

Z kolei on odebrał jej mydło i powoli, systematycznie mydlił całe jej ciało, flanelową myjką zmywając nadmiar piany. Nie mogła opanować drżenia, ale drżała nie dlatego, że było jej zimno.

Odłożył mydło i objął ją ramionami. Śliska skóra była niezwykle wrażliwa. Pod strumieniem wody zwarli się w pocałunku. Czuli się jak pod prawdziwym wodospadem. Matthew sięgnął ręką za siebie i zakręcił kran. Stali nadal w obłokach pary złączeni pocałunkiem.

W pewnej chwili Matthew ostrożnie usiadł na brzegu wanny, delikatnie przyciągając do siebie Charity. W niej także narastało pożądanie.

Kochali się, tym razem z radosną świadomością jednoczesnych doznań. Świadomością uświęconego związku dwóch serc.

- Nigdy nie przypuszczałam... - zaczęła patrzeć mu w oczy zamglonym wzrokiem. Nie dokończyła, zamknął jej usta pocałunkiem.

- Masz gęsią skórę - powiedział łagodnie. - Podam ci ręcznik.

- Jest w szafce za tobą.

Otworzył małą szafkę i wyciągnąwszy ręcznik kąpielowy dla niej, sięgnął po drugi dla siebie. W tym momencie coś mocno stuknęło o podłogę.

Charity patrzyła osłupiała na otwartą, leżącą dnem do góry, szkatułkę i na naszyjnik, który wysunąwszy się z niej mrugał do niej dziesiątkami brylantów, podobnych do łez nanizanych na srebrną nić.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Śmiech zamarł na ustach Charity. Kiedy układała plany na swoje wspaniałe lato, w najśmielszej wyobraźni nie przewidywała takiego scenariusza. Oto teraz stoi naga w łazience z równie nagim mężczyzną i biżuterią wartości dwudziestu tysięcy dolarów, rozsypaną na podłodze.

Skradzioną biżuterią.

Matthew podniósł na nią oczy, ich wyraz był nieprzenikniony. Owinąwszy się ręcznikiem wokół bioder, pochylił się i zbierał porzucane drogie cacka, tak jak się zbiera śmiecie. Włożył je z powrotem do szkatułki i ze złością zatrzaskał wieczko.

Charity, owinąwszy się ręcznikiem, z mieszanymi uczuciami zastanawiała się, czy to nie jest jeszcze jeden z pomysłów Mandy. Ile razy były jakieś kłopoty, nieuchronnie w tle była Mandy.

- Charity, czy to ty? - zapytał z wielkim bólem w głosie.

- Jak możesz pytać? - szepnęła z oczyma zachodzącymi łzami.

- Szczególnie po tym...

- Na nieszczęście „to” nie rozjaśniło mi w głowie. Przeciwnie, panuje w niej jeszcze większy chaos, ciągle chodzi o ciebie. Proszę, odpowiedz jednoznacznie. Czy to ty zrobiłaś?

- Nie - powiedziała spokojnie, z prostotą, wytrzymując jego spojrzenie.

Długo się w nią wpatrywał, następnie położył rękę na jej mokrych włosach. Skłonił głowę kurtuazyjnym gestem i odwrócił się na pięcie, zostawiając ją w łazience samą.

Po chwili usłyszała trzask zamykanych drzwi. Wiedziała, że odszedł. Nagle zaczęło ją mdlić, podbiegła do zlewu wstrząsana torsjami.

Drżąc z wyczerpania usiadła na brzegu łóżka. Nie wiedziała, czy Matthew jej uwierzył, ale jedno wiedziała na pewno. Ze musi wyjechać. Nie miała już wątpliwości - była w ciąży.

Kiedy wróciła Mandy, Charity właśnie zamykała walizkę. Pokój był огоłocony z jej rzeczy. Na widok Mandy wybuchnęła płaczem.

Kuzynka zmusiła ją, by usiadła obok niej na tapczanie. Macierzyńskim gestem objęła plecy Charity i wysłuchiwała całej historii, w której Charity zataiła tylko to, że jest w ciąży.

- Klejnoty pani Foster w naszej łazience? Och! Czy to nie podniecające? Zupełnie jak w powieści kryminalnej.

- M... Mandy, czy to tyje tam położyłaś?

- Ja? Myślisz, że jestem złodziejką? Obrażasz mnie, to boli, Charity. - Ból Mandy trwał nie dłużej niż trzydzieści sekund. - Teraz sama rozumiesz, co to znaczy kogoś kochać i jednocześnie mieć jakieś wątpliwości. Na przykład wiem, że znasz mnie lepiej niż ktokolwiek na świecie i prawdopodobnie kochasz mnie bardziej aniżeli ktokolwiek, mimo to nie poznałaś mnie do końca.

- Tak, Mandy, wiem o czym mówisz - przyznała z lekkim ociąganiem Charity. - Wiem, że nie mogłabyś ukraść tej biżuterii, ale wiem także, jaka jesteś impulsywna, chcąc robić coś w dobrej wierze.

- I z powodu tego podania Matthew sądzi, że jesteś taka jak ja. To znaczy, że potrafisz naciągać nieco fakty dla osiągnięcia swego celu. Gdyby tylko mógł wiedzieć, jaka jesteś dziecinnie uczciwa, Charity. Wstyd mi za siebie.

- Co innego jest myśleć, że potrafiłabym naciągać fakty dla swoich celów, a co innego uważać, że stać mnie na popełnienie przestępstwa.

- Przestań. Otrząśnij się z tych myśli. Przecież nie powiedział, że ci nie wierzy, prawda?

- Ale także nie powiedział, że mi wierzy. Przyszedł tu przekonany, że mam te klejnoty i rzeczywiście szkatułka wypadła z szafki w łazience. Co na to powiesz?

- Sądzę, że żaden złodziej przy zdrowych zmysłach nie przyprowadziłby tego, kogo okradł, do miejsca, w którym ukrył łup. I to bez względu na swój stan ducha.

- Mogło mu to nie przyjść na myśl.

- Dlaczego? Jest wybitnie inteligentny. Dlatego tak do siebie pasujecie.

- Nie pomyśli tak, bo... nie ma o mnie jasnego sądu. Mandy parsknęła śmiechem.

- Czy wiesz, co wygadujesz, dziewczyno? Kiedy, według ciebie, mężczyzna ma zamęt w głowie?

- Kiedy za dużo wypił albo kiedy został uderzony w głowę.

- Przestań myśleć w kategoriach lekarza na dyżurze. A jeżeli Matthew ani nie wypił za dużo, ani nie został uderzony w głowę, to co?

- Jakie to ma znaczenie? I tak już po wszystkim. Muszę stąd wyjechać, póki mi został choćby ślad godności własnej i zdolności do prawidłowego myślenia.

- Nie możesz wyjechać! Jeżeli wyjedziesz, to tym samym przyznasz się do winy. Jestem tego pewna.

- Jeżeli on nie wierzy w brak mojej winy, to nie ma dla nas żadnej przyszłości. A jeśli jej nie ma, to... ja po prostu nie mogę tu zostać.

- Jak się dowiesz, co on o tobie myśli, jeżeli wyjedziesz? Charity, uwierz mi, dam ci na to słowo. To jest moment krytyczny w waszych stosunkach. Nie od niego chcesz uciec. Uciekasz przed sobą. Los ci ofiarował zaproszenie do przeżycia wielkiej miłości, a ty jesteś tym śmiertelnie przerażona. Ale nie uciekaj, Charity. Nie uciekaj przed miłością.

- Mandy, prawdę mówiąc, nie widziałam, żebyś ty składała siebie na ołtarzu miłości.

W wyrazie twarzy Mandy nastąpiła dziwna zmiana. Charity nigdy dotąd jej takiej nie widziała. Bezgraniczny smutek mroczną chmurą zasnuł jej drobne rysy.

- Ja także otrzymałam pewnego razu takie zaproszenie - wyznała Mandy. - W tym samym miejscu, tutaj, poprzedniego lata. Nazywał się Gus, był o dziesięć lat starszy ode mnie. Pielęgnował żywoploty i w ogóle był w hotelu złotą rączką. Rozśmieszał mnie, jak nikt na świecie. Z nikim nie mogłam tak rozmawiać. Czułam się przy nim bezpieczna i szczęśliwa. Był skromny i mądry. Poprosił mnie o rękę i wiesz, serce mówiło mi tak: to jest ktoś dla ciebie. Ale po głowie tłukły się różne myśli, chciałam czegoś więcej. Księcia z bajki. Kogoś młodszego, przystojniejszego i z lepszą pozycją społeczną. Myślałam, że lepiej może poczekać, rozejrzeć się trochę po świecie, że jeśli zmienię zdanie, Gus będzie na mnie czekał.

Mandy zaczęła płakać.

- Nie czekał. Zginął w wypadku samochodowym, ostatniej zimy. Bywa tak, Charity, że dostajemy tylko jedno zaproszenie do tego tańca. Skorzystaj z niego.

- Mandy, dlaczego mi nigdy o tym nie mówiłaś?

- Bardzo głęboko, boleśnie to odczułam. Nie mogłam o tym mówić - odpowiedziała, ocierając łzy. - Nie przeocz swojej okazji do tańca, Charity.

- Ze mną jest inaczej. Nie dostałam od Matthew żadnego zaproszenia.

- To samo życie zaprasza cię do działania. Nie widzisz tego? Jesteś ślepa?

- Chyba tak.

- To ona - powiedziała nagle Mandy już uspokojona. - To ona! - powtórzyła niemal piszcząc z uciechy.

- Co ty mówisz? - Taka właśnie była Mandy, w mgnieniu oka przechodziła od cierpienia do radości.

- Kto mieszka z panią Foster? Na miłość boską, kto ma dostęp do jej bizuterii?

Przez chwilę Charity nie mogła się zorientować, o co chodzi. Zmiana tematu była zbyt szybka. Nagle zrozumiała. Jęknęła cicho.

- Kto ma do ciebie urazę wielkości Mount Everestu?

- Sandra.

- Oczywiście. Doprawdy, śmiechu warte. Ty i Matthew, dwoje inteligentnych ludzi, nie potraficie dostrzec czubka własnego nosa. A taka idiotka, jak ja, pojawia się...

- Nie jesteś idiotką. - ... i rozwiązuje zagadkę. Ty i Matthew tak tracicie przy sobie głowę, że prawdopodobnie nie potrafilibyście obliczyć, ile jest dwa razy dwa.

- To ja tracę głowę - powiedziała Charity przygnębiona. - Nie mogę teraz z nim rozmawiać i nie mogę być w pobliżu niego, żeby czekać, aż się dowiem, co się stało z tą biżuterią. Mandy, nie mogę zostać ze świadomością, że on nie odwzajemnia mojego uczucia. Muszę wyjechać.

- Nie wyjeżdżaj, daj mu szansę.

- Już dałam i nic z tego nie wynikło.

- Dzisiejsze popołudnie to dla ciebie nic?

- Nic. To popołudnie go zdemaskowało. Mężczyzna, którego jak głupia pokochałam, nie ma do mnie zaufania.

- Zbyt pochopnie wyciągasz wnioski. A jeżeli teraz wyjedziesz, pomyśli, że to naprawdę ty zrobiłaś.

- Nie obchodzi mnie to. Jeśli chce, niech mi sprowadzi na kark nawet całą Królewską Konną Policję. Jestem pewna, że szybko się przekonają, że nie jestem kryminalistką.

- Ale jeżeli w jakikolwiek sposób dostanie się to do opinii publicznej, będzie to nie najlepszy początek twojej kariery zawodowej.

- Nie obchodzi mnie to - powtórzyła z uporem, jednak wypowiadając te słowa wiedziała w głębi duszy, że nie jest to stuprocentowa prawda.

- Charity, nie możesz opuszczać ośrodka w takiej krytycznej chwili - upomniała ją Mandy stanowczym tonem. - Uciekanie od odpowiedzialności nie jest w twoim stylu. Została ci niecała godzina do stawienia się na dyżur. Co z tym zrobisz?

- Nelson mnie zastąpi. I tak jest w tym lepszy ode mnie.

- Charity, nigdy nie widziałam cię takiej rozczulającej się nad sobą. Nelson cię nie wyręczy, bo go po prostu nie ma. Zabrał Billie do kina.

- Wobec tego ty mnie zastąpisz.

- Nie zastąpię.

- Wszystko mi jedno, kogoś przecież wyznaczą.

- Charity, pójdziesz na swój dyżur. Zostań przynajmniej do czasu, kiedy znajdą kogoś na twoje miejsce. Wyobrażasz sobie, jak fatalnie odbije się to na mnie, jeżeli wyjedziesz bez wypowiedzenia pracy? Możesz zresztą unikać Matthew. Zdażyłam zauważyć, że jesteś w tym niezła. Może cała sprawa pójdzie w zapomnienie.

Charity ciężko westchnęła. Problem, o którym Mandy nie wiedziała, nie może pójść w zapomnienie. Ale kilka dni? Cóż to znaczy? Istotnie nie chciała, żeby jej wyjazd wyglądał na ucieczkę.

- Zostaję - oświadczyła ze spokojem. - Do końca tego tygodnia. To wszystko, na co się mogę zdecydować.

- To zupełnie wystarczy - powiedziała uszczęśliwiona Mandy.

- Pod jednym warunkiem.

- Co masz na myśli?

- Żebyś pod żadnym pozorem nie wtrącała się w tę sprawę. Przede wszystkim, żebyś się nie poczuwała do mojej obrony czy też wskazywała palcem na Sandrę.

- Ależ, dlaczego nie? - żalonym tonem spytała Mandy.

- Ponieważ chodzi mi o to, żeby Matthew sam do tego doszedł. Tylko to ma dla mnie znaczenie. Rozumiesz?

- Tak - przyznała Mandy ponuro. - Niestety, rozumiem.

Minęła dopiero połowa dyżuru, a już Charity pożałowała, że się na niego zgodziła. Nie mogła wprost znieść zapachu dymu z papierosów, miała wrażenie, że ściska ją w żołądku. Mdlilo ją także od zapachu drinków, w ogóle stała się znacznie bardziej uczulona na zapachy niż zwykle. Poza tym chwiała się na nogach i czuła, że nie dotrzyma słowa danego Mandy.

W pewnej chwili ktoś gwałtownie otworzył drzwi do baru. Stała w nich Sandra. Z przerażeniem w oczach rozglądała się po sali. Była biała jak ściana.

- Czy ktoś z państwa jest lekarzem?! - zawołała. - Natychmiast potrzebny jest lekarz!

Charity postawiła tacę na najbliższym stoliku. Nie zwracając uwagi na zdumione spojrzenia, podbiegła do przestraszonej Sandry i uchwyciła ją za ramiona. Czuła, jak dziewczyna drży na całym ciele.

- Lekarza - powtórzyła gorączkowo. - Potrzebny...

- Gdzie? - przerwała jej Charity.

- W jadalni. Matthew zjadł...

Charity wiedziała, wiedziała od pierwszego momentu ukazania się Sandry w drzwiach. Jedyne ratunkiem były analeptyki pobudzające ośrodkowy układ nerwowy. Najmniejsza zwłoka mogła się okazać katastrofalna.

Pobiegła do jadalni. Niemal potrąciła Nelsona, który obejmując Billie za ramiona szedł do baru.

- Nelson, pod moim łóżkiem leży podręczna torba lekarska. Przywieź ją. Natychmiast.

Otworzył usta.

- Torba lekarska?

- Jedź natychmiast! - krzyknęła z naciskiem. Dokoła zebrał się już tłumek ciekawskich. Przedzierała się przez niego niecierpliwie.

- Proszę mnie przepuścić. Jestem lekarzem.

Matthew leżał bezwładnie na podłodze, twarz miał bladą, oddech ciężki i chrapliwy. Pani Foster zapłakana stała przy nim, trzymając go za rękę.

- Jak długo jest w tym stanie? - zapytała Charity przykucnąwszy przy Matthew. Wiedziała, że im szybciej występowały objawy, tym większy był szok układu nerwowego. Wiedziała, że grozi mu śmierć, może nawet w ciągu pięciu minut.

Szczerliwie skleroza pani Foster okazała się łaskawa. Odpowiedziała z całą przytomnością umysłu:

- Minęły dwie albo trzy minuty, od kiedy zasnął, a w tym stanie jest około trzydziestu sekund. Charity, kochanie, potrzebny jest lekarz - szepnęła. - On cierpi na straszliwą alergię. Jeżeli nie będzie miał pomocy lekarskiej, umrze.

Charity skończyła badanie pulsu Matthew. Był prawie niewyczuwalny. Było jasne, że jest to szok ośrodkowego układu nerwowego i oddechowego.

Sandra przyłączyła się w chwili, kiedy pani Foster opisywała sytuację.

- Umrze?! - krzyknęła histerycznie.

- Sandra, idź do jego pokoju. Matthew powinien mieć neseser z lekami antyalergicznymi. Poszukaj go.

- Ale ja nie wiem, jak on wygląda.

- Idź w tej chwili - rzuciła Charity, chcąc się pozbyć obecności histeryczki. Wiedziała, że jej torba już jest w drodze.

- Czy ktoś z państwa ma może benadryl?

Podano jej opakowanie. Nie spodziewała się wiele po antihistaminie, ale jednak mogła w pewnym stopniu wpłynąć na spowolnienie reakcji szokowej do czasu, kiedy będzie miała jedną z dwóch toreb z lekami. Gdyby tylko udało jej się powstrzymać obrzęk oskrzeli. Podłożyła mu kapsułkę pod język.

Przez ułamek sekundy wstrząsnęła się na myśl, że były to usta, które zaledwie kilka godzin temu całowały ją, dając jej niezapomniane przeżycia. „Czasem otrzymujemy zaproszenie do tylko jednego, tego właśnie tańca. Nie odtrącaj go, Charity”.

Surowo zgromiła się za te myśli. Wiedziała, że jako lekarz nie może pozwolić sobie na rozluźnienie koncentracji przez takie wspomnienia. Z najwyższym wysiłkiem, na jaki się kiedykolwiek zdobyła, postanowiła myśleć o nim wyłącznie jako o pacjencie.

Nagle Matthew przestał oddychać. W tej samej chwili Charity zdała sobie sprawę, jak szczerą i ogromną darzy go miłością.

Błyskawicznie rozpięła jego koszulę i obnażywszy klatkę piersiową, przystąpiła do sztucznego oddychania, by pobudzić akcję serca i płuc. Piętnaście ucisków mostka, dwa razy wtłoczenie powietrza w obrętkę oskrzela metodą usta-usta.

- Migdały w cieście - mamrotała pod nosem pani Foster. - Zawsze jest taki uważny. Nawet zapytał kelnerkę, ale powiedziała, że nie ma w cieście migdałów. Dotąd zawsze potrafił poznać po zapachu, ale dziś był taki jakiś roztargniony. Ta okropna sprawa z biżuterią...

Słowa wprowadzie docierały do Charity, ale w formie oderwanych dźwięków. Całą uwagę skupiła na słuchaniu rytmu serca i pracy płuc. Z wysiłku sphywała potem. Gdzie był Nelson?

Wpadł do jadalni i cudowna czarna torba znalazła się w jej rękach.

Prawie jednocześnie pojawiła się Sandra lamentując, że nie może znaleźć nesaseru Matthew.

- Proszę zabrać stąd Sandrę - zarządziła Charity, nie mogąc znieść jej histerycznego piskliwego głosu, który dosłownie przewiercał czaszkę i grał na i tak skołatanych nerwach. - Czy ktoś z państwa umie wykonywać sztuczne oddychanie?

- Ja przeszedłem kurs - odezwał się Nelson - ale...

- Zmień mnie - rzuciła szybko rozkazującym tonem. Jakaś dobra dusza wyprowadziła Sandrę z pokoju, pocieszając ją i pilnując, żeby znowu nie wróciła. Dzięki Bogu, Nelson dobrze robił to, czego się nauczył na kursie.

Charity błyskawicznie otworzyła torbę i wyjęła z niej adrenalinę. W tym stanie zapaści idealny byłby zastrzyk dożylny, ale nie można się było doszukać „zapadniętych” naczyń. Zdecydowała się na zastrzyk domięśniowy. Dla szybszego rozprowadzenia leku energicznie masowała okolice miejsca, gdzie się wkłuła strzykawką.

Nelson w dalszym ciągu starannie i w skupieniu zajęty był sztucznym oddychaniem. Z lekarskiego punktu widzenia nie

można było nic więcej zrobić. Charity zaczęła się modlić w duchu, co było zabiegiem ostatecznym, choć zupełnie nie związanym z zawodem.

W ciągu zaledwie kilku sekund Matthew uniósł powieki. Charity spojrzała głęboko w granatowe oczy, które tak pokochała. Dokoła niej rozległ się gwar, po napięciu nerwowym wszyscy z ulgą komentowali wydarzenie. Charity zorientowała się, że przez ogólną wrzawę przebija się głos syreny alarmowej. Ktoś wezwał karetkę pogotowia, która zapewne podjeżdżała pod hotel.

- Charity - niewyraźnie wyszeptał Matthew. - Kim...?

- Jeszcze nic nie mów - odparła szybko. - Miałeś szok anafilaktyczny.

- Wiem... to ciasto. Ale ty, kim ty jesteś?

Ciągle jeszcze zamglonymi oczyma spojrzał na strzykawkę w jej rękę, następnie na stojącą obok torbę. Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Mówiłem, że się wreszcie dowiem - powiedział cicho. - Pamiętasz?

- Czy pamiętam? Matthew, w tej chwili ważniejsze jest co innego.

Zamknął oczy, ale uśmiech nie schodził mu z twarzy.

- Doktor Marlowe. Doktor Charity Marlowe. To brzmi doskonale.

Przez zgromadzone w jadalni osoby przepychało się dwóch krzepkich pielęgniarzy. Charity poleciła im natychmiast założyć Matthew maskę aparatu tlenowego. Dopiero wtedy im się przedstawiła informując, co się stało i co zastosowała do tej pory, a co należy zrobić w szpitalu. Matthew powinien pozostać w szpitalu przynajmniej przez jedną noc, żeby w razie potrzeby mógł otrzymać adrenalinę bądź epinefrynę. Poza tym, przed wyjściem ze szpitala powinien się poddać badaniom lekarskim.

Sandra, która wróciła do jadalni, niepostrzeżenie znalazła się przy Matthew. Płacząc, trzymała go za rękę.

- Już dobrze, kochanie - mruzczał niewyraźnie. Charity powlokła się za innymi do ambulansu.

Widziała, jak Sandra wślizgnęła się za noszami do środka. Wszyscy gratulowali Charity, poklepywali po plecach, byli zachwyceni i zaskoczeni niespodzianką, jaką było jej ujawnienie się jako lekarza. Ludzie zawsze otwierają się, zbliżają do siebie, ile razy zażegnane jest jakieś niebezpieczeństwo albo uratowane czyjeś życie.

Ale Charity czuła się nieswojo i obco w tym gwarnym gronie, i jak najszybciej pragnęła już odejść.

Zdaje się, że Nelson zorientował się, jak jest zmęczona, gdyż objął ją ramieniem i odprowadził do bungalowu. Dobrze, że był przy niej, kiedy i ona przeżywała własny psychiczny wstrząs. Mocno wsparta na jego ramieniu cicho płakała. Była blisko utraty mężczyzny, którego pokochała całym sercem. Kiedy podniósł na chwilę powieki i spojrzeli sobie w oczy, zrozumiała, że kocha z wzajemnością.

Dlaczego jednak powiedział do Sandry „kochanie”? Może oszukiwała tylko samą siebie i nie chciała widzieć we właściwym świetle, jakie stosunki łączą Matthew z Sandrą?

- Kapitalne! - powtórzył Nelson po raz nie wiadomo który. - Doktor. Czekaj, powiem wszystkim swoim kumplom, że miałem tego lata randkę z lekarką.

Godziny płynęły jedna za drugą, a Charity ciągle nie spała krążąc cicho po pokoju, żeby nie zbudzić Mandy. To, co przeżyła, było dla niej jak gdyby zastrzykiem psychicznej adrenaliny, o śnie nie było mowy.

W środku nocy usłyszała pukanie do drzwi. Stała w nich Sandra. Charity wyszła przed bungalow.

- Czy Matthew dobrze się czuje? - zapytała z niepokojem w głosie.

- Tak. Zupełnie dobrze. Zdaje się, że powinnam ci podziękować. - Z wyraźną niechęcią cedziła słowo po słowie.

- Nie widzę powodu. Zrobiłam, co do mnie należało. To mój zawód.

- Ale to jeszcze nie cała prawda, nie sądzisz?

- Nie wiem, co masz na myśli.

- Kochasz go. Miałaś to wypisane na twarzy. Szczególnie wtedy, kiedy odwrócił się do mnie i powiedział „kochanie”.

Charity czuła, że krew odpływa jej z twarzy. Milczała.

- Zdaje się, że wyjaśniłyśmy sobie, jak różną rolę odgrywamy w życiu Matthew. To zdarzenie okazało się potrzebne, żeby zdał sobie sprawę, jak bardzo mnie kocha - powiedziała Sandra.

Charity czuła się śmiertelnie zmęczona nadmiarem przeżyć. Nie była pewna, czy to, co słyszy, jest prawdą czy kłamstwem, czy mieszanką jednego i drugiego.

- Myślałaś może, że straciłam głowę i byłam całkiem bezradna?

- Nie. Nie patrzę na to w ten sposób - powiedziała Charity. - Dla większości ludzi wypadek jest czymś niespodziewanym, zaskakującym i nikt nie oczekuje, żeby się zachowywali heroicznie. To bardzo ludzkie i zgodne z naturą człowieka.

- Moja reakcja pozwoliła Matthew zrozumieć, jak bardzo go kocham.

- Naprawdę? - zapytała Charity mimowolnie oschłym tonem.

- Kobieta twego pokroju nigdy tego nie zrozumie.

- Czego nie zrozumie?

- Tego, czego mężczyzna oczekuje od kobiety. Mężczyźni lubią kobiety słabe i bezradne. Lubią czuć się stroną silniejszą i opiekuńczą. Koniecznie jest im to potrzebne do dobrego samopoczucia.

- Sądzę, że kobiety mojego pokroju mają coś więcej do zrobienia aniżeli poświęcać życie dla przypodobania się mężczyznom.

- Na przykład twój imponujący heroizm był godny podziwu, ale jestem pewna, że Matthew mógł się poczuć upokorzony. Że zdrażnięta została jego męska ambicja.

- Zdraśnięta męska ambicja? - powtórzyła zdumiona Charity.
- On nawet nie nosi zaleconej mu przez lekarza antyalergicznego bransoletki. To ci chyba coś mówi o jego stosunku do własnych dolegliwości. O tym, jak one ranią jego męską ambicję.
- Nie jestem tego taka pewna.
- Ależ, na litość boską, to jasne. On przecież nie chce, żeby ktoś o tym wiedział. I z całą pewnością nie chce zawdzięczać życia pięknej kobiecie. Jest całkiem przeciwnie.
- Może powinnam mu posłać list z przeprosinami. Sandra nie uchwyciła żartobliwej nuty w głosie Charity.
- Nie zawracałabym sobie tym głowy. Kiedy wychodziłam ze szpitala, był usposobiony do ciebie bardzo niechętnie.
- Przecież ocalałam mu życie!
- Zrozum, z pewnością nie pomyślałaś o tym, jak on się może czuć po podstępie, jakim się posłużyłaś.
- Podstępnie? - Charity ledwo dobytego głosu.
- Uważa, że wystawiłaś go na śmieszność, zrobiłaś z niego głupca. Lekarka pracująca u niego jako kelnerka. Pomyśl istotnie wyrafinowany.
- A co powiedzieć o tobie, która ośmielasz się mnie przypisywać wyrafinowanie? - powiedziała Charity tracąc już cierpliwość.
- Nie rozumiem, co masz na myśli? - zapytała Sandra z niewinną miną, szeroko otwierając oczy.
- Mówię o tym, że to nie ja ukradłam biżuterię pani Foster.
- Ach, to. Nie możesz jednak udowodnić, że ja ją ukradłam - odpowiedziała Sandra z całym spokojem, jak gdyby nie poczuwała się do wyrządzonej krzywdy.
- Sandro, czy nie rozumiesz tego, że nie można budować zdrowego mocnego związku dwojga ludzi, kierując się w swoim postępowaniu zazdrością? Potrzebna ci jest...
- Posłuchaj, pani doktor. Nie jestem twoją pacjentką i nie mam zamiaru wysłuchiwać, co mi jest potrzebne. Potrzebny mi

jest Matthew. I zdobyłam go. Nie ty go zdobyłaś. Czy masz zamiar zachowywać się teraz patetycznie? Jak postać z melodramatu?

Charity zrozumiała, że nie ma sensu rozmawiać z Sandrą. Żadnego sensu. Zadziwiło ją, że Sandra własne melodramatyczne zachowanie w stosunku do Matthew przerzucała na kogoś innego.

Rzeczy i sprawy nie zawsze są takimi, jakimi się wydają. Weszła z powrotem do bungalowu i starannie zamknęła za sobą drzwi.

Teraz już każdy wiedział, że jest lekarzem i prawdopodobnie, zgodnie z ostrzeżeniami Mandy, nikt nie będzie chciał, żeby mu piwo podawała pani doktor.

Poza tym była ogromnie zmęczona. Nie chciała także, żeby Matthew okazywał jej więcej względów teraz, kiedy wiedział, jaki sobie wybrała rzetelny zawód. Bardzo natomiast chciała, żeby myślał o niej jak najlepiej, ale w oparciu o własny osąd.

Sandra powiedziała, że był z jej powodu zdenerwowany. Nie obchodziło jej, czy to prawda. Wiedziała już na pewno, że musi wyjechać. Nie miała wyboru. Kochała go bez pamięci. Może nawet właśnie patetycznie.

Czyżby do tego stopnia, że dla zdobycia go byłaby zdolna posłużyć się dzieckiem, które nosiła?

Z czułością położyła rękę w miejscu, gdzie z każdym dniem rosło jej dzieciątko. Może podarunkiem jej wymarzonego lata będzie prawdziwy cud - dziecko Matthew. Wśliznęła się do sypialni i wyciągnęła spod łóżka walizkę, którą poprzednio spakowała.

Po raz ostatni schodziła w dół chodnikiem ciągnącym się wzdłuż domków dla personelu. Przystanąła, przez dłuższą chwilę spoglądając w dół na uśpiony hotel i widoczne za nim kapryśne jezioro. Gwiazdy zdawały się mrugać do niej porozumiewawczo, jak gdyby próbowały jej powiedzieć:

„Czasem nas ktoś zaprasza do tego jednego jedyne go tańca. Charity, przyjmij to zaproszenie...”. Coś dławiło ją w gardle.

Cóż ona mogła? Mogła mu tylko powiedzieć: Matthew, kocham cię i zrób z moim wyznaniem, co uważasz za stosowne.

Co jednak będzie, jeżeli jej nic nie odpowie? Albo powie, że jednak ma zamiar ożenić się z Sandrą? Albo, tak jak bywało w przypadku innych mężczyzn, którzy pojawiali się w jej życiu, zrazi go jej pozycja zawodowa?

Musiała stąd odjechać. Musiała wszystko przemyśleć. Musiała oderwać się od magii tego miejsca, od ciągłych kontaktów z Matthew. Dopiero z dystansu będzie mogła wszystko spokojnie przemyśleć.

Zapukała do Nelsona. Wyszedł do niej bez koszuli, w starych spodniach od dresu.

- O co chodzi, pani doktor? - zapytał figlarnie i parsknął śmiechem zadowolony z własnego dowcipu.

- Nelson, pomóż mi stąd wyjechać. Zawieź mnie do miasta.

W pierwszej chwili chciał zaprotestować, ale spojrzał na jej twarz i po raz pierwszy, odkąd go Charity знаła, wydał się jej dojrzałym mężczyzną.

W jego oczach malowało się współczucie.

- Jedziemy - powiedział spokojnie. - Nie pytam o nic.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Matthew Blake był pełen wigoru. Wydawało mu się, że życie w nim wprost kipi, że czuje jego pulsowanie w koniuszkach palców. Rozsadzała go niezwykła energia. Chciało mu się śpiewać na cały głos.

Czy każdy, kto otarł się o śmierć reaguje w ten sposób?

Uśmiechnął się. Wiedział, że jego stan niewiele ma wspólnego z niebezpieczeństwem, o które się otarł. Zawdzięczał go chwili, kiedy uniósł powieki i spojrzał prosto w oczy Charity. Zrozumiał to, co w nich zobaczył.

Charity Marlowe kochała go.

Doktor Charity Marlowe.

Otworzył drzwi separatki, w której go umieszczono, i trzymając ręką z tyłu opadające to coś, w co go ubrano, zawołał:

- Siostro!

Biegła szybko. Zareagowała dopiero na jego gromkie wołanie. Próba wezwania pielęgniarki przy pomocy alarmującego światełka nad drzwiami nie zdała egzaminu.

- Panie Blake, proszę w tej chwili wrócić do łóżka.

Młoda pielęgniarka mogła mieć najwyżej dwadzieścia lat. Gdzie się nauczyła zwracać takim autorytatywnym tonem do dorosłych mężczyzn?

Popatrzył na nią groźnie z góry.

- Pan Blake wychodzi ze szpitala. Gdzie jest moje ubranie?

- Lekarz właśnie robi obchód. Jeżeli zdobyłby się pan na cierpliwość...

- Cierpliwość - przerwał opryskliwie - nie jest moją mocną stroną, nie jestem cierpliwym pacjentem. Gdzie jest moje ubranie?

- Nie może pan wyjść ze szpitala!

Zaczęło go bawić to małe stworzenie, które energicznie oparło ręce na biodrach i ośmielało się mówić mu, co ma robić.

Zdecydował, że nie da po sobie poznać, jak go ubawiła. Spojrzał na nią z poważną miną.

- Jestem umówiony z lekarzem, który się mną opiekuje i nie chciałbym się spóźnić. Proszę mi wydać moje ubranie. Jak najprędzej.

Z trzaskiem zamknął jej drzwi przed nosem. Za chwilę przyniosła mu ubranie, demonstrując swoje oburzenie wyniosłym sapaniem.

Tuż za nią w drzwiach ukazał się młody lekarz.

- Słyszę, że pan nas opuszcza? - zagadnął z niefrasobliwym uśmiechem. - Pozwoli pan, że pana obejrzę, zanim pan wyjdzie ze szpitala. Jak się pan czuje?

- Nigdy nie czułem się lepiej - odparł Matthew patrząc na niego z namysłem. - Niech mi pan powie, jak to jest, kiedy się studiuje medycynę?

Lekarz spojrzał zdziwiony.

- Wielka harówka. Myśli pan o zmianie zawodu?

- Nie. Zastanawiałem się, czy ktoś po kilku latach takich studiów może zdecydować się na pracę zupełnie nie związaną z zawodem... na przykład na przeciąg jednego lata. W uzdrowisku, czy czymś w tym rodzaju.

- Oczywiście, ja sam bym ją chętnie podjął, jeśli miałbym okazję. Spieszy się panu do domu po zamknięciu pana w szpitalu. Jest pan zdrow jak koń, panie Blake. Jednak w razie czego proszę się natychmiast zgłosić. No, i niech pan uważa na migdały, he?

Zniknął w drzwiach, oddalając się szybkim krokiem.

Matthew wezwał taksówkę. Mógł do kogoś zadzwonić, żeby po niego przyjechał, ale nie chciał tracić czasu. Chciał zobaczyć natychmiast Charity. Nawet dziesięć minut temu. Dlaczego nie przyszła do szpitala?

Ponieważ była Sandra. Pamięta, że kiedy drugi raz otworzył oczy i zobaczył Sandrę, która trzymała go za rękę, był zaszokowany. Myślał, że była przy nim Charity.

Sandra, uświadomił sobie znużony, kiedy jechali krętą drogą po wschodniej stronie jeziora. Sandra.

Kiedy ją poznał, był po prostu porażony jej niezwykłą pięknnością, wesołym usposobieniem i urokiem osobistym. Mieli gwałtowny romans, a po kilku miesiącach ona zaczęła wspominać o zaręczynach.

Pomyślał - cóż, dlaczegożby nie? Nie spotkał dotąd nikogo innego, kto by tak na niego działał, a poza tym, co tu ukrywać, lat mu nie ubywało.

Ale niemal tuż potem, kiedy już miała ten pierścionek, na jej wizerunku pojawiły się rysy. Było tak, jak gdyby przez kilka miesięcy zmobilizowała wszystkie siły, żeby grać jakąś rolę, co całkowicie wyczerpało jej energię. Dłużej nie mogła tego ciągnąć.

Z narastającą świadomością i zmęczeniem zaczął spostrzegać, że Sandra usiłowała być taka, jaką on chciałby ją widzieć, czy raczej jak sobie wyobrażała, że chce. Poczul się wtedy jak obiekt wiecznej obserwacji. Co go rozśmiesza? Jakie są jego ulubione potrawy? Jak się lubi ubierać? Jakie lubi sporty?

Było mu nieswojo żyć ze świadomością, że jest jedynym celem życia drugiej osoby, która wstaje rano z łóżka tylko dlatego, że on istnieje.

Zaczął sobie zdawać sprawę z tego, że w ogóle nie zna Sandry. Do tego stopnia pochlebiali mu przez jakiś czas nie słabnące zainteresowanie jego osobą i równie nie słabnące wysiłki, żeby mu się przypodobać, że nie zadał sobie pytania, jaka ona jest naprawdę. Samo-krytycznie przyznawał, że był to wielki błąd z jego strony.

Próbował to naprawić i dowiedzieć się czegoś o niej. Co ty lubisz? Czym ty się zajmujesz? Jedyłą odpowiedzią było, że lubi być razem z nim, lubi go uszczęśliwiać i robić to, co on.

Bezustannie skoncentrowana na nim uwaga Sandry Bamfield sprawiła, że czuł się skrepowany, jak gdyby schwytyany w pułapkę miłości.

Sandra tak mocno wsłuchiwała się w rytm życia Matthew, że niemal natychmiast zorientowała się w zmianie jego nastroju. Rysa na jej wizerunku nieco się poszerzyła.

Zaczęła być niesłychanie zazdrosna. Skarżyła się żałośnie, że jej nie kocha. Nalegała na ustalenie daty ślubu.

On się od niej odsuwał, a ona napierała. W godzinach pracy zaczęła się pojawiać w hotelach, gdzie spodziewała się go zastać, zawsze udając, że właśnie przechodziła obok. Wypytywała go o kobiety znajdujące się w holu hotelowym, jakby miał obowiązek znać każdą z nich. Zaczęła go wprost obrzucać prezentami. Zerwał zaręczyny zdumiony tym, jak łatwo dał się jej wprowadzić w błąd. Zdumiony, że od pierwszej chwili, kiedy ją poznał, nie zauważył, że jest w niej coś niepokojącego, wręcz nienormalnego.

Prawdziwe szaleństwo zaczęło się po zerwaniu zaręczyn. Telefonowała w różnych porach dnia i nocy, raz wygłaszając całe tyrady, innym razem płacząc. Tkwiała w samochodzie zaparkowanym naprzeciw jego domu. Przysyłała mu listy i prezenty.

Było mu jej żal i nie wiedział, jak ma sobie z tym poradzić. Przygnębiony, jasno zdał sobie sprawę, z jak kruchą psychiką ma do czynienia i nie chciał brać na siebie odpowiedzialności za być może nieodwracalne skutki pogłębiania się jej stanu.

Problemy narastające w Anpetuwi nie były na tyle poważne, żeby się dla nich decydować na podróż do Kanady, ale ogrom powierzchni groźnego zimnego oceanu dzielącego go od Sandry był zbyt wielką pokusą, żeby się mu oprzeć.

Niefortunne przeżycia osobiste odcisnęły ślad także na jego psychice. W pewien sposób czuł się odpowiedzialny za nieobliczalne zachowanie Sandry. Miał do siebie pretensję, że nie zauważył wcześniej jej dziwnego usposobienia i nie zrozumiał jego źródła. Zawsze był znakomitym znawcą ludzkich charakterów, ale obecnie zaczął wątpić w samego siebie.

Na scenie pojawiła się Charity Marlowe. Z miejsca uległ jej czarowi. Ale, oto do czego doprowadziło go podobne oczarowanie ostatnim razem. Przestał ufać ludziom i brać wszystko za dobrą monetę. Czy mógł myśleć inaczej? Tropił wszelkie oznaki zachowań mające świadczyć o tym, że ludzie nie byli takimi, za jakich się podawali. Charity wydawała się następną w kolejce po ostatnim rozczarowaniu.

Zaczął się od tego, że obserwowała go przez lornetkę, co było zachowaniem, które mógł porównać tylko z takim rekinem polującym na mężczyzn, jakim była Sandra. Poza tym był przekonany, że nie jest zawodową kelnerką. Podobnie jak Sandra, zdawała się być zdrową, piękną i normalną dziewczyną rozglądającą się za mężem.

Tym razem postanowił być ostrożny, zapalił czerwone światło przed piękną panną Marlowe. Zrobił to przede wszystkim po to, żeby sprawdzić samego siebie, czy stać go na dyscyplinę wewnętrzną. Charity intrygowała go, wabiła i doprowadzała do szału.

Zaczął się czuć tak, jakby wszedł do diabelskiej kolejki w wesołym miasteczku - rzucało nim od jednego stanu emocjonalnego do drugiego, znajdującego się na drugim biegunie. Jakby jeszcze tego było mało, pojawiła się Sandra we własnej osobie.

Wprost nie wierzył oczom. Nerwy trzymane dotąd na wodzy, ze względu na chwiejną psychikę Sandry, teraz eksplodowały. Niestety, zareagowała na jego wybuch w sposób, którego się najbardziej obawiał. Kompletnie się załamała. Płakała tak spazmatycznie, że doszło do torsji. Na koniec powiedziała, że jeśli jej każe wrócić do domu, popełni samobójstwo.

Zgodził się, żeby została, gdyż uważał, że tak będzie uprzejmiej. Zdawało mu się, że kiedy będzie całkowicie ignorował jej obecność, nie wykazując najmniejszego zainteresowania, sama zdecyduje się na wyjazd, choćby dla ratowania resztek własnej godności. Jedno, co wiedział o niej na

pewno, to że bardzo źle znosiła nudę. Sądził, że może wytrzyma w Anpetuwi najwyżej tydzień.

I stało się, że wpadł we własną pułapkę, zaplątał się jak harcerzyk w krótkich spodenkach przez to, że był uprzejmy dla kobiety, która go nie obchodziła, natomiast niedobry, a nawet godny pogardy dla tej, którą był zainteresowany.

Obecność Sandry utrwałała w nim świadomość, że nawet najbardziej olśniewający wygląd może kryć mroczną duszę. Podsycalo to w nim podejrzliwość w stosunku do Charity.

Czy jest rzeczą prawdopodobną, by ktoś był taki cudowny, jak na to wygląda? Czy może być ktoś, kto łączy w sobie inteligencję, takt, serce dla innych i zmysłowość? Kim jest w rzeczywistości? I czego się naprawdę spodziewa po nim i po Anpetuwi?

Nagle zginęła biżuteria babki i wtedy uświadomił sobie paradoksalną myśl. Chciał, żeby to była sprawka Charity. Chciał, bo gdyby się okazało, że istotnie była taka, na jaką wyglądała - ciepła, spontaniczna, wrażliwa i obdarzona poczuciem humoru, wtedy ożeniłby się z nią, wiedział o tym. Musiałby się przyznać nie tylko do miłości, ale i do tego, że sobie nie wyobraża bez niej życia. Przyznanie się do tego nie było łatwe dla mężczyzny, który zawsze panował nad swoimi emocjami, który był zawsze całkowicie niezależny i rzeczowy we wszystkim, co robił.

Kochał ją. Zrozumiał to ostatecznie wtedy w jej łazience, kiedy w jej pięknych niebieskich oczach, wzniesionych ku niemu, ujrzał całą jej duszę, uczciwą i oddaną mu całkowicie. Kochał i wierzył w nią.

Wyszedł wtedy szybko z obawy, że Charity dostrzeże w nim strach przed tą miłością, że może ją uznać za jego słabość i wykorzystać to.

Kiedy się wtedy odwrócił ze szkatułką w rękach, nagle olśniła go pewność, że wie, kto mógł ją ukraść. Gniew, jaki go

opanował, kazał mu odejść jak najszybciej, mimo bólu, jaki jej tym sprawiał.

Zdawał sobie jednak sprawę, że musi nieco ochłonąć ze wzburzenia, zanim stanie przed Sandrą. Czuł, że może nie zapanować nad swoim gniewem. Jedno wiedział na pewno: musi skończyć z Sandrą raz na zawsze.

Następnie wydarzył się ten niefortunny obiad, w czasie którego atmosfera była tak napięta, a on tak pochłonięty swymi myślami i przygnębiony, że przez nieuwagę zjadł to cholerne ciasto ze zmielonymi migdałami...

Przypomniawszy sobie słowa Charity, która określając Anpetuwi jako miejsce wyposażone w magiczną siłę powiedziała, że jego magia może nawet przemieniać złe zjawiska w dobre.

I tak się właśnie stało wczoraj wieczorem, kiedy zjadł migdały, najgorsze co mu się mogło przytrafić, a okazało się, że wyniknęło z tego coś dobrego.

Dobrego? To za skromne określenie. Coś cudownego, prawdziwie wspaniałego. Przekonał się, że Charity go kocha. Przekonał się, kim ona jest naprawdę. Przekonał się, że jest tym wszystkim, co w niej dostrzegał. Dokładnie wszystkim. Przekonał się, że Charity Marlowe jest niezwykle inteligentną młodą kobietą, całą duszą oddaną ludziom. Również jemu jest oddana bez reszty, chociaż we własnej ocenie zupełnie na jej miłość nie zasługiwał.

Teraz wiedział, że może jej całkowicie zawierzyć i siebie, i swoje życie, jakkolwiek się ono ułoży. Wiedział, że ona nigdy nie potrafi go zawieść.

Zrozumiał także, że największym okrucieństwem w stosunku do Sandry była jego „uprzejmość”. Dawało to jej pewne nadzieje, których być nie mogło. Stwarzało w niej przekonanie, że może coś uzyskać dalszym odgrywaniem swojej roli, co było żalonym nieporozumieniem.

Wczorajszej nocy, mimo wyczerpania zebrał resztki sił i powiedział Sandrze otwarcie całą prawdę. Zdecydował się na tę

rozmowę po to, żeby dzisiaj być już wolnym, pojechać do Charity i opowiedzieć o wszystkim, co się działo w jego duszy.

Sandrze poradził, żeby wróciła do Anpetuwi, zabrała swoje rzeczy i wyjechała. Powiedział jej także, że potrzebna jej jest opieka lekarska i wyraził nadzieję, że ją znajdzie. Dodał na zakończenie, że jeżeli będzie go nękać w dalszym ciągu, zawiadomi policję.

Były to słowa twarde, niełatwo przyszło mu je wypowiedzieć. Kiedy z twarzą skrzywdzonego dziecka zaczęła płakać, musiał pokonać w sobie zwykły ludzki odruch, żeby ją objąć i uspokoić ciepłym słowem. Nie czuł do niej nienawiści i nie chciał jej zrobić krzywdy; przeciwnie, był przekonany, że oddaje jej nieocenioną przysługę.

Kiedy taksówka przywiozła go na miejsce, wysiadł. Przez chwilę spoglądał w dół Anpetuwi, na zielony kozuch drzew, błękit nieba i kapryśny szafir jeziora w tle.

Anpetuwi, które jego rodzinie, generacja za generacją, ofiarowało dar najpiękniejszy - miłość. Anpetuwi, dokąd przyjechał przygnębiony i w rozterce, a ono go nie zawiodło i przyjęło jak matka.

Charity miała do tego miejsca taki sam stosunek jak on. Wyczuwała jego magię tak, jak on ją wyczuwał, a przed nim jego matka.

Wydawało się, że natura jak gdyby zmówiła się, żeby przez piękno tego miejsca ukazać ludziom magię i cud miłości.

Szybkim krokiem schodził wijącą się drogą. Zawahał się w pewnej chwili, niepewny, w którym miejscu skręcić do domków personelu. Czy Charity będzie w domu, czy na plaży? Czy najpierw ma ją wziąć w ramiona i ucałować, czy przedtem wytłumaczyć jej wszystko?

Niemal przebiegł ostatnie trzy metry do jej bungalowu. Na jego pukanie wyszła Mandy w ręczniku na głowie. Roześmiał się w głos.

- Wy, dziewczęta Marlowe, i te wasze ręczniki na głowach.

W jego mózgu zapaliło się ostrzegawcze światełko, kiedy Mandy nie odpowiedziała mu z właściwą sobie swadą.

- Została tylko jedna Marlowe - powiedziała patrząc na niego z wyrzutem.

- Co takiego?

- Charity wyjechała.

- Wyjechała? Dokąd?

- Tego mi nie powiedziała. Zostawiła mi tylko kartkę, że wyjeżdża, ale nie może mi napisać dokąd, gdyż taki podstępny wąż jak ty wyciągnąłby tę wiadomość ode mnie.

- Nazwała mnie wężem?! - wykrzyknął.

- Nie. To ja ciebie tak nazwałam. Charity nie pochwaliłaby mnie za powiedzenie ci, dokąd pojechała, ale ona naprawdę cię kocha. Myśli o tobie jak najlepiej.

- Wiem o tym.

- Wiesz? I potrafisz ją tak traktować?

- Nie zawsze wiedziałem. I nie zawsze zdawałem sobie sprawę z własnych uczuć. Ale teraz wiem wszystko. Jak myślisz, dokąd pojechała?

Mandy przyglądała mu się w napięciu i nagle twarz jej się rozjaśniła.

- Więc kochasz ją, Matthew?

- Tak. I mam zamiar się z nią ożenić.

- Naprawdę? - Mandy aż pisnęła z zachwytu. Rzuciła się Matthew na szyję. - Wiedziałam, że to będziesz ty! Od pierwszej chwili wiedziałam, że jesteś idealnym mężem dla Charity.

- Po czym to poznałaś?

- Jestem czarownicą, mam dar jasnowidzenia. Pomaga mi w tym czarodziejska lornetka. - Marszcząc nosek dodała: - Charity nie zajmuje się takimi rzeczami.

- Jak to nie? Zaczarowała mnie w pierwszej chwili, kiedy na nią spojrzałem!

- Czasem można ją namówić na coś śmiesznego, ale rzadko to się zdarza. Charity - wahała się przez chwilę, po czym zrobiła głęboki wdech. - Matthew, Charity nigdy nie napisałaby fałszywego podania.

- Wiem - powiedział łagodnie. - Już od dłuższego czasu. Serce powiedziało mi, że nie chciałyby, a rozum, że nie potrafiłyby. Znalazłem jednak w biurku to podanie robiące z niej krętacza.

- Ja napisałam to podanie.

Nigdy dotąd Matthew nie widział Mandy tak pełnej skruchy. Postanowił, nieco złośliwie, żeby ją potrzymać nieco w niepewności. Zapadła ciężka cisza, która wydawała się ciągnąć w nieskończoność, aż wreszcie Matthew przemówił:

- Mandy, skoro mamy być rodziną, muszę ci szczerze powiedzieć, że nie mam wielkiej nadziei na poskromienie twojej niepohamowanej natury. Co o tym myślisz?

- Masz rację, sprawa jest beznadziejna - przyznała wesoło, rozpromieniona. - I chciałabym cię prosić, żebyś mi zwrócił lornetkę.

- Lornetkę? - Roześmiał się. - Jestem zadowolony, że nie można ciebie odmienić - powiedział ciepło. - Może przehandlujemy lornetkę za wiadomość, gdzie mogę odnaleźć panią doktor Charity Marlowe?

- Zgoda. Ubijamy interes.

Charity była bardzo zmęczona. Na szczęście Timmy, który na treningu gry w hokeja doznał kontuzji kolana, był ostatnim pacjentem zapisanym na jej dyżur kliniczny.

Niestety, dziesięcioletni hokeista patrzył na nią buntowniczym wzrokiem.

- Nie zdejmę spodni przed dziewczyną.

- Świetnie - powiedziała szorstko i energicznie zamknęła jego książeczkę chorobową. - Doktor Clark wraca z urlopu za tydzień. Jeżeli przez ten czas stan kolana się pogorszy, zmiany będą nieodwracalne. Ale czy gra w hokejowej drużynie narodowej jest taka ważna?

W jednej chwili dzinsy były ściągnięte i bez dalszych kłopotów Charity mogła zbadać kolano. Pięć minut później mały hokeista wychodził z gabinetu.

Charity spojrzała w lustro i westchnęła. Nie wiedziała, jak Timmy mógł ją nazwać dziewczyną. Włosy wypadły jej całymi pasmami, więc musiała je obciąć krótko. Zrezygnowała ze szkieł kontaktowych i wróciła do okularów, ponieważ myślała, że dodają jej lat i wygląda w nich poważniej, czego - jak zauważyła - pacjenci oczekiwali od lekarza. W przeciągu dwóch tygodni jej opalenizna zaczęła schodzić.

Swoje wymarzone, cudowne lato miała już za sobą.

Pielęgniarka, którą przydzielono jej do gabinetu, spojrzała na nią przymilnie.

- Boję się nawet pytać, doktor Marlowe, ale czy może pani obejrzeć jeszcze jednego pacjenta? Mówi, że się bardzo źle czuje i że ma gorączkę. Nie widziałam co prawda zdrowiej wyglądającego mężczyzny, ale...

Charity spojrzała na podaną jej przez pielęgniarkę książeczkę chorobową zgłaszającego się pacjenta: Matthew Blake.

- Nie przyjmę! - krzyknęła za odchodzącą pielęgniarką.

- Za późno. - Matthew Blake stał już w drzwiach. Wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie. Był w świetnie skrojonym garniturze podkreślającym jego męską figurę.

- Przecież nie jesteś chory - powiedziała z wyrzutem.

- Owszem, jestem. - Zdjął marynarkę.

- Co ty wyprawiasz?

Odpiął guziczki, zdejmując także koszulę. Patrzyła jak urzeczona na jego doskonale sklepioną klatkę piersiową. Zamknęła oczy.

- W tej chwili włóż koszulę - powiedziała przez zaciśnięte zęby.

- Ale muszę ci pokazać, gdzie mnie boli.

- Będzie cię bolała głowa, kiedy w nią dostaniesz tym przyciskiem. Włóż koszulę i wyjdź z gabinetu.

- Uuuch, uuuch...

Mocno ujął jej dłoń w swoją, mocną i ciepłą.

- Tutaj mnie boli - położył jej dłoń na swojej piersi, w okolicy serca. Nie cofnęła ręki.

- W tym miejscu? - wyjąkała.

- Boli mnie serce - powiedział cicho.

- Mówiłeś pielęgniarce, że masz gorączkę.

- Tak, mam. Z tęsknoty.

Cofnęła teraz rękę i odwróciła się od niego. Ale on już był przy niej, już obejmował jej ramię.

- Wyglądasz pięknie, Charity.

- Teraz zaczynam myśleć, że naprawdę jesteś chory

- powiedziała opryskliwie.

Obrócił ją przodem do siebie; poczuła się więźniem uporczywie w nią wpatrzonych granatowych oczu Matthew.

- Patrząc na ciebie w sukienkach, które nosiłaś w hotelu, zawsze myślałem, że coś jest nie w porządku. Że było to jakby obok prawdziwej ciebie.

- O ile pamiętam, uważałeś, że mam dużo seksu

- przypomniała ostrym tonem.

Roześmiał się.

- Chyba nie myślisz serio, że to, co się nosi, czy makijaż, mają coś wspólnego z prawdziwą urodą kobiety?

- Prawdę mówiąc...

Czułym gestem dotknął jej włosów i delikatnie zdjął z nosa okulary.

- Każdy mężczyzna marzy o...

- Oddaj mi okulary.

- ...o znalezieniu brylantu w bryle węgla. Położyła dłoń na zbliżających się do jej twarzy ustach. Całował tę dłoń.

- Matthew, czego ode mnie właściwie chcesz?

- Ocaliłaś mi życie.

- Więc powiedz „dziękuję” i wyjdź z gabinetu.

- Wolę postąpić zgodnie z tradycją narodów Wschodu.
- To znaczy? - zapytała nerwowo. Pieścił jej dłoń językiem.
- Podarować swoje życie temu, kto je ocalił.
- Ooo, czyżby? - Chciała, żeby przestał łaskotać językiem jej dłoń, ale jej nie cofnęła bojąc się, że wtedy pocałuje ją w usta.
- Moje życie należy teraz do ciebie, doktor Marlowe. Co masz zamiar z nim zrobić?

Przypomniała sobie, jak kiedyś w chwili rozpaczy chciała pójść do Matthew, powiedzieć mu wprost, że go kocha i zapytać, co ma zamiar zrobić z jej wyznaniem. Nie była przygotowana na takie pytanie z jego strony.

- A co chciałbyś, żebym z nim zrobiła? - odparła. Nie mogła wytrzymać tego, co robił z jej dłonią.

Szarpnęła ją i schowała do kieszeni kitla. A ten szatan bezczelnie się do niej uśmiechnął dobrze wiedząc, jaki rozpałił opień.

- Co chcesz? Mogłabyś zarzucić mi ramiona na szyję, przytulić się i przyjąć mój podarunek.

- Nie wiem, co to za podarunek. Domyślam się, że seks. Wielka rzecz!

- Dla mnie zawsze była wielka. I mógłbym przysiąc, że dla ciebie też.

- No, tego już za dużo. - Żałowała tych pośpiesznych słów.

- Hm... - zaczął nie spieszony. - Czego za dużo? Z dumną miną uporczywie milczała.

- Naprawdę za dużo? Czy nie dobrze mieć kogoś, kto ogrzewa, obejmując ramionami w długie chłodne noce? - Głos miał przepełniony czułością. - Mieć kogoś, z kim można dzielić wszystkie radości i smutki, mieć dzieci i cieszyć się nimi wspólnie. Czy nie dobrze by było?

Pochyliła głowę, nie mogąc powstrzymać łez.

Ujął jej brodę i zmusił, żeby spojrzała mu w oczy. Nigdy jeszcze nie widziała w oczach Matthew takiej żarliwej czułości i serdeczności.

- Czy to byłoby za dużo - mówił dalej głosem ochryplym z emocji - gdybym stojąc obok ciebie i trzymając twoją rękę, przed całym światem przyrzekł być przy tobie w zdrowiu i w chorobie. W dobrym i złym. W czasach dobrych i trudnych. Czy byłoby to dla ciebie za dużo?

Przez obficie płynące łzy patrzyła na Matthew, ledwo widząc jego twarz.

- Czy byłoby za dużo - szeptał - jeśli powiedziałbym ci, że cię będę kochał do końca życia, że moje serce znalazło swoje miejsce, a dusza przyjaciela?

- M... Matthew, przestań.

- Nie mogę. Nie przestanę, póki nie przyjmiesz daru, który przed tobą składam. Charity, przyjmiesz ten podarunek - moje życie? Czy możesz dać mi w zamian swoje?

- Jestem w ciąży. - Głos jej się załamał. Szeroko otworzyła oczy ze zdumienia, a w następnej chwili objął ją i serdecznie utulił w ramionach. Czowała się w nich bezpiecznie i ciepło jak... w domu.

- Charity. - Głos Matthew miał brzmienie szczególne, pełne radosnego zachwytu i łagodności. - Dlaczego mi nic nie mówiłaś?

- Bałam się, że poczujesz się osaczony - szeptała. - Nie chciałam, żebyś się czuł skrzepowany.

- I sama siebie skazałaś na samotność i lęk o przyszłość. Nie miałaś z kim przeżywać najważniejszych chwil w życiu kobiety. Dałaś mi najpiękniejszy dowód miłości. Ale od tej chwili proszę cię, nie unos się pośpiesznie szlachetnością. We wszystkim mamy być razem, wszystko przeżywać wspólnie.

- Matthew, chyba jesteś szczęśliwy! - Odchyliła głowę, żeby lepiej widzieć jego twarz.

- W Anpetuwi jest dwójka spiskowców - zaczął Matthew tajemniczo.

- Nelson i Mandy?

- Nie. Bóg miłości i bóg urodzaju. Dotąd nie mylili się nigdy.

Przytuliła się do niego mocniej.

- Tak się bałam - wyznała. - Nie wiedziałam, co mi przyniesie jutro. Jak to wpłynie na moją pracę. - Zawahała się. - Nie byłam pewna, czy będę mogła pokochać kogoś w przyszłości tak, jak kocham ciebie.

- Charity, wybierając naszą miłość możesz mieć wszystko, czego pragniesz. Karierę zawodową i rodzinę. Miłość niczego nie pozbawia. Sprawia, że wszystko staje się możliwe i wspaniałe.

Charity wiedziała, że to prawda. Kiedy to burzliwe lato przesunęło się jak film przed jej oczami, ze zdumieniem stwierdziła, że każda scena, nawet najbardziej wtedy bolesna, emanowała jakimś światłem.

Całował ją tak, że zabrakło jej tchu.

- Matthew. Nie możemy. Nie tutaj. Pielęgniarka...

- Odeślij ją do domu - mruzczał stłumionym głosem. - Słuchała mnie uważnie. Byłam naprawdę chory.

- Wiem - przyznała doktor Marlowe.